

KAROLINA
WILCZYŃSKA

Jesień otula
spokojem



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Jesień otula
spokojem



KAROLINA
WILCZYŃSKA

Jesień otula
spokojem



 CZW-
ARTA
STRO-
NA

Copyright © Karolina Wilczyńska, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Joanna Jeziorna-Kramarz

Marketing i promocja: Judyta Kąkol

Redakcja: Barbara Kaszubowska

Korekta: Magdalena Owczarzak, Damian Pawłowski

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Elementy graficzne layoutu: Magda Bloch

Projekt okładki i stron tytułowych: Magda Bloch

Fotografia na okładce: © PawełUchorczak | Adobe Stock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Niniejsza książka jest dziełem fikcyjnym. Wszystkie wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

eISBN 978-83-67815-47-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



— Kociu, czy mógłbyś wyłączyć ten budzik? — wymamrotała w półśnie Diana.

Była jednak na tyle przytomna, żeby wiedzieć, że nie może liczyć na kocią pomoc w tej sprawie. Nie otwierając oczu, sięgnęła więc po telefon i przeciągnęła palcem po ekranie. Melodyjka zamilkła i kobieta miała ogromną ochotę z powrotem zapaść w sen.

Wiedziała jednak doskonale, że nie może pozwolić sobie na dalsze wylegiwanie się w łóżku. Westchnęła głośno i podniosła powieki.

Właściwie powinnam się cieszyć — tłumaczyła sobie w myślach. — Bo przecież wstaję dlatego, że mam co robić.

Przeciągnęła się i usiadła, wsuwając stopy w ciepłe kapcie. Kupiła sobie takie, bo doszła do wniosku, że od zadawania szyku ważniejsza jest wygoda. Kiedy mieszkała z Mateo, zawsze nosiła po domu delikatne klapki z pomponikami z futerka. Oczywiście, na niewielkim obcasie, bo Mateo wielokrotnie powtarzał, że kobieta powinna zawsze, nawet w domu, wyglądać atrakcyjnie i seksownie, żeby mężczyzna nie stracił nią zainteresowania.

Lisowska popatrzyła teraz na swoje kapcie z grubej włóczki wyścielone ciepłą warstwą sztucznego baranka i uśmiechnęła się.

Cieplutkie, milutkie i wygodne — stwierdziła. — Takie właśnie lubię.

Dodała je do listy tych rzeczy, o których może teraz decydować samodzielnie. Prowadziła taki spis i każdego dnia wzbogacała go o kolejne

rzeczy, z pozoru drobne, ale tworzące jej codzienność. Własną i niezależną.

Zerknęła na telefon i uznała, że naprawdę musi już zacząć działać, żeby zdążyć z porannymi czynnościami przed przyjazdem grupy na warsztaty.

Idąc do kuchni, zawiązała pasek szlafroka. Oczywiście zaczęła od nałożenia porcji karmy do kociej miseczki. Kocio już czekał i nie sposób było zlekceważyć jego hipnotyzującego spojrzenia.

— Jesteś prawdziwym terrorystą. — Kobieta pokręciła głową. — A dla jedzenia zrobiłbyś wszystko.

Kocur nie uznał za stosowne zareagować. Jak każdy przedstawiciel swojego gatunku uważał, że szybka i dokładna obsługa po prostu mu się należy. A kiedy tylko Diana napełniła miskę, od razu zabrał się do jedzenia.

Lisowska tymczasem nalała wody do czajnika i poszła do łazienki. Wróciła akurat wtedy, gdy woda się zagotowała.

— To właśnie jest dobra organizacja — pochwaliła głośno samą siebie.

Zalała herbaciane liście wrzątkiem i postawiła kubek gorącego napoju na stole. Popatrzyła na widok za oknem i z zachwytem powiodła wzrokiem po żółtych i czerwonych liściach krzewów odcinających się od zielonego tła jodeł. Październikowe słońce nie było tak mocne jak latnie, ale pięknie oświetlało las i ogród. Prawdziwie złota jesień nadeszła i pokazywała swoje piękno w całej krasie.

Dla takich widoków warto wyrzec się miejskich wygód — pomyślała Diana. — Z okna mojego dawnego mieszkania nie zobaczyłabym niczego tak pięknego.

Choć trzeba zaznaczyć, że życie na wsi wcale nie było niewygodne w porównaniu z życiem w mieście: Diana do sklepu nie miała bardzo daleko, a gdyby chciała pójść do kina lub teatru, to dojazd zająłby jej nie więcej niż pół godziny, przy czym w Kielcach i tak nie uniknęłyby stania w korkach. Wrzosowa Polana miała też wszystko, czego można potrzebować do komfortowego, spokojnego życia: prąd, kanalizację, a odkąd zamontowano piec, to ogrzewanie nie stanowiło wyzwania. Czego więcej chcieć?

Do niewątpliwych plusów swojego miejsca na ziemi Diana zaliczała też spokój i ciszę, oddalenie od zgiełku i samochodowych spalin, codzienne ptasie trele, szum jodłowych gałęzi i właśnie bliskość przyrody. Każdego dnia na nowo zachwycała się spektaklem, który rozgrywał się na jej oczach, dostrzegała zmianę koloru liści, zauważała rosnące gałązki, a teraz cieszyła oczy paletą jesiennych barw, którą namalowała dla niej natura.

Oderwała wzrok od urzekającego obrazka za oknem. Przygotowując śniadanie, zauważyła, że powinna uzupełnić zawartość lodówki. Ostatnie dni wypełniała jej praca, więc trochę zaniedbała zakupy. Od dwóch tygodni każdego dnia prowadziła warsztaty dla uczniów. Trzy razy zdarzyło się nawet, że przyjęła jednego dnia dwie grupy. Było to niełatwe organizacyjnie, lecz organizatorzy wycieczek tak nalegali, że uległa ich namowom.

W myślach dziękowała Monice, żonie właściciela szkoły jazdy, która była metodyczką i polecała nauczycielom jej zajęcia. Okazało się, że zrobiła to niezwykle skutecznie, bo kalendarz Diany wypełnił się warsztatami do końca listopada. Niektóre grupy przyjeżdżały nawet specjalnie do niej.

Muszę zaprosić Monikę i Rafała na dobry obiad — przyrzekała sobie. — Gdyby nie ich pomoc, na pewno nie udałoby się tak szybko rozkręcić tego pomysłu.

Była zaskoczona tym, jak bardzo polubiła nowe zajęcia. Ogromną frajdę sprawiało jej przekazywanie swojej pasji do lepienia z gliny, zwłaszcza że dzieciaki były ciekawe i chętnie angażowały się w pracę. Oczywiście zdarzały się wyjątki — mali malkontenci czy mądrale, ale jak do tej pory zawsze udawało jej się jakoś zmienić ich nastawienie.

Z satysfakcją patrzyła na pomysłowe prace młodych adeptów pracy z gliną i z przyjemnością spędzała popołudnia i weekendy, wypalając stworzone przez dzieci Baby-Jagi, koty, dziki czy miseczki. Potem pieczołowicie, z największą ostrożnością, pakowała gotowe dzieła i wysyłała do szkół, żeby uczniowie mogli je sobie odebrać.

Wkrótce czekało ją nowe wyzwanie, bo udział w warsztatach zgłosiły grupy z placówek integracyjnych. Diana trochę się obawiała, nie miała żadnego doświadczenia w pracy z dziećmi ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi. Nie chciała popełnić błędu, nieodpowiednio się zachować. I przede wszystkim pragnęła, aby wszystkie dzieci mogły jak najwięcej wynieść z zajęć we Wrzosowej Polanie.

Będę musiała zadzwonić do Moniki — rozważała, popijając herbatę. — Może mi coś doradzi, podpowie...

Dobrze było liczyć na czyjeś wsparcie, wiedzieć, że są osoby, na które można liczyć.

Ciekawe, że kiedy żyłam w mieście i pozornie miałam tak wielu znajomych, to w rzeczywistości nie znalazł się nikt, komu mogłabym zaufać, zwierzyć się, poprosić o pomoc — stwierdziła Diana. — A odkąd zdecydowałam się wszystko zmienić, nieustannie los stawia na mojej drodze życzliwych ludzi. I pomyśleć, że tak się bałam tych zmian. Powinnam zdecydować się na ten krok już dawno temu.

Rzeczywiście, jej życie wyglądało teraz zupełnie inaczej niż jeszcze pół roku temu. Zaryzykowała wszystko, ale na razie nie żałowała. Okazało się, że wbrew temu, co sugerował jej wielokrotnie Mateo, poradziła sobie bez niego. Odnalazła tę część siebie, którą związek z mężczyzną prawie w niej zabił — samodzielną, niezależną, silną. Zrozumiała, że potrafi podejmować decyzje, walczyć o swoje marzenia i realizować pasje. Wbrew przewidywaniom byłego partnera nie przymierała głodem, nie marzła i zyskała nowych przyjaciół.

Jak zawsze, gdy do głowy przychodziły jej takie refleksje, ciepło myślała o babci Róży i kobietach z Jagodna. To ich wsparcie pozwoliło jej znaleźć siłę, żeby ruszyć za głosem serca i odkryć swoje miejsce na ziemi — tu, we Wrzosowej Polanie.



Po śniadaniu Diana ubrała się ciepło i wyszła przed dom. Poranki i wieczory były już chłodne i nie sposób było zrezygnować ze swetra z golfem i kurtki. Naciągnęła na uszy zieloną czapkę i usiadła na ławce pod ścianą. Za chwilę musiała już iść do swojej stodoły, żeby przygotować materiały do warsztatów, ale chciała jeszcze nacieszyć się jesiennym widokiem. Kocio pozostał na werandzie i Lisowska miała wrażenie, że obserwuje ją z niesmakiem. Zapewne nie mógł zrozumieć, jak ktoś dobrowolnie chce wychodzić z ciepłego domu. Najedzony oddał się odpoczynkowi.

Kiedyś sądziłam, że wyznacznikiem udanego życia są imprezy, popularność, jak największa liczba znajomych. — Pokręciła głowę z niedowierzaniem. — Nie zastanawiałam się nad tym głębiej. Teraz już wiem, że to po prostu nie były moje pragnienia, że nie pasowały do mnie, nie tego naprawdę chciałam.

Uwolniła się od presji, od prób zadowalania mężczyzny, dla którego nigdy nie była wystarczająco dobra. Teraz nie musiała ani się poświęcać, ani rezygnować z własnych planów. Każdego dnia okazywało się, że jej decyzje mogą być dobre, że wie, co robić, że potrafi wiele, a jej marzenia są ważne i mogą się spełniać.

Popatrzyła na stodołę, w której prowadziła warsztaty. Dwa miesiące temu była jedynie starym budynkiem ze stertą rupieci w środku, a teraz,

odmieniona z pomocą Tobiasza, stała się dla niej kolejnym miejscem pracy i przynosiła tyle radości nie tylko jej, ale i dzieciakom.

Jak wiele może się wydarzyć w ciągu kilkudziesięciu dni — pomyślała Diana. — I jednocześnie ile lat można tkwić w beznadziejnej, toksycznej sytuacji, tracąc energię i cenny czas...

Cieszyła się, że jej udało się wyrwać z tego, co szkodziło, i odnaleźć własną drogę.

Ale samo się nie robi, trzeba wreszcie wstać — zdecydowała.

Podniosła się z ławki, wyjęła z kieszeni rękawiczki bez palców i wsunęła w nie dłonie.

— Do roboty! — powiedziała sama do siebie. Nie zdążyła jednak zrobić nawet kilku kroków, gdy zadzwonił telefon. — Cześć, Martyna! — odebrała połączenie.

— Cześć, pustelniczko! — przywitała ją dziennikarka.

Ostatnio nie widywały się często, bo Diana zajęta była warsztatami, a Martyna z zapałem realizowała swój nowy projekt reportaży o ciekawych miejscach i osobach z regionu. Dzwoniły jednak do siebie regularnie, a ich znajomość, która rozpoczęła się w trudnym dla obu kobiet momencie, przerodziła się w przyjaźń. Lubiły dzielić się swoimi małymi sukcesami i wspierały, gdy zdarzały się trudniejsze momenty.

— Pustelniczko? — roześmiała się Diana. — Gdybyś wiedziała, ile osób codziennie widuję, to byłabyś mocno zdziwiona.

— A co? Dzisiaj też masz grupę? — dopytywała koleżanka.

— Za trzy godziny przyjeżdżają. A jutro dwie wycieczki — poinformowała ją Diana. — Dziś dwadzieścia osiem osób, jutro ponad pięćdziesiąt. I co teraz powiesz?

— Dobra, zwracam honor! — zawołała ze śmiechem Martyna. — W porównaniu z tobą to ja jestem pustelniczką i odludkiem. Przez ostatnie dwa dni siedziałam tylko nad poprawkami do kolejnego odcinka i nie widziałam nikogo oprócz Tobiasza.

— No, na jego towarzystwo to akurat chyba nie możesz narzekać.

— Nie powiem, jest w porządku, ale ileż można — zażartowała dziennikarka. — Na szczęście dzisiaj już wyjechałam w świat.

— Słyszę właśnie, że jesteś w samochodzie — zauważyła Diana. — I dokąd tym razem?

— Tak się składa, że będę w twojej okolicy. I tak sobie pomyślałam, że mogłabym cię odwiedzić.

— Doskonały pomysł! — ucieszyła się Lisowska. — Nie widziałam cię już chyba z miesiąc.

— Aż tak długo? — zdziwiła się Martyna. — Ale ten czas leci!

— Dokładnie. I coś mi się wydaje, że obie popadamy w pracoholizm. A przecież obiecywałyśmy sobie, że będziemy żyć spokojnie i na luzie.

— Wiesz, jak się lubi to, co się robi, to trudno przestać...

Roześmiały się.

— Ale kontaktów towarzyskich nie należy zaniedbywać — przypomniała Diana.

— Właśnie dlatego zadzwoniłam. Ale skoro ty taka zajęta, to pewnie i zmęczona. Może nie będę ci się zwałać na głowę?

— Żartujesz?! — oburzyła się projektantka. — Jakie znowu „zwałać na głowę”? Nigdy nie będę tak zmęczona, żeby nie znaleźć czasu na rozmowę z przyjaciółką. Zresztą nie znam lepszego odpoczynku niż pogawędka przy herbacie. Najwyżej położę nogi na stole — zażartowała.

— Możesz położyć nawet na żyrandolu, wiesz, że nie przywiązuję wagi do konwenansów.

— W takim razie czekam na ciebie.

— O której skończysz warsztaty?

Diana szybko w myślach przeliczyła godziny.

— Myślę, że przed szesnastą będę już wolna — odparła.

— Doskonale, ja też akurat zdążę wszystko załatwić — ucieszyła się Martyna. — W takim razie widzimy się niedługo.

— Poczekaj, jeszcze jedno — zatrzymała ją Diana. — Zjedz coś, proszę, po drodze, bo ja się zagapiłam i niewiele mam w lodówce. No i raczej nie zdążę niczego ugotować.

Z przyjaciółką mogła być szczerą. Zresztą już pozbyła się przeświadczenia, że powinna być perfekcyjną gospodynią.

— Nie ma problemu — usłyszała w odpowiedzi. — Wiem, jak jest, kiedy się człowiek zatracą w robocie. Dam sobie radę, nie przejmuj się.

I za to między innymi Lisowska lubiła Martynę. Dziennikarka nie robiła z niczego problemu, przyjmowała wszystko naturalnie i ze spokojem. Dla niej codzienny obiad z dwóch dań nie był ani priorytetem, ani wyznacznikiem wartości kobiety.

Swoją drogą, muszę się wybrać na większe zakupy — zanotowała w pamięci. — Praca pracą, ale jeść od czasu do czasu trzeba.

Na razie jednak musiała zająć się rozstawieniem stołów, przygotowaniem gliny i foliowych fartuchów dla uczestników warsztatów. Była zorganizowana, nie lubiła zostawiać niczego na ostatnią chwilę.

Ciekawe, jakie dziś pomysły będą miały dzieciaki. — Uśmiechnęła się pod nosem. — Jestem pewna, że mnie czymś zaskoczą.



Rozejrzała się po stodole i z zadowoleniem stwierdziła, że wszystko jest, jak powinno. Przygotowała stanowiska dla wszystkich uczniów i dwa dodatkowe dla opiekunów. Co prawda ci ostatni nie zawsze chcieli brać udział w zabawie. Niektóre nauczycielki na początku wymigiwały się koniecznością doglądania podopiecznych i utrzymywania porządku, ale bardzo często w trakcie warsztatów zmieniały zdanie. Widząc, że uczniowie skupiają się na pracy i są zainteresowani zajęciami, uznawały, że mogą pozwolić sobie na chwilę zabawy. Czasami opór przełamywała też przyjazna atmosfera i spod rąk opiekunów wychodziły w efekcie całkiem ciekawe dzieła. Diana cieszyła się z każdego z nich, bo dawało jej to poczucie, że potrafi także zainteresować tematem dorosłych, a to otwierało potencjalnie nowe możliwości, jak choćby organizowanie zajęć dla starszych uczestników.

Zerknęła na zegarek. Do przyjazdu grupy pozostały jeszcze dwie godziny. Poranek powoli przechodził w południe, a że niebo było pogodne, z każdą chwilą robiło się coraz cieplej.

Żał siedzieć w domu w taki piękny dzień — pomyślała. — I tak wiele czasu spędzę pod dachem, więc warto wykorzystać każdą sposobność.

Wiedziała, że cudowna jesień nie potrwa długo. Równie dobrze za kilka dni mogło zacząć padać albo ochłodzić się. Nie mówiąc o przymrozkach. Wtedy przyjdzie czas siedzenia przy piecu.

Przejdę się na wrzosową polanę — zdecydowała. — A po drodze zajrzę do pana Stacha, o ile jeszcze będzie urzędował na swoim stałym miejscu przy parkingu.

Pod koniec września zostawiła mu kolejną partię swoich kubków do sprzedania. Prosił, żeby zrobiła ich więcej niż za pierwszym razem.

— Będzie sezon na szkolne wycieczki, a dzieciaki kupują wszystko — powiedział. — Lepiej, żeby zawiozły mamie ładny kubek niż jakieś chińskie bransoletki, prawda?

Zrobiła kilkadziesiąt naczyń z motywami paproci i kwiatów wrzosu. Jej metoda odciskania roślin w glinie bardzo się podobała, a jej samej taki sposób ozdabiania także bardzo odpowiadał, więc miała nadzieję, że znajdą się kolejni kupcy na jej dzieła. Właściwie liczyła na to bardziej ze względu na pana Stacha niż na siebie. Chciała, żeby starzec zarobił jak najwięcej, bo wiedziała, że z tego, co sprzeda, będzie musiał utrzymać się przez całą zimę. To, co dla niej było jedynie dodatkiem do innych zarobków, dla niego stanowiło podstawę dochodu. Miała nadzieję, że mężczyzna bierze odpowiednio wysoką prowizję za pośrednictwo w sprzedaży, ale nadal nie udało jej się tego dowiedzieć. Pan Stach stanowczo odmawiał odpowiedzi na to pytanie, wreszcie zagroził, że jeśli będzie dopytywała, to w ogóle przestanie sprzedawać jej kubki, więc przestała dociekać.

Weszła na chwilę do domu, dopiła wystygłą już herbatę i ruszyła w stronę klasztoru.

Święta Katarzyna w jesiennej szacie prezentowała się nawet lepiej niż latem. Przede wszystkim było teraz spokojniej, przez co spacer główną ulicą był przyjemniejszy. Gwar głosów nie przeszkadzał, można było chłonąć widoki, przystanąć, żeby lepiej przyjrzeć się domom, klasztornemu murowi czy samej budowli, która górowała nad innymi, a na tle jesiennego krajobrazu wyglądała bardzo malowniczo.

Diana chętnie szłaby dużo wolniej, tym bardziej że słońce mile przygrzewało, ale wiedziała, że nie ma zbyt wiele czasu. Przyspieszyła więc i po chwili z radością dostrzegła z daleka znajomą postać.

Stach siedział na swoim składanym krzeselku przy drewnianym ogrodzeniu parkingu. Jak zawsze obok niego stał stolik, na którym mężczyzna rozkładał towar — drewniane rzeźby różnej wielkości i gliniane kubki. Za każdym razem od ich pierwszego spotkania wyglądał tak samo: długa, siwa broda, kraciasta koszula, wypłowiałe od słońca spodnie i czarny kapelusz z szerokim rondem. Dzisiaj na kraciastą koszulę pan Stach nałożył kurtkę z grubego brązowego sztruksu, podbitą sztucznym barankiem.

I on także zmienia się wraz ze zmianą pory roku — zauważyła. — Jest jakby częścią natury, dostosowuje się podobnie jak ona, nie walczy, lecz rozumie. I dzięki temu trwa wciąż niezmiennie niczym jodły w puszczy: ze zgrubiałymi konarami, smagane wiatrem, ale niezłomne i wytrwałe.

Podeszła do starca z uśmiechem.

— Dzień dobry!

— A nie najgorszy — odparł. — Nie pada, nie wieje, słoneczko przygrzewa.

— Dlatego postanowiłam zrobić sobie spacer. — Lisowska przykucnęła obok mężczyzny. — Co słyhać, panie Stachu? Jak idzie sprzedaż?

— O, widzę, że będziemy rozmawiać o interesach? — Po tych słowach starzec wyjął swoją fajkę i zabrał się do jej rozpalania.

Diana czekała cierpliwie. Nauczyła się już, że pan Stach żył swoim rytmem, niespiesznie, i odpowie wtedy, kiedy uzna za stosowne. Na początku trochę ją to irytowało, ale gdy zrozumiała, że to ona chce wszystkiego zbyt szybko i od razu, napięcie odpuściło i ze spokojem dostosowała się do nowego znajomego. Wiedziała, że tu, gdzie teraz mieszkała, czas miał inną wartość niż w jej poprzednim życiu, że czas spędzany obok siebie, nawet w milczeniu, był cenniejszy niż szybka wymiana zdań.

— Zostało tyle kubków co na stoliku. — Stach wskazał ręką na naczynia. — Reszta sprzedana.

— Naprawdę? — ucieszyła się Diana. — To świetnie! Bardzo się cieszę!

— Te też pójdą do ludzi — dodał starzec. Pociągnął fajkę i wypuścił w górę kłęb aromatycznego dymu. — Ale już więcej nie rób — dodał po

chwili. — Ja tylko do końca tygodnia będę tu siedział. Potem koniec sezonu — oznajmił.

— Tak? — zdziwiła się Diana. — Myślałam, że przynajmniej do końca października będą przyjeżdżały wycieczki.

— Może i będą — mężczyzna pokiwał głową — ale jak nie ma pogody, to się na dłużej nie zatrzymają. Przebiegną do kapliczki i z powrotem, żeby zaliczyć punkt programu, i odjadą.

— A może nie będzie aż tak źle — pocieszała Diana. — Na razie nie możemy narzekać na jesień. Nie wiadomo przecież, jaka pogoda będzie w przyszłym tygodniu. Poczekajmy na prognozy.

— Mnie prognozy niepotrzebne — odparł Stach. — Moje kości mi mówią, jak będzie. Słucham ich, bo nigdy się nie mylą. I właśnie czuję, że pora kończyć sezon. — Poklepał się po biodrze i pokiwał głową.

Nie było sensu dyskutować z takim stwierdzeniem, więc Diana przyjęła jego wyjaśnienie.

— W takim razie przyjdę w niedzielę — powiedziała. — Jeśli coś zostanie, to zabiorę.

— Trzeba ci przyznać, że grzeczna jesteś — roześmiał się gardłowo starzec. — Ani słowem nie wspomniałaś o rozliczeniu. To w mieście cię tak nauczyli owijać w bawełnę?

Kobieta zrobiła zakłopotaną minę.

— Jakoś tak chyba nie wypada wprost przypominać o pieniądzach... Jakbym panu nie ufała...

— Właśnie jak nie mówisz, to mi wygląda na brak zaufania. Że niby co? Obrażę się? Przecież ci się należy, to twoja praca — odparł wprost. — I nie ma co się krygować. Ja wiem, ty wiesz. Po co udawać, że jest inaczej?

Właściwie miał rację. Diana pokiwała głową.

— W takim razie przyjdę w niedzielę i się rozliczymy — powiedziała.

— To rozumiem. Tylko przyjdź, bo nie chcę zostawać z długiem na zimę. Nigdy nie wiadomo, czy nie będzie ostatnia — dodał filozoficznie.

Diana chciała zaprotestować, ale właśnie do stolika podeszła jakaś kobieta. Wzięła do ręki drewnianego świątka i obejrzała go

z zainteresowaniem. Potem odłożyła figurkę i sięgnęła po kubek. Podniosła go i zbliżyła do oczu.

— Bardzo ładny — powiedziała. — To chyba kwiat wrzosu. — Wskazała na wzór.

— Ręczna robota — powiedział Stach. — A wrzos był z naszej puszczy.

Diana milczała. Nie potrafiła przyznać się przed klientką, że to ona zrobiła ten kubek. Zamiast tego przyglądała się kobiecie.

Musiała mieć około sześćdziesięciu lat, chociaż bardziej wskazywały na to zmarszczki na policzkach niż postura. Nieznajoma była szczupła i wyglądała na aktywną. Miała ufarbowane na blond włosy, choć już ze sporymi odrostami, w których widać było srebrne nitki.

Gdyby założyła czapkę zamiast opaski, to ukryłaby siwiznę i wyglądałaby młodziej — pomyślała Diana. — No i gdyby się uśmiechnęła.

To chyba najbardziej przykuło jej uwagę. Chociaż kobieta miała miły głos i widać było, że jest otwartą osobą, to jej oczy wciąż były poważne, jakby skoncentrowane na jakichś ważnych myślach, od których nie mogła się uwolnić nawet tutaj, na wycieczce, stanowiącej przecież relaks i odskocznnię od codzienności.

— Skoro to dzieło lokalnego twórcy, a na dodatek takie ładne, to zatrzymam się u pana jeszcze, gdy będę wracała — powiedziała tymczasem kobieta.

— Zapraszam. — Pan Stach pokiwał głową, a gdy turystka odeszła, zapytał Dianę: — Dlaczego nie powiedziałaś, że zrobiłaś ten kubek?

Czuła, że zada to pytanie.

— Pan też nie mówi, że zrobił te rzeźby — odpowiedziała po chwili wahania. — Więc chyba pan czuje dlaczego. Nie umiem powiedzieć konkretnie, ale chyba nie potrafię zachwalać własnych prac. — Wzruszyła ramionami.

— Wciąż wydają się za mało dobre — powiedział powoli i Diana nie wiedziała, czy mówi o niej, czy o sobie. — Ciągłe w duszy jest poczucie, że to nic szczególnego, ot, po prostu chwilowy nastrój ubrany w formę. Jeśli

ktoś go poczuje, to kupi, a jeśli nie, to znaczy, że ten przedmiot nie dla niego. I nie chodzi o to, żeby sprzedać, ale o to, by te rzeczy trafiły w odpowiednie ręce.

Lepiej by tego nie ujęła. Mądrość starca przy każdej rozmowie robiła na niej niesamowite wrażenie. Pan Stach wszystko wiedział i na dodatek potrafił ubrać w odpowiednie słowa to wszystko, co ona zaledwie wyczuwała.

— Pójdę już. — Podniosła się i roztarła ścierpniętą łydkę. — Zasiałałam się, a mam niedługo grupę na warsztaty — wyjaśniła. — Może zdążę chociaż do kapliczki...

— Wycieczki zawsze się spóźniają — stwierdził z uśmiechem Stach. — Zresztą na to, co potrzeba, zawsze wystarczy czasu.

Diana uniosła dłoń w pożegnalnym geście i poszła szeroką drogą w stronę wejścia do Świętokrzyskiego Parku Narodowego. W pewnej odległości przed nią szła nieznajoma, która niedawno oglądała kubki. Jej czerwona kurtka odcinała się barwną plamą od ciemnej zieleni jodeł.

Trzeba przyznać, że ma kondycję — pomyślała Diana. — I całkiem dobre tempo. Myślałam, że przyjechała tylko na spacer, a ona maszeruje, jakby bez problemu mogła wejść na szczyt Łysicy.



Dojście do kapliczki Świętego Franciszka zajmowało zaledwie kilkanaście minut, i to naprawdę spacerowym krokiem. Od razu po przekroczeniu drewnianej bramy ustawionej na skraju Puszczy Jodłowej zachwycało niesamowite piękno prastarego lasu.

Jako że w parkach narodowych nie ingerowano w naturalne procesy, po obu stronach traktu można było zobaczyć wiekowe, powalone drzewa, obrośnięte mchem. Na ich gałęziach znajdowały pożywkę huby i inne grzyby. Tutaj jak nigdzie indziej widać było, jakimi prawami rządzi się natura — stare ustępuje miejsca młodemu, ale ta śmierć także ma jakiś sens: karmi nowe życie.

Diana rozmyślała o tym wszystkim, maszerując rażno wydeptanym szlakiem. Do jej uszu docierał szum strumienia płynącego wzdłuż drogi, od czasu do czasu słyszała trzask gałęzi albo ostrzegawcze krzyki ptaków. Lubiała ten czas, gdy nie było tu zbyt wielu turystów, bo wtedy lepiej czuła atmosferę puszczy, jej potęgę i swoją małość wobec tego przyrodniczego cudu.

Doszła do kapliczki i stanęła u stóp drewnianych schodków.

Właściwie powinnam zaraz wracać — pomyślała, gdy wyjęła z kieszeni telefon i sprawdziła na nim godzinę. — Może jeszcze zdążę odwiedzić moją wrzosową polanę? — zastanawiała się. — Chociaż na chwilę. Dziś musi być tam pięknie...

Popatrzyła na drogę prowadzącą w stronę najwyższego szczytu Gór Świętokrzyskich, ale nie zobaczyła tam nikogo.

Gdzie się podziała ta kobieta? — Diana zmarszczyła brwi i rozejrzała się dookoła.

Dostrzegła nieznajomą na jednej z ławek, nieco z boku. Nie chciała nachalnie przyglądać się kobiecie, ale kiedy zawróciła, żeby dojść do miejsca, w którym powinna zboczyć z traktu, by dotrzeć do wrzosowej polany, zauważyła jeszcze, że nieznajoma wyjmuje z kieszeni telefon i odbiera połączenie.

— Co się dzieje? — usłyszała mimo woli, a głos kobiety zdradzał zdenerwowanie. — Uważa pani, że to nic poważnego? Nie możecie niczego lekceważyć, przecież prosiłam.

To chyba niezbyt dobre wieści — uznała Diana.

— Tak, słyszę, ale tak się składa, że jestem poza miastem — kontynuowała tymczasem kobieta.

Była tak zajęta rozmową, że zapewne nawet nie zauważyła mijającej ją Diany.

— Proszę zadzwonić po lekarza, koniecznie. Nie, nie zgadzam się na żadne czekanie. W tym wieku to nie przelewki i niech mi pani nie mówi takich rzeczy. Zdarza się? Przecież to zupełnie nieprofesjonalne i...

Diana oddalała się i w końcu przestała słyszeć głos kobiety.

Szkoda, że coś zepsuło jej ten spacer — pomyślała. — Czuję, że to, od czego chciała odpocząć, właśnie ją dogoniło.

Skręcając w las, odwróciła się jeszcze i zobaczyła, że nieznajoma szybkim krokiem ruszyła w drogę powrotną. Przez chwilę przyglądała się czerwonej kurtce migającej między drzewami, a potem z westchnieniem ruszyła swoją ścieżką.



Tak, Diana wiedziała doskonale, że w parku narodowym nie wolno chodzić poza wyznaczonymi szlakami. I pamiętała, że kiedy po raz pierwszy, wiosną, złamała tę zasadę, zobaczyła miejsce, które odmieniło jej życie.

Potraktowała to jako symbol. Dotychczas zawsze przestrzegała norm, starała się zwracać uwagę na dobro innych, przedkładała zasady ponad własne pragnienia. Tak ją uczono w szkole, tego wymagano, więc uznała, że tak właśnie być powinno. Tymczasem okazało się, że kiedy ona szanuje normy, inni mają je gdzieś, a razem z nimi także ją. I że zamiast nagrody wciąż dostaje od życia po głowie.

A kiedy po raz pierwszy w życiu złamała przepisy — choć w słusznej sprawie, bo przecież myślała, że trzeba pomóc kotu — właśnie wtedy otrzymała od losu prezent, o jakim nawet nie marzyła. Znalazła najpiękniejsze miejsce na świecie, a wraz z nim poczucie, że wie, co powinna zrobić.

Czy to nie symboliczne? — po raz kolejny zadała samej sobie to pytanie.

Nie, nie oznaczało to, że miała teraz zamiar walczyć z systemem i lekceważyć wszelkie zakazy, przecież wiele norm i zasad uważała za słuszne. Nie miała zamiaru krzywdzić ludzi czy działać poza prawem, ale w tym jednym przypadku wiedziała, że będzie robiła rzecz niedozwoloną.

Musiała co jakiś czas odwiedzić wrzosową polanę. Tak naprawdę nigdy nawet na nią nie weszła. Nie odważyła się. Miała poczucie, że gdyby

stała pośród wrzosów, w jakiś sposób skaląby to piękne miejsce. Tak długo było ukryte przed ludzkim wzrokiem i nadal nie powinna tam stać ludzka stopa. Miało pozostać naturalne, piękne, jedynie podziwiane spomiędzy drzew. Odwiedzać je jednak musiała. Robiła to regularnie, mniej więcej co miesiąc.

We wrześniu wpadła też na pewien pomysł. Postanowiła, że sfotografuje swoją polanę w każdym miesiącu roku, a zdjęcia powiesi na ścianie naprzeciw łóżka, żeby każdego ranka móc patrzeć na ukochane miejsce.

W niedzielę poproszę pana Stacha, żeby przez zimę wykonał mi piękne ramki do tych zdjęć — pomyślała.

Nie wyobrażała sobie lepszej oprawy do fotografii wrzosowej polany, ale nie chciała angażować starca w tę pracę w sezonie, gdy całe dni spędzał u stóp Łysicy. Uznała, że podczas zimowych miesięcy mężczyzna łatwiej znajdzie czas na dodatkową pracę. Oczywiście zamierzała mu uczciwie zapłacić, bez taryfy ulgowej.

Szybko doszła do skraju polany i z radością stwierdziła, że dzień był doskonały na październikowe ujęcie. Wrzosa wciąż kwitły obficie, tworząc fioletowy dywan na pozbawionej drzew przestrzeni. Zielone jodły okalały polanę niczym ciemna kotara, a na jej tle krzewy o złotych i purpurowych liściach malowały cudowną mozaikę. Słońce, wiszące na horyzoncie niżej niż latem, przebijało się przez jodłowe gałęzie świetlistymi wstęgami, migocącymi na kropelkach rosy, które osiadły na nitkach babiego lata.

Diana przez chwilę przyglądała się oczarowana tej bajkowej scenerii, po czym wyjęła telefon i zrobiła kilka zdjęć. Wiedziała, że nie oddadzą w pełni prawdziwego piękna, którego była świadkiem, ale czuła, że przypomni je sobie, gdy będzie patrzeć na zatrzymaną na odbitce chwilę.

Chętnie zostałaby dłużej na skraju polany, ale obowiązki wzywały.

Nadal jestem więźniem zegarka — westchnęła. — Cóż, nikomu chyba nie udało się zupełnie od tego uwolnić. Zresztą nie mogę narzekać, w końcu sama wymyśliłam sobie nowe zajęcie. I podjęłam się go także dlatego, żeby móc tu mieszkać i odwiedzać wrzosową polanę.

Po raz ostatni zerknęła na wrzosa i odwróciła się. Teraz już nie potrzebowała pomocy w odnalezieniu drogi powrotnej. Nauczyła się rozpoznawać mijane drzewa, spróchniałe pnie i bez kłopotu dotarła do szlaku. Pomachała panu Stachowi, ale już nie zatrzymała się przy jego stoliku. Wiedziała, że zrozumie i nie będzie miał pretensji.

Spokojnie, zdążę — powtarzała w myślach. — Mam jeszcze czterdzieści minut. Może nawet wypiję szybką kawę.

Już z daleka zobaczyła kobietę w czerwonej kurtce, która stała na przystanku i nerwowo przestępowała z nogi na nogę. Gdy Lisowska zbliżyła się, nieznajoma ją zagadnęła.

— Przepraszam panią bardzo, czy pani tutaj mieszka?

— Tak. — Diana niechętnie przystanęła. — W czym mogę pomóc?

Znowu to cholerne przywiązanie do norm społecznych — pomyślała. — I chęć niesienia pomocy. To właśnie one zawsze mnie gubią i stają się przyczyną życiowych porażek. A miałam być asertywna.

— Czy wie pani może, o której będzie najbliższy autobus do Kielc? Tutaj rozkład jest zupełnie nieczytelny...

Rzeczywiście, ktoś zerwał kartkę z wypisanymi godzinami przyjazdu autobusów i busów. Widocznie jakiś znudzony albo podchmielony typ w ten sposób okazał swoją pogardę dla systemu.

Powinam go niby rozumieć — przeszło Dianie przez głowę — ale jakoś nie potrafię. To takie bezmyślne utrudnianie życia innym...

— Z tego, co wiem, musi się pani uzbroić w cierpliwość — odpowiedziała, patrząc w poważne oczy kobiety. — Myślę, że jakiś bus będzie najwcześniej za około godzinę. O tej porze nie jeżdżą zbyt często.

— Godzinę? — odparła z niedowierzaniem kobieta. — Ale ja nie mam tak dużo czasu! Muszę jak najszybciej dojechać do miasta!

W głosie nieznajomej Diana wyczuła nie tylko zdenerwowanie, ale i strach.

— Czy coś się stało? Źle się pani czuje?

Kobieta pokręciła głową.

— Nie, ja czuję się dobrze. Tu chodzi o... — zawahała się, ale dokończyła — chodzi o moją matkę. Jest w... Jest chora i dostałam wiadomość, że pojawiły się jakieś problemy. Muszę jak najszybciej do niej dojechać.

Popatrzyła Dianie w oczy i ta zobaczyła w jej spojrzeniu błaganie i coś w rodzaju desperacji.

A więc ta rozmowa w lesie dotyczyła jej matki — domyśliła się. — To musi być już staruszka. A jeśli naprawdę jest źle i ta kobieta nie zdąży na czas?

W ułamku sekundy podjęła decyzję.

— Proszę powoli dojechać tam. — Wskazała drogę. — Do skrzyżowania. Ja pobiegnę do domu i za chwilę podjadę samochodem. Zawiozę panią do Kielc.

— Naprawdę?! — W oczach nieznajomej pojawiła się nadzieja.

— Tak — rzuciła krótko Lisowska i już biegła w stronę domu.

Nie mogłam inaczej — tłumaczyła sobie, starając się nie zwalniać tempa. — Nie mogłabym przestać myśleć o tym, że nie pomogłam i ta kobieta nie pożegna się z matką. To byłoby przecież okropne. Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo — uznała.

Otworzyła szeroko bramę, wpadła do domu, chwyciła kluczyki od samochodu i natychmiast wybiegła z powrotem na podwórko. Silnik na szczęście nie zawiódł i Diana ruszyła w kierunku głównej ulicy.

Powinnam zdążyć dojechać do Kielc i wrócić przed zajęciami — kalkulowała. — Jeżeli nie wrócę przed przyjazdem grupy, to mają do mnie numer. Zadzwoń, a wtedy poproszę, żeby chwilę poczekali.

Zatrzymała się przed stojącą na poboczu kobietą.

— Proszę wsiadać. — Pochyliła się i otworzyła drzwi od strony siedzenia pasażera.

— Bardzo pani dziękuję — powiedziała nieznajoma. — To naprawdę ważne, inaczej nie zawracałabym głowy — tłumaczyła się. — Na pewno ma pani zajęcia, plany...

— Są rzeczy ważne i ważniejsze — odparła Diana. — A na to, co potrzeba, zawsze wystarczy czasu — powiedziała, nieświadomie powtarzając słowa pana Stacha. — To dokąd jedziemy?



Przez całą drogę milczały. Kobieta w czerwonej kurtce pochłonięta była całkowicie swoimi myślami, a Diana o nic nie wypytywała. Nawet na rękę było jej milczenie pasażerki, bo nie czuła się za kierownicą jeszcze zbyt pewnie i wolała koncentrować się na jeździe. Obawiała się, że rozmowa mogłaby ją rozproszyć. Poza tym starała się jakoś pogodzić swoje małe doświadczenie z presją jak najszybszego dotarcia do celu.

Wiedziała, że nieznajoma i tak zyskała na czasie, ale wciąż się obawiała, czy kobieta zdąży do chorej matki. Co prawda, nie była pewna, czy staruszka jest umierająca, ale kto wie, co może się wydarzyć?

Wreszcie wjechały do Kielc.

— Proszę mnie wysadzić na najbliższym postoju taksówek — odezwała się wtedy kobieta.

— Teraz trudno znaleźć z marszu postój — odparła Diana. — Wszyscy zamawiają taksówki przez aplikację, w konkretne miejsca.

— Tak? — Kobieta była zdziwiona. — Proszę wybaczyć, dawno nie korzystałam. Miałam własne auto, a potem... — przerwała. — W takim razie niech mnie pani wysadzi przy galerii handlowej. — Wskazała na duży budynek tuż za skrzyżowaniem.

— Może jednak zawiozę panią na miejsce? — zaproponowała Lisowska.

— Zna pani numer, pod którym można zamówić tę taksówkę? — Kobieta zignorowała propozycję.

W takim razie nie będę się narzucać — zdecydowała Diana. — Właściwie to nawet lepiej, bo szybciej wrócę.

Podaa kobiecie numer, z którego jeszcze kilka miesięcy wcześniej sama często korzystała. Ta zamówiła taksówkę i wysiadła przed obrotowymi drzwiami galerii, a Diana szybko ruszyła, mając świadomość, że zatrzymała się w niedozwolonym miejscu. Na szczęście we wstecznym lusterku nie zobaczyła samochodu policji i odetchnęła z ulgą. Z tego akurat złamania zasad nie była dumna.

Zawróciła i gdy dojeżdżała z powrotem do skrzyżowania, dojrzała, że kobieta w czerwonej kurtce wsiada do taksówki.

Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze — pomyślała. — A teraz muszę jak najszybciej wrócić do Wrzosowej Polany.

Pokonała bez problemu odcinek trasy szybkiego ruchu i na rondzie zwanym rondem Małysza skręciła w kierunku Ameliówki. Nazwa ronda nie była oczywiście oficjalna, a jedynie używana przez mieszkańców Kielc i okolic. Wzięła się stąd, że często nieuważni kierowcy, którzy nie zauważyli ostrzegawczego znaku, zamiast skręcić, lądowali rozpędzonym samochodem na środku ronda.

Dianie na szczęście to nie groziło. Znała trasę i nie przekraczała dozwolonej prędkości. Minęła zalew w Cedzynie, potem kościół w Leszczynach i po chwili jechała malowniczą drogą przy przełomie Lubrzanki. Wiedziała, że jest już niedaleko celu — jeszcze tylko Ciekoty, Wilków i będzie w Świętej Katarzynie.

Gdy skręciła w boczną uliczkę prowadzącą do jej domu, zobaczyła idącą chodnikiem grupę. Odetchnęła z ulgą.

Nie spóźniłam się — pomyślała. — A tak właściwie to oni się spóźnili. — Zerknęła na zegarek umieszczony na kokpicie samochodu. „Wycieczki zawsze się spóźniają” — przypomniała sobie słowa pana Stacha. — Skąd wiedział?

Nie zastanawiała się nad tym dłużej, zadowolona, że wszystko dobrze się skończyło. Wjechała na podwórko i zaparkowała swojego volkswagena beetle przy ogrodzeniu. Gdy wysiadła, poklepała z czułością czarną maskę.

— Kochany samochodzik. — Uśmiechnęła się. — Dobrze, że jesteś i mnie nie zawodzi.

Po raz kolejny podziękowała sobie za to, że zdecydowała się odnowić swoje umiejętności prowadzenia samochodu i odważyła wsiąść za kierownicę. To bardzo ułatwiało jej życie.

A dzisiaj nawet dzięki temu pomogłam komuś, może w czymś ważnym — dodała w myślach.

Auto kupiła pod koniec września, w wyborze pomógł jej Rafał. Sam to zaproponował i bardzo do zakupu namawiał.

— Jeśli nie będziesz regularnie jeździć i nie zaczniesz od razu, to znowu wszystko zapomnisz i stracisz pewność siebie — tłumaczył. — A praktyka czyni mistrza.

Diana przejrzała wiele ogłoszeń, lecz nie mogła się zdecydować. Nie miała żadnych preferencji co do marki, wiedziała tylko, że chce małe auto, które nie pali zbyt wiele.

— Musi do mnie przemówić — upierała się, odrzucając kolejną podpowiedź Rafała. — Kiedy go zobaczę, będę wiedziała, że to ten.

I tak właśnie się stało. Pewnego wieczora weszła na portal z ogłoszeniami o sprzedaży i zobaczyła go. Od razu zdobył jej serce — niewielki, może nieco pokraczny, ale sympatyczny. A na dodatek sprzedawca mieszkał zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od Kielc.

Rafał pojechał z nią, zabrał także swojego kolegę mechanika. Orzekli, że auto warte jest ceny i że nie powinno sprawiać jej kłopotu.

— Przynajmniej przez jakiś czas — zastrzegł mechanik. — Bo trzeba pamiętać, że ma już swoje lata.

— I co ty na to? — zapytał Rafał.

— Mógłby mieć weselszy kolor — odparła Diana. — Na przykład pomarańczowy. Albo zielony...

— Kobieta... — westchnął mechanik, mający najwyraźniej dość stereotypowe podejście do spraw płci.

— Dobra, biorę — podjęła decyzję projektantka. — Czuję, że się polubimy.

I chyba przecucie jej nie myliło, skoro chętnie wsiadała za kierownicę, a auto naprawdę nie sprawiało kłopotów. dzielnie znosiło jej drobne błędy i zbyt późne zaciskanie sprzęgła przy zmianie biegów, co na szczęście zdarzało się coraz rzadziej.

— A dzisiaj jestem dumna z nas obojga — powiedziała do swojego garbusa nowej generacji. — Daliśmy radę.

Szybko pobiegła do domu, zrzuciła kurtkę i zmieniła sweter. Zerknęła przez okno i zobaczyła, że grupa akurat wchodzi na podwórko. Diana wyszła im naprzeciw z szerokim uśmiechem.

— Witam was we Wrzosowej Polanie. — Rozłożyła ręce w powitalnym geście.

— Dzieeeeń dooo-bry — odpowiedzieli chórem.

— Widzę, że dziś trafili mi się bardzo zdyscyplinowani uczestnicy — roześmiała się Diana. — Bardzo dobrze, teraz postaram się do tego dodać trochę gliny, a wasza kreatywność zrobi resztę. — Przeszła przez podwórze i otworzyła wrota stodoły. — Zapraszam do naszej pracowni!



Kilka godzin minęło bardzo szybko. Diana chodziła między stołami, doradzała, chwaliła, czasami pomagała dopracować jakiś szczegół. Wreszcie uznała, że prace są skończone.

Wróciła na swoje stanowisko i zaklaskała w dłonie, żeby zwrócić na siebie uwagę grupy.

— Proszę o ciszę — przyszła jej z pomocą jedna z nauczycielek.

Dzieci były bardzo karne, natychmiast umilkły wszystkie rozmowy, a głowy uczniów zwróciły się w jej stronę.

— No, moi drodzy, zasługujecie na pochwały — powiedziała. — Pracowaliście z wielkim zaangażowaniem, aż miło było popatrzeć.

— Bo to fajne — wyrwało się jednemu z chłopców.

Nauczycielka spojrzała na niego groźnie, więc spuścił głowę.

— Cieszę się, że tak mówisz. — Diana uznała, że nie powinien czuć się winny. Zajęcia u niej nie miały być poważnym wykładem, tylko czasem na swobodę, twórczość i autentyczność. — Miło mi, że moja pasja się wam spodobała. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze coś ulepicie. Wasze prace są ciekawe i naprawdę ładne.

Mówiła szczerze. Biorąc pod uwagę to, że uczestnicy warsztatów byli dziesięciolatkami, ich projekty i wykonanie prezentowały się doskonale. Na drewnianych blatach stało kilka ładnych kubków, dwa całkiem udane koty, kwadratowe pudełko i mniejsze formy przedstawiające postaci i zwierzęta.

— Gotowe prace dotrą do waszej szkoły za dwa tygodnie — poinformowała. — Możecie być z siebie dumni, tak jak ja z was jestem dumna. Dziękuję, że mnie odwiedziliście.

Uczniowie nagrodzili ją brawami, a jedna z dziewczynek nieśmiało podeszła do Diany.

— W imieniu naszej klasy chciałam podziękować za profesjonalne poprowadzenie zajęć. Dzięki pani wiele się nauczyliśmy — wyrecytowała z przejęciem wyuczoną formułkę, a nauczycielka kiwnęła z zadowoleniem głową.

Diana uśmiechnęła się do uczennicy i spojrzała na grupę.

Dobrze, że potrafią się odpowiednio zachować, chociaż wolę ich naturalnych, żywiołowych, takich, jakimi byli podczas lepienia — pomyślała.

— Wasza koleżanka pięknie mi podziękowała, ale dla mnie ważne jest zdanie każdego. Zadam teraz pytanie i wszyscy jednocześnie na nie odpowiecie „tak” albo „nie”. Szczerze i jak najgłośniej, dobrze? — poprosiła.

Pokiwali głowami.

— Uwaga! Pytam! Czy dobrze się bawiliście?

— Tak!!! — wykrzyczało ponad dwadzieścia dziecięcych gardeł.

— I to jest dla mnie najlepsze podziękowanie — roześmiała się Diana.

Kiedy jedna z opiekunek zarządziła ustawienie się w pary, druga podeszła do gospodyni. Wyjęła z torebki tekturową teczkę, a z niej dyplom na grubszym papierze wsunięty w plastikową koszulkę.

— To podziękowania od naszej szkoły dla pani — oznajmiła, wręczając Dianie wyróżnienie. — Na pewno pani zbiera do referencji.

— Dziękuję bardzo — odparła zaskoczona projektantka, która nigdy wcześniej nie otrzymała podobnego świadectwa uznania dla swojej pracy.

— Bardzo nam się podobało — dodała kobieta. — Dzieci się zaangażowały, na pewno to poszerzy ich horyzonty. Nowe doświadczenia zawsze ubogacają.

— Tak, z pewnością — przytaknęła nieco mechanicznie Lisowska.

Odprowadziła grupę do bramy i pomachała uczniom. Gdy odeszli kawalek, popatrzyła na trzymane w ręku podziękowanie.

Referencje? — pomyślała. — Do głowy mi to nie przyszło. Chociaż może to dobry pomysł? Może powinnam zbierać takie dokumenty? Muszę to przemyśleć.

Dla niej najważniejsze było zadowolenie dzieciaków, lecz warsztaty miały być jej źródłem dochodów, a w takim wypadku rzeczywiście warto było pomyśleć o formalnym potwierdzeniu jakości jej oferty.

Musiała zamknąć bramę, więc włożyła foliową koszulkę do ust, żeby mieć wolne ręce. Chwyciła oba drewniane skrzydła, a następnie zasunęła metalowy skobel. Wzięła dokument z powrotem do ręki i spojrzała w ślad za uczniami, którzy już znikali za zakrętem uliczki.

I wtedy zobaczyła stojący tam samochód. Był daleko, ale ukłucie w sercu dało Dianie znak, że podświadomość go rozpoznała.

Bez przesady, niejedno takie auto jeździ po polskich drogach — uspokajała samą siebie, serce jednak już zaczęło szybciej bić, a ręce stały się lepkie od potu.

Popatrzyła jeszcze raz. Ten bagażnik na dachu... I chyba dostrzegła naklejkę na tylnym zderzaku...

Nie daj się ponieść emocjom — usiłowała podejść do sytuacji spokojnie. — Tak naprawdę to nie musi być naklejka, może to odprysk. Rejestracji stąd nie widać, a co dopiero naklejki...

A jednak czuła, po prostu czuła, że to jego auto. I że Mateo siedzi w środku.

Może właśnie patrzy we wsteczne lusterko i mnie obserwuje. — Zaczęła ją ogarniać panika. — Na pewno widział, że dzieciaki stąd wychodzą. Jak długo tam stoi? — Po chwili jednak przywołała się do porządku. — I co z tego? Nie robię niczego złego. Wszystko jest legalne, po prostu pracuję. Może sobie tu stać i patrzeć, ile mu się żywnie podoba. Skoro nie ma nic lepszego do roboty... Nie powinnam się tym wcale przejmować.

Ale rozsądek swoje, a emocje swoje. Diana spostrzegła, że trzęsą jej się ręce.

Powinna teraz wrócić do stodoły, zebrać prace i przenieść je do domu. Potem posprzątać stoły, spakować resztę gliny, uprzątnąć zużyte fartuchy. Nie była jednak w stanie tego zrobić.

Do domu! — przemknęło jej przez głowę. — Tam będę bezpieczna.

Dopiero przed drzwiami, gdy rzuciła wystraszone spojrzenie na drogę, zobaczyła leżącą obok bramy foliową koszulkę z podziękowaniami. Nawet nie zarejestrowała, kiedy dyplom wypadł jej z ręki.

Muszę po niego wrócić. — Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Strach brał górę nad logicznym myśleniem. — Nie zostawię tego tam przecież — pomyślała. — Jeszcze wiatr wywieje go na ulicę.

Ruszyła biegiem w stronę bramy. Schyliła się po dokument i wtedy usłyszała głośny klakson tuż za drewnianymi sztachetami. Krzyknęła głośno i odskoczyła do tyłu.

— Hej! To ja! — usłyszała znajomy głos.

Na podjeździe stało auto Martyny, a ona sama machała ręką przez uchylone okno.

— Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć!

Przeciwnie, pomogłaś mi się uspokoić. — Diana odetchnęła z ulgą i odkrzyknęła:

— Już ci otwieram!

Co za szczęście, że Martyna akurat przyjechała! Lisowska zerknęła szybko na wylot uliczki. Samochód Mateo nadal tam stał.

Może zobaczy, że mam kolejnego gościa, i odjedzie — pomyślała z nadzieją.

Martyna zaparkowała obok auta Diany i wysiadła z samochodu.

— Ależ podskoczyłaś, gdy zatrąbiłam! — roześmiała się i podeszła bliżej, żeby uściskać przyjaciółkę. — Widziałam z daleka, jak idziesz do bramy, więc chciałam wjechać z fanfarami.

— Nie ma problemu. — Diana zmusiła się do odwzajemnienia uśmiechu. — Po prostu mnie zaskoczyłaś.

— Cała się trzęsiesz! — Martyna zrobiła krok w tył i spojrzała badawczo na gospodynię. — Aż tak się wystraszyłaś? Przepraszam...

— Nie, to nie twoja wina. — Lisowska pokręciła głową.

Koleżanka zmarszczyła brwi.

— Coś się stało? Warsztaty się nie udały? Trafiła się tym razem jakaś niesubordynowana grupa młodocianych przestępców? — zażartowała.

— Przeciwnie, aż przesadnie zdyscyplinowana — odparła Diana. — Nauczycielki nieźle ich wytresowały, ale udało mi się wykrzesać z nich naturalną kreatywność. — W jej głosie zabrzmiały nutki dumy. — Chodź do środka, żebyś nie zmarzła.

Projektantka chciała zmienić temat, ale dziennikarski instynkt Martyny nie dał się tak łatwo zwieść.

— W takim razie skąd to zdenerwowanie?

— Pomyślisz, że jestem wariatką...

— To akurat dla mnie żadna nowość. — Martyna mrugnęła porozumiewawczo.

Diana wreszcie się uśmiechnęła. Obecność drugiego człowieka podziałała na nią kojąco, a humor przyjaciółki zawsze poprawiał jej nastrój.

— No, mów! — zażądała dziennikarka, obejmując ją. — Wiesz, że mnie możesz powiedzieć wszystko.

— Wiem. Ale to takie... — Diana wzruszyła ramionami, a gdy Wrońska popatrzyła wyczekująco, skapitulowała. — Dobra, niech będzie, powiem — zdecydowała. — Widzisz, kiedy odprowadzałam grupę, zobaczyłam na końcu ulicy samochód. Jestem przekonana, że to auto Mateo i że on tam siedzi. Obserwuje mnie. — Głośno przełknęła ślinę. — A teraz to już sama nie wiem... Chyba spanikowałam. Właściwie z tej odległości nie mogę być pewna... — tłumaczyła się nerwowo.

— Mateo? To ten twój zdradliwy eks? — upewniła się Martyna.

Diana opowiadała jej sporo o byłym partnerze i dziennikarka, delikatnie mówiąc, nie czuła sympatii do tego typu.

— Tak — potwierdziła niechętnie Lisowska.

— Myślisz, że nadal cię prześladowuje?

— Właśnie nie wiem — odparła bezradnie Diana. — Zaczynam sądzić, że może popadam w paranoję...

— No to zaraz się przekonamy — zdecydowała Martyna.

Zanim Diana zdążyła zareagować, Wrońska wróciła do samochodu, zapaliła silnik, cofnęła i z piskiem opon wyjechała na uliczkę. Diana podbiegła do ogrodzenia, żeby obserwować, co przyjaciółka zamierza.

Auto Martyny szybko zrównało się ze stojącym na poboczu samochodem. Kobieta wysiadła i zastukała w szybę szarego forda. Diana widziała, że pochyła się do szyby, coś mówi. Potem wyjęła telefon i zrobiła kilka zdjęć. Zanim zdążyła wrócić do samochodu, ford odjechał.

— Nie popadasz w paranoję — oznajmiła Martyna, gdy wróciła na podwórko Wrzosowej Polany.

— To jednak był on?

— Owszem. Zapytałam dla pewności, bo gościa nigdy na oczy nie widziałam, i wyobraź sobie, że potwierdził.

Otworzyła bagażnik i wyjęła z niego dużą plastikową torbę.

— I co? — dopytywała Diana.

— Nie jest znowu taki przystojny, jak mówiłaś — stwierdziła dziennikarka. — Podstarzały macho. Sporo zmarszczek, siwe włosy, worki pod oczami — wyliczała. — Może i kiedyś był atrakcyjny, ale czas świetności z pewnością ma już za sobą. Wielkiego powodzenia to ja mu nie wróżę, przynajmniej wśród kobiet mających jakieś wymagania...

— Ale ja cię nie pytam o jego atrakcyjność — przerwała jej Diana. — Co mu powiedziałaś?

— Jak to co? — zdziwiła się Martyna. — To, co powinien usłyszeć.

— Czyli? — niecierpliwiła się koleżanka.

— Oznajmiłam mu, że nie życzysz sobie, żeby cię nachodził i obserwował.

— Posłuchał? — zdziwiła się Diana.

— Próbował fikać — stwierdziła z uśmiechem przyjaciółka. — Że niby może parkować, gdzie mu się podoba, i takie tam bzdury. — Machnęła lekceważąco ręką. — Ale nie ze mną te numery! — dodała, unosząc dumnie podbródek. — Wyjęłam telefon i zaczęłam robić zdjęcia. Przy

okazji poinformowałam pajaca, że sporządzam dokumentację, bo zbierasz materiał, żeby mieć dowody w sprawie o nękanie.

Diana nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

— No co? Dodałam jeszcze, że zobaczymy, czy sąd podzieli jego zdanie. I chyba strach go obleciał, bo od razu pojechał. Skuteczność Wrońskiej? Sto procent!

— Nie wiem, czy ja chcę zaczynać jakieś sądowe spory. — Lisowska pokręciła głową. — Miałabym się jeszcze z nim spotykać? Raczej nie...

— Czy ja ci każę coś zaczynać? Może to ostrzeżenie wystarczy i facet wreszcie ostatecznie zniknie z twojego życia. Ale dowody na wszelki wypadek warto mieć. Przesłać ci te zdjęcia?

— Lepiej nie. — Diana nie chciała oglądać twarzy Mateo.

— OK, w takim razie zostaną u mnie. Nie martw się, nie zginą — zapewniła dziennikarka.

Projektantka pokiwała głową.

— Teraz to już naprawdę zmarłam. To co? Zaprosisz mnie do środka? — zapytała Wrońska.

— Oczywiście, przecież już zapraszałam.

Diana wciąż była nieco oszołomiona nieoczekiwanym rozwojem wypadków. Cieszyła się z interwencji Martyny, ale nie była przekonana, czy odniesie ona pożądaný skutek.

Oby tak było! — pomyślała, wchodząc do domu.

— Już się tak nie zamyślaj — przywołała ją do porządku przyjaciółka, gdy postawiła na stole przyniesioną z samochodu torbę. — Coś wspominałaś, że kiepsko u ciebie z jedzeniem, więc przywiozłam dla nas obiad. — Wskazała na pakunek.

— No wiesz?!

— Wiem tyle, że jestem głodna jak wilk. Podejrzewam, że ty także. Dlatego zamiast się obruszać, rozpakuj i podgrzej, bo pewnie jedzenie już wystygło.

Diana poczuła, że rzeczywiście jest głodna. Z zaciekawieniem zajrzała do torby i wyjęła plastikowy pojemnik.

— Czy to żurek?

— Owszem.

— A to są... kartacze?

— Trafiony zatopiony! — roześmiała się przyjaciółka. — Lubisz?

— Bardzo! — zapewniła Diana. — Skąd wzięłaś takie smakowitości?

— Mieszkasz tutaj i nie wiesz, jakie skarby masz pod nosem — odparła z naganą dziennikarka. — Kupiłam w Jodełce, naprzeciw wjazdu na parking obok klasztoru.

Rzeczywiście, Diana kojarzyła to miejsce, ale jeszcze nie zdążyła do niego zajrzeć. Teraz miała okazję spróbować ich kuchni. Otworzyła pojemniki i poczuła, że ślina napływa jej do ust.

— Pachnie wyśmienicie!

Okazało się, że smakowało równie dobrze. Najedzone kobiety z kubkami pełnymi gorącej herbaty przeszły do pokoju i rozsiadły się na łóżku.

— I jak? Lepiej się czujesz? Uspokoiliś się już? — zapytała Martyna.

— Tak, dużo lepiej — odparła uśmiechnięta Diana. — Wiesz, zazdrozczę ci tej pewności siebie, odwagi i tego, że wychodzisz wyzwaniom naprzeciw.

— Przecież jesteś taka sama — odpowiedziała dziennikarka. — A może nawet odważniejsza, bo pokonujesz przeciwności sama, a ja mam zawsze do pomocy Tobiasza. Prawdę mówiąc, ja po prostu potrafię zrobić wokół siebie więcej hałasu i może dlatego tak mnie postrzegasz. Widzisz, gdy się pracuje w mediach, to trzeba się tego nauczyć. Inni muszą cię zauważyć.

Diana pokiwała głową.

— A jak ci idzie z twoim serialem? Zaglądałam na portal i widziałam, że z odcinka na odcinek masz coraz więcej wyświetleń.

— To prawda, nawet mnie to zaskoczyło — przyznała Martyna. — Oczywiście miałam nadzieję, że się uda, ale liczyłam się też z możliwością porażki. Teraz trudno się przebić, jest mnóstwo vlogerów, streamerów. Ale wygląda na to, że jestem bliska pierwszego stopnia sukcesu, czyli możliwości utrzymania się z tego, co robię.

Dianę ucieszyły te słowa. Z całego serca kibicowała przyjaciółce.

— Może potrzebujesz pomocy? Pożyczki? — zainteresowała się życzliwie. — Do czasu aż staniesz na tym pierwszym stopniu — zażartowała. — Mnie całkiem dobrze się ostatnio wiedzie, więc mam nieco odłożone na czarną godzinę.

— Dzięki, ale nie ma takiej potrzeby — zapewniła Martyna. — Wyobraź sobie, że Tobiasz naprawdę zaczął pracować w pizzerii.

— Serio?!

— Tak. A co najlepsze, ta praca bardzo mu się podoba. W domu nie mówi o niczym innym, tylko o kręceniu ciasta i jakości pomidorów. A, i jeszcze o wędlinach oraz oliwie. Czasami mam wrażenie, że jego świat stał się jedną wielką pizzą — parsknęła śmiechem.

— W sumie to dobrze, że lubi to, co musi robić — zauważyła Diana. — Przynajmniej się nie męczy. Ale zbyt wiele pewnie nie zarobi?

— Szału nie ma, chociaż tragedii też nie — wyznała szczerze Martyna. — Mamy jeszcze trochę oszczędności, a Krzysztof Woliński zgodził się sfinansować koszty jeszcze kilku odcinków, więc mam środki na paliwo i inne wydatki.

— Skoro tak, to super! — Diana upiła łyk herbaty. — Swoją drogą, to szczęście, że poznałam Wolińskiego. Tobie pomaga, mnie załatwił piec i zgodził się na barterową zapłatę — wyliczała. — Bez niego obu nam byłoby trudniej, prawda?

— Fakt, świetny z niego facet — przyznała Wrońska. — A u ciebie rzeczywiście ciepłutko.

— Nie mogę narzekać. Staram się oczywiście oszczędzać, ale widzę, że nie zbankrutuję przez ciepłe kaloryfery. Gdybym tak jeszcze mogła jakoś ogrzewać stodołę... — westchnęła.

— Zimno już tam?

— Jeszcze nie tak bardzo, ale wiem, że niedługo będzie. Muszę coś wymyślić, bo rezerwacje są też na listopad. Mam nadzieję, że zima nie przyjdzie prędko. Ściany w stodole są nieszczelne, więc temperatura tam taka sama jak na dworze. Tyle że dach jest i na głowę nie pada. Od wiosny do jesieni dam radę tam pracować, ale zimą? Cóż, wygląda na to, że i ta

praca będzie sezonowa, a najzimniejsze miesiące będę spędzała, leniuchując przy piecu. — Uśmiechnęła się.

Rozmawiały jeszcze dłuższą chwilę, ale gdy zapadł zmrok, Martyna zdecydowała, że pora jechać.

— Może Tobiasz przyniesie pizzę na kolację. — Mrugnęła porozumiewawczo do Diany. — Już się nie mogę doczekać. Nie odprowadzaj mnie. Sama zamknę bramę. A ty trzymaj się ciepło!

Uścisnęły się na pożegnanie.



Kilka kolejnych dni minęło szybko, Diana nie miała zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Wstawała wcześnie, przygotowywała zajęcia, prowadziła warsztaty i poczuła, że dwie grupy jednego dnia to już naprawdę wyzwanie.

Kończyła pracę około osiemnastej, a zanim sprzątnęła po wyjściu uczniów, był już wieczór. Po kolacji czuła takie zmęczenie, że wystarczało jej sił jedynie na prysznic, i zasypiała, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Na szczęście znalazła czas na wyjazd do sklepu, ale zadowolona się marketem w Ciekotach, żeby nie tracić czasu. Przewidując zaopatrzyła się w zapas dań w słoikach, więc między warsztatami udawało się jej zjeść gołąbki lub pierogi. Nie mogły się oczywiście równać z daniami z Jodełki, ale pozwalały szybko zaspokoić głód. Co prawda, po kilku dniach takiej diety Diana obiecała sobie solennie, że podczas weekendów będzie przygotowywała obiady na kolejny tydzień i mroziła je lub pasteryzowała w słoikach.

Kolejne doświadczenie, które mnie czegoś nauczy — pomyślała, myjąc puste słoiki.

Była sobota, Diana miała zamiar dłużej pospać, ale jej organizm najwyraźniej przyzwyczał się do wczesnego wstawania, bo obudziła się o wpół do siódmej i poczuła, że już nie zaśnie. A że poranne czynności

także nauczyła się wykonywać szybko, to teraz stwierdziła z zaskoczeniem, że wszystko jest zrobione, a zegarek wskazuje dopiero ósmą.

Czyżbym stawała się ekspertką od organizacji czasu? — Uśmiechnęła się na tę myśl.

Kiedyś lubiła mieć wszystko zaplanowane i zrobione w terminie, ale życie z Mateo to zmieniło. Mężczyzna wymagał, żeby ich plany były podporządkowane jego licznym pomysłom. Właściwie to Diana nigdy do końca nie wiedziała, co będą robili, więc w takiej sytuacji trudno było coś przewidywać. Domowe obowiązki i pracę wykonywała zwykle wtedy, gdy partner wychodził — czasami rano, czasami po południu. A gdy był w domu, po prostu robili to, co akurat wymyślił.

Wspomnienie Mateo sprawiło, że odruchowo spojrzała w okno. Przez kilka dni zamykała na noc okiennice, ale ponieważ nic podejrzanego się nie działo, uznała, że interwencja Martyny przyniosła skutek i mężczyzna już się nie pojawi. Poprzedniego wieczora już nie wychodziła, żeby zabezpieczyć okna.

Zastanawiała się, co powinna zrobić z wolnym dniem, i przypomniała sobie, że przecież ma jeszcze zobowiązania wobec Wolińskiego. Jego ogród wymagał przygotowania do zimy, więc uznała, że najlepiej będzie część prac wykonać już dziś.

— Widzisz, Kociu, jeszcze kilka godzin musisz poczekać na drapanie za uchem. — Popatrzyła na kocura i rozłożyła bezradnie ręce. — Ktoś musi zarabiać na karmę.

Kot miauknął i opuścił kuchnię z wysoko podniesionym ogonem, a Lisowska roześmiała się głośno na tę ostentacyjną kocią dumę.

Ubrała się w ciepły golf i puchowy bezrękawnik, zabrała termos z herbatą i starannie zamknęła dom.



W ogrodzie biznesmena także na dobre rozgościła się jesień. Dzikie wino oplatające ogrodzenie i pnące się po ścianie wokół tarasu poczerwieniało i pięknie kontrastowało z ciemnym drewnem, tworząc na deskach skomplikowany wzór liści i gałązek. Między krzewami zakwitły białe, niebieskie, różowe i fioletowe astry — kolorowe akcenty na ciemnozielonym dywanie.

Diana najbardziej lubiła powoli przekwitające hortensje. Ich ogromne kwiaty, jeszcze miejscami ciemnoróżowe, ale w większości już pozbawione koloru, były ozdobą ogrodu.

Ogromne kwiatostany przez całą zimę będą cieszyły oczy właściciela — pomyślała.

Tak jak podejrzewała, brzozy zaczęły już zrzucać liście. Kochała te drzewa o białej korze, wzbudzały w niej zawsze romantyczny nastrój. Zawsze z wyjątkiem jesieni — wtedy ich żółte listki spadały i Diana nie znała bardziej czasochłonnej pracy niż ich grabienie. Mozolne to było zajęcie, a właśnie ono ją dzisiaj czekało.

Nie ma co narzekać, trzeba to po prostu zrobić — pomyślała rzeczowo i poszła po grabie do domku na narzędzia, który stał na tyłach ogrodu, wśród rozrośniętych tui.

Bez ociągania zabrała się do pracy i tak zażarcie zajęła walką z liśćmi, że nawet nie zauważyła przyjazdu gospodarza, dopóki nie usłyszała:

— Dzień dobry!

Odwróciła się i uśmiechnęła na widok mężczyzny prowadzącego rower.

— Dzień dobry! Byłam pewna, że pan jeszcze śpi. — Otarła wierzchem dłoni spocone czoło.

— Jak widać taki ranny ze mnie ptaszek, jak i z pani — odpowiedział. — Obudziłem się skoro świt i postanowiłem aktywnie zacząć dzień. — Wskazał na swój jednośląd.

— Jak pan widzi, miałam podobny pomysł.

— W takim razie może teraz ma pani ochotę na kawę?

— Chętnie. — Pokiwała głową.

Posiedzieli kilkanaście minut, popijając świeżo zaparzony napar i z przyjemnością wystawiając twarze na działanie promieni słonecznych. Diana spod przymrużonych powiek obserwowała unoszące się w powietrzu nitki babiego lata.

— W takich chwilach jeszcze bardziej się cieszę, że zamieniłem miasto na dom tutaj — powiedział Woliński.

Diana poczuła, że świetnie ujął w słowa dokładnie to, o czym myślała.

Ustalili jeszcze, że realizację jej projektu zieleni wokół jego firmy rozpoczną wczesną wiosną, porozmawiali o programie Martyny, który biznesmen bardzo chwalił.

— A ten odcinek, którego pani jest bohaterką, ma największą oglądalność — zauważył Woliński.

— Och, to dlatego, że był pierwszy. Wkrótce kolejne go przebiją. Martyna jest bardzo ambitna. To miło, że jej pan pomaga.

— Bez przesady. Mam w tym przecież interes. — Mrugnął. — Reklama mojej firmy pojawia się przed każdym odcinkiem i po nim. Dlatego tak uważnie obserwuję oglądalność. — Uśmiechnął się.

No tak, przecież jest przedsiębiorcą, a nie instytucją charytatywną — pomyślała Diana. — Liczy się dla niego zysk. Ale to miłe, że zgodził się zaangażować, w końcu na początku nie wiedział, czy to się opłaci.

Podziękowała za kawę, pożegnała Wolińskiego i ruszyła w kierunku domu. Miała nadzieję na spokojne popołudnie, jednak już po chwili się przekonała, że los ma w stosunku do niej zupełnie inne plany.

Zobaczyła ich, gdy wyszła zza zakrętu. Na szczęście byli zajęci rozmową i nie zauważyli jej. Szybko wycofała się w bezpieczne miejsce i oparła o betonowe ogrodzenie jednego z domów.

Tym razem nie miała najmniejszych wątpliwości — to był Mateo. Stał na chodniku i nie wyglądał na przestraszonego. Przeciwnie, uśmiechał się tym swoim uroczym uśmiechem, na który i ona kiedyś dała się nabrać. Najbardziej zaskakujące jednak było to, z kim rozmawiał. Jego towarzyszką była Anna, nauczycielka, z którą Diana nie miała najlepszych stosunków. Po ostatnim incydencie dotyczącym małej Julki projektantka nie widziała kobiety i właściwie prawie zapomniała o jej istnieniu.

A tymczasem ona stoi sobie i rozmawia w najlepsze z Mateo — pomyślała ze złością. — I to w pobliżu mojego domu. Skąd oni w ogóle się znają?

I znowu poczuła, że serce wali jej jak oszałałe. Fala strachu zalała ją tak gwałtownie, że Diana musiała mocniej oprzeć się o ogrodzenie.

Nie wyjdę teraz i nie przejdę obok nich — pomyślała z przerażeniem. — Ta kobieta już pokazała, że jest nieźrównoważona. Mogłaby znowu zacząć swoje szalone oskarżenia, a Mateo miałby powód do radości. Nie, nie mogę teraz się pokazać.

Przez moment przyszło jej do głowy, że powinna zastosować metodę Martyny, ale czuła, że nie ma na to siły. Poza tym nie chciała konfrontacji z obojgiem naraz.

Lepiej będzie, jeśli mnie nie zobaczą — zdecydowała.

I chociaż czuła się jak tchórz, to lęk okazał się silniejszy.

Przez moment wytężyła słuch, ale nie udało jej się usłyszeć, o czym rozmawiają.

Na pewno zaczepił ją, żeby wypytać o mnie — doszła do wniosku. — Że też musiał trafić akurat na nią! Na pewno usłyszy o czarownicy, o przeklętym domu i inne bajki, które przyjdą do głowy tej kobiecie.

Cóż, nie miała na to żadnego wpływu. Wiedziała, że nie powinna dłużej stać za rogiem, bo każde z nich mogło zaraz odkryć jej obecność. Ani z nią, ani z nim nie miała ochoty rozmawiać — tego była pewna. Odwróciła się

i poszła do następnego skrzyżowania, gdzie skręciła w prawo, w stronę lasu. Doskonale wiedziała, dokąd ta droga ją doprowadzi. I czuła, że właśnie tej wizyty bardzo potrzebuje. Wbrew temu, co mogli myśleć miejscowi, dla niej domek na skraju miejscowości był miejscem, w którym podczas pierwszej wizyty poczuła się bezpiecznie, a jego gospodyni, choć była nieszablonową postacią, już dawno przestała budzić w Dianie strach. W przeciwieństwie do tych, których przed chwilą ujrzała.

Potrzebuję czegoś, co mnie uspokoi — pomyślała. — A może też doda odwagi.

Wiedziała, że tam, dokąd zmierza, na pewno to znajdzie.



Gdy podeszła do domku Greta, drzwi były uchylone, mimo to zapukała.
— Wejdz — usłyszała głos dochodzący z wnętrza.

Przekroczyła próg, przeszła przez niewielką sień i zajrzała do kuchni.

— Dzień dobry — przywitała się. — Widziała mnie pani przez okno?

Gospodyni podniosła głowę. Siedziała przy stole i notowała coś w zeszycie, ale po słowach gościa przerwała swoje zajęcie i zamknęła notatnik. Diana ze zdziwieniem zauważyła różową okładkę z jednorożcem.

— Innych nie mają w naszym sklepie — wyjaśniła Greta. — A co? Spodziewałaś się pergaminu zszytego konopnym sznurkiem? — Uśmiechnęła się lekko.

— Chyba tak — wyznała szczerze Lisowska.

— Jak to u czarownicy, co? No, ale jednorożec to też magiczne stworzenie, więc może jakoś zniesiesz to rozczarowanie.

Diana parsknęła śmiechem. Zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo dała stereotypom zawładnąć swoimi myślami.

— Nie stój tak w drzwiach, siadaj. — Kobieta wskazała jej miejsce po drugiej stronie stołu.

— Była pani zajęta, chyba przeszkodziłam...

— Gdybym nie chciała cię gościć, to z pewnością nie otwierałabym drzwi, nie sądzisz?

I znowu Diana musiała przyznać jej rację.

Usiadła na wskazanym miejscu i dyskretnie rozejrzała się po kuchni. Podobały jej się wiszące pod sufitem zioła, stojące na półkach moździerz i słoiczki. Tworzyły dość niesamowity klimat i projektantka wybaczyła sobie to zaskoczenie różowym jednorożcem.

Tymczasem gospodyni postawiła duży miedziany czajnik na jednej z fajerek swojej kafłowej kuchni. Do emaliowanego kubka wsypała zioła, które wyjmowała z płóciennych woreczków. Diana zauważyła, że bezgłośnie porusza przy tym ustami.

Ona naprawdę czaruje — pomyślała. — Jestem pewna, że właśnie wymawia jakieś zaklęcia.

Siedziała nieruchomo, jakby zahipnotyzowana tym magicznym spektaklem rozgrywającym się na jej oczach. Siwy warkocz, długa spódnica i chusta na ramionach gospodyni idealnie pasowały do scenografii i tworzyły razem doskonały obraz.

Stuknięcie kubka o blat sprawiło, że otrząsnęła się z myśli i wróciła do rzeczywistości.

— Teraz było dobrze, co? Bez żadnych zgrzytów? — mruknęła Greta i z powrotem usiadła na swoim miejscu.

— Naprawdę nie wiem, jak pani to robi. — Diana pokręciła z niedowierzaniem głową.

— To nie ja — zaprzeczyła zielarka. — To ty sama.

Lisowska nie bardzo rozumiała, o co kobiecie chodzi.

— Przecież to pytanie, które zadałaś, wchodząc, też nie było przypadkowe — dodała Greta.

— Jakie pytanie?

— O to, czy widziałam cię przez okno. Po co je zadałaś? Przecież nikogo innego byś o to nie zapytała. Byłabyś pewna, że tak właśnie było.

— Właściwie...

— Sama widzisz. I jakiej odpowiedzi się spodziewałaś? Może powinnam powiedzieć, że wyczułam, że nadchodzisz, a drzwi otworzyłam zaklęciem?

— Bez przesady! — zachnęła się Diana.

— No, nie złość się. — Starsza pani uspokajająco podniosła dłoń. — Po prostu wciąż toczą w tobie walkę racjonalne myślenie i wiara w czary, magię, istnienie innego świata niż ten, który znasz — podsumowała z delikatnym uśmiechem. — Chciałaś potwierdzenia, że cię widziałam, bo to odpowiadałoby twojemu rozumowi. Ale też częśćka ciebie nie chciałaby stracić wiary w ten tajemniczy, niepewny świat.

— To niech mi pani powie, jak jest naprawdę — zażądała Lisowska.

— Ja? A skąd niby mam to wiedzieć? — Siwowłosa zielarka wzruszyła ramionami. — Ty sama musisz znaleźć odpowiedź. Tylko ty wiesz, co czujesz i w co wierzysz.

Diana się zamyśliła.

— Nie licz, że szybko ją znajdziesz — uprzedziła Greta. — Ale nie martw się, przyjdzie sama. Na razie napij się ziółek i powiedz, co cię do mnie sprowadza.

Diana ostrożnie podniosła kubek i powąchała. Napar pachniał dość przyjemnie, więc zdecydowała się wypić kilka łyków. Niestety, smak był gorzki.

— Widzisz, ciągle to robisz. — Greta się uśmiechnęła. — Podjęłaś decyzję na podstawie zapachu i uwierzyłaś, że on zagwarantuje smak. A przecież to nie ma żadnego związku.

— A prościej?

— Prościej? Sądziłam, że nie muszę.

— Chyba przecenia pani moją inteligencję — odparła ironicznie projektantka.

— Nie sędzę.

Milczały przez chwilę.

— Czy ma pani jeszcze trochę dziurawca? — zapytała w końcu Diana.

Greta popatrzyła na nią uważnie.

— Mam. Ale on ci nie pomoże.

— Dlaczego? Przecież uspokaja. Już to sprawdziłam na sobie.

Zielarka pokręciła przecząco głową.

— Niech mi pani nie odmawia. — Diana poczuła, że znowu zaczyna się bać. — Proszę zrozumieć, ja tego potrzebuję. Powiem pani o wszystkim, to sama przyzna mi pani rację.

Opowiedziała o Mateo, o tym, jak uciekła z miasta, a Greta słuchała uważnie.

— Nie chcę go już nigdy oglądać. — Diana otarła łzę, która spłynęła jej po policzku. — Ale on nadal mnie prześladowuje. Ciągłe się tu kręci, dzisiaj rozmawiał z tą nauczycielką. Nie wiem, o co mu chodzi i co planuje, ale coraz bardziej się boję. Muszę, po prostu muszę mieć coś, co mnie uspokoi!

Gospodyni popatrzyła Lisowskiej prosto w oczy.

— Posłuchaj uważnie i zapamiętaj — powiedziała powoli, ściszej głos. — To zły człowiek. A tacy ludzie karmią się strachem i nieszczęściami innych. On wie, że się boisz. O to mu chodzi i z tego się cieszy.

Diana chciała coś powiedzieć, ale Greta podniosła dłoń, nakazując jej milczenie.

— Musisz wiedzieć, że wszystko jest w tobie, w twojej głowie. To ty decydujesz, czy się boisz, czy nie. Tworzysz ten strach i karmisz zło. Przestań to robić, a zło straci siłę.

— A jeśli...? — wyszeptała młoda kobieta, a starsza od razu weszła jej w słowo.

— Co ma się wydarzyć i tak się wydarzy. Wtedy stawisz temu czoła. Nie pomagaj jednak ciemnej stronie, wspieraj jasną. Daj jej swoją energię, a zło zostanie pokonane. — Położyła rękę na dłoni Diany, a ta poczuła, jak jakieś ciepło rozchodzi się po jej ciele. Jakby wypełniała ją siła i energia. — Żyje to, co karmisz — dodała. — Lubisz rośliny, więc rozumiesz. To, co podlewasz, rośnie, to, czego nie zasilasz, obumiera i usycha. Pamiętaj o tym. To ty decydujesz.

Głośne miauknięcie przerwało ciszę, która zapadła w chatce Grety.

— O, mój łazęga wrócił. — Gospodyni uśmiechnęła się na widok czarnego kocura za oknem. — Bądź tak dobra i wpuść go, gdy będziesz wychodzić — poprosiła.

Diana szybko zamruwała oczami. Zrozumiała, że Greta daje jej sygnał do zakończenia wizyty. O dziwo, nie zezłościło jej to. Czuła, że powinna już wracać.

— Dziękuję — powiedziała tylko.

Zielarka nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się lekko i otworzyła swój zeszyt z jednorożcem.



Wanda Kowal zawsze starała się utrzymywać porządek w trzypokojowym mieszkaniu, które zajmowała razem z matką. Od razu odkładała każdą rzecz na swoje miejsce, raz w tygodniu odkurzała dokładnie każdy kąt i wycierała kurz, a co dwa miesiące robiła generalne porządki i myła okna.

Matka lubiła, gdy wszystko błyszczało, i nauczyła tego córkę. Dlatego teraz, gdy Wanda weszła do domu, od razu zdjęła buty i ułożyła je równo na wyznaczonym przy drzwiach miejscu. Płaszcz powiesiła na swoim wieszaku i odruchowo poprawiła wazon stojący na szafce pod lustrem, bo nie stał równo pośrodku lakierowanego blatu. Przeszła do kuchni, zapaliła światło i nalała wody do czajnika. Włączyła kuchenkę, postawiła czajnik na palniku i zajęła się imbrykiem.

Wciąż przygotowywała herbatę w ten staromodny sposób. Najpierw parzyła w imbryku mocną esencję z herbacianych listków, a dopiero potem nalewała odrobinę naparu do szklanek i uzupełniała wrzątkiem. Tak, do szklanek — takich zwyczajnych, prostych, ustawianych na spodeczkach. Jedynie tak przyrządzony napój smakował matce, starsza pani nie akceptowała ani herbaty w torebkach, ani kubków. Uważała to za nieelegancki wymysł nowych czasów, które były jej obce i wydawały się groźne dla przyzwyczajień i tradycji. Chciała zachować swój świat jak najdłużej i z uporem odmawiała zaakceptowania jakichkolwiek zmian.

Wanda dostosowała się, bo właściwie było jej wszystko jedno. Zanim przeszła na emeryturę, korzystała w pracy z kubków, jadła czasami pizzę i sajgonki zamówione u chińskiego restauratora. W domu jednak zawsze gotowała tradycyjne dania, do każdego obiadu podawała ziemniaki, chociaż sama wolałaby czasem zjeść ryż lub kaszę. Cóż, już dawno doszła do wniosku, że lepiej zrezygnować z wielu rzeczy, byle nie kłócić się z matką.

Zresztą te kłótnie i tak niczego nie zmieniały. Wanda nie potrafiła stanowczo sprzeciwić się matce czy podnieść na nią głos, więc tamta zawsze i tak stawiała na swoim. Wszelkie próby zmiany okazywały się stratą czasu i utratą spokoju, więc odpuszczała.

Teraz także, jak zwykle, wsypała herbatę do imbryka i zalała wrzątkiem. Czekając, aż się zaparzy, popatrzyła na ciemne niebo za oknem. Nie zobaczyła ani jednej gwiazdy.

Jakby wszystkie pogasły — przeszło jej przez głowę i wzdrygnęła się.

Poczuła zimny dreszcz, więc dotknęła kaloryfera. Był gorący, najwyraźniej spółdzielnia rozpoczęła sezon grzewczy. Wanda czym prędzej przykręciła zawór. Tyle się nasłuchiwała o podwyżkach cen ogrzewania, że wiedziała o konieczności oszczędzania. Nawet z dwóch emerytur nie było łatwo żyć. Owszem, biedy nie cierpiały, ale matka potrzebowała coraz więcej leków i Wanda ostatnio wyszła z apteki z pełną reklamówką i pustym portfelem. Wiedziała, że trzeba nieco zacisnąć pasa.

Najwyżej wyjmę z pawlacza dodatkowe koce — zdecydowała, odwracając się z powrotem w stronę kuchennego blatu.

Nalała esencję do szklanek, uzupełniła gorącą wodą, nasypała do każdej po łyżeczce cukru i wkroiła po kawałku cytryny. Postawiła gotowe napoje na metalowej tacy i wtedy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła.

Opadła na taboret i pustym wzrokiem patrzyła na dwie szklanki z parującą herbatą.

Siedziała tak dłuższą chwilę, zastanawiając się, co właściwie czuje. Nie znalazła odpowiedzi. Wstała, wzięła do ręki jedno naczynie i poszła z nim do salonu. W pustym pokoju cisza zdawała się ją oblepiać, włączyła więc telewizor. Właśnie zaczynał się program informacyjny, który oglądała

każdego dnia. Dzisiaj jednak nie potrafiła się skupić na głosie prowadzącego.

Przynajmniej nie jest tak cicho — pomyślała.

Upiła kilka łyków herbaty. I nagle dotarło do niej, że nie wie, co ma robić.

Właściwie nie było to zupełnie nowe uczucie. Dokładnie tak samo było wczoraj i przedwczoraj — i każdego wieczora od dwóch tygodni, czyli od dnia, gdy odwiozła matkę do domu pomocy społecznej.

Nadal trudno było Wandzie nawet w myślach nazywać miejsce, w którym teraz przebywała jej matka. Starła się o tym nie myśleć, wyprzec to ze świadomości, ale nie udawało się.

Każdego dnia odwiedzała duży budynek w centrum miasta, wchodziła na drugie piętro, otwierała drzwi sali i spędzała przy łóżku matki większą część dnia. Musiała być pewna, że wszystko jest tak, jak powinno. Nikt przecież lepiej od niej nie wiedział, jak opiekować się staruszką. Robiła to od lat, właściwie całe życie. Mieszkały razem i to Wanda z każdym rokiem obserwowała, jak matka się starzeje, słuchała o jej dolegliwościach, znała wyniki badań. Obudzona w środku nocy potrafiłaby powiedzieć, jakie leki i w jakich dawkach przyjmuje matka. Wiedziała, jak lubi mieć ułożone poduszki, kiedy lubi rozmawiać, a kiedy woli być sama. Wystarczyło spojrzenie, drobny gest, zmarszczenie czoła — Wanda w lot rozumiała, co oznaczają.

Nawet kiedy matka zaczęła zapominać, co przed chwilą mówiła, nawet gdy nie chciała się umyć, gdy protestowała i odmawiała przyjmowania leków, nawet wtedy Wanda robiła wszystko, żeby matce było jak najlepiej.

I chociaż już od dwóch lat coraz częściej staruszka była w swoim świecie, gdzie przeszłość mieszała się z wytworami wyobraźni, a rzeczywistość nie istniała, to i tak jej córka nie ustawała w dbaniu o jej wygodę. Była na każde zawołanie w dzień i w nocy, bo matka za nic miała czas odmierzany przez zegary. W jej świecie były niepotrzebne i Wanda musiała to zaakceptować. Jakoś dawała radę, zresztą przeszła na wcześniejszą emeryturę, kiedy matki nie można już było zostawić bez opieki.

— Wiem, że będę miała niższe świadczenie, ale mama nie chce żadnej obcej osoby w domu — wyjaśniała koleżankom, które chciały odwiedzić ją od tej decyzji. — Zrozumcie, to moja matka, jest ważniejsza niż pieniądze.

Życie Wandy stało się tak związane z życiem matki, że teraz, gdy staruszki nie było w domu, kobieta nie wiedziała, co ma robić. Mieszkanie wydawało się zimne i puste, zupełnie obce. Niby miała czas, żeby odpocząć, a nie potrafiła. Wciąż spała czujnie, płytko, budziła się i rozmyślała, czy matka na pewno ma odpowiednią opiekę.

I jeszcze te herbaty — westchnęła.

Dzisiaj matka w ogóle jej nie poznała, mimo to Wanda spędziła przy niej cały dzień. Gdy wychodziła, zaczepiła ją jedna z pielęgniarek.

— Niech pani jutro nie przychodzi — powiedziała. — Przecież to bez sensu. Powinna pani odpocząć, zająć się sobą. Mama ma tutaj naprawdę dobrą opiekę, zadbamy o nią — zapewniła.

Zająć się sobą? — pomyślała teraz Wanda, wpatrując się w kawałek cytryny pływający w szklance. — Łatwo powiedzieć. A co ja właściwie miałabym robić?

Kilka dni temu spróbowała. Pojechała do Świętej Katarzyny na spacer. Kiedyś, dawno temu, spędziła tam miłe chwile i postanowiła je sobie przypomnieć. I jak to się skończyło? Westchnęła. Matka dostała ataku astmy, a pielęgniarki nie mogły znaleźć jej inhalatora.

A tyle razy powtarzałam, gdzie go kładę. Jak mam zostawić matkę? A gdyby wtedy się udusiła? Nie darowałabym sobie tego... — myślała strapiona.

Chociaż wiedziała, że w słowach pielęgniarki było wiele racji, to i tak zasypiała z postanowieniem, że następnego dnia znowu pojedzie do domu opieki.



— Naprawdę? — Martyna nie mogła uwierzyć w opowieść Diany. —

— Ten facet po raz kolejny przyjechał?

— Mówię ci przecież — odpowiedziała.

Postanowiła podzielić się z przyjaciółką emocjami dzisiejszego dnia, a jednocześnie pomyślała, że łatwiej uda jej się pokonać strach, gdy usłyszy czyjś głos.

Po powrocie do domu zamknęła okiennice i zaszyła się w pokoju. Otuliła nogi ciepłym kocem, a Kocio ułożył się obok niej, łaskawie tolerując drapanie za uchem. Zadzwoiła do Wrońskiej.

— Zrobiłaś oczywiście zdjęcia? — zainteresowała się dziennikarka.

— Nie miałam jak. Przecież nie mogli mnie zobaczyć.

— Szkoda. Byłby kolejny dowód. Ale nie przejmuj się za bardzo — dodała szybko. — Ta twoja czarownica ma rację: strach jest w twojej głowie.

— Łatwo ci mówić... Liczyłam, że mnie zrozumiesz — mruknęła zrezygnowanym tonem Lisowska.

— Rozumiem i współczuję ci, bo trafiłaś na fatalny egzemplarz. Dziad jeden! — warknęła Martyna. — Co to trzeba mieć w głowie, żeby się tak do kogoś przyczepić! Mężczyzna na poziomie potrafi rozstanie przyjąć z godnością. Powinien się zająć swoim życiem.

— Jemu to powiedz — westchnęła Diana. — Ja naprawdę mam obawy, czy on nie zrobi czegoś złego...

— Miejmy nadzieję, że nie. Może rzeczywiście tylko o ciebie rozpytuje, bo chce ci zatruć życie ot tak, dla własnej satysfakcji. Ale na wszelki wypadek bądź ostrożna, dobrze? — poprosiła.

— Jestem — zapewniła ją przyjaciółka.

— Postaram się wpaść do ciebie niedługo. Bywam niedaleko, więc będę miała po drodze.

— A gdzie ty właściwie jeździsz? — zainteresowała się Diana. — Ostatnio też wspominałaś, że załatwiasz coś niedaleko.

— Tak się akurat składa — odpowiedziała dziennikarka. — Wiesz, jak to jest w biznesie medialnym: różne miejsca, różni ludzie — trajkotała podejrzanie szybko. — W każdym razie podjadę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

— Jasne, wiesz, że zawsze chętnie cię widzę.

— No, no, już myślałam, że masz mnie dość — zazartowała Martyna.

— Jak możesz nawet tak pomyśleć?! — oburzyła się Diana.

— Dobra, dobra, przecież nie mówiłam poważnie. Ale teraz już serio: będę dzwoniła każdego wieczora, a ty, gdyby się coś działo, od razu łap za telefon. Przyjedziemy z Tobiaszem z odsieczą.

— Dzięki, wiem, że mogę na was liczyć — podziękowała z uśmiechem podniesiona na duchu Diana.

— W takim razie jesteśmy w kontakcie. Miłego wieczoru!

— Pa!

Lisowska odłożyła telefon i sięgnęła po książkę leżącą na nocnej szafce. Ostatnio nie miała siły nawet na wieczorną lekturę, więc postanowiła to nadrobić. Pomyślała też, że zanurzenie się w literackim świecie pomoże jej zapomnieć o denerwującej rzeczywistości.

Przebiegała wzrokiem po kolejnych rzędach liter, Kocio mrucał miarowo i Diana zaczęła powoli zatapiać się w historii głównej bohaterki. Niestety, zanim na dobre weszła w książkowy świat, rozległ się dźwięk telefonicznego dzwonka. Nastrój prysł, a kobieta ze złością cisnęła książkę na drugą stronę łóżka.

Pewnie Martyna o czymś sobie przypomniała — pomyślała i nie patrząc nawet na wyświetlacz, przesunęła palcem po ekranie. Przyłożyła telefon do ucha.

— Ja rozumiem, że mamy być w kontakcie, ale nie minęło chyba nawet pół godziny od naszej ostatniej rozmowy — zawołała.

Usłyszała sygnał zakończonej rozmowy. Spojrzała na listę połączeń. Nie zobaczyła tam imienia dziennikarki, lecz zupełnie nieznaną numer.

Kurczę, kto to mógł być? — zastanawiała się. — Może ktoś pomylił numery? Usłyszał obcy głos i się rozłączył.

Skoro i tak przerwała lekturę, uznała, że pójdzie do kuchni i przyniesie sobie coś do picia. Gdy wracała ze szklanką soku, telefon zadzwonił ponownie.

Ten sam numer — stwierdziła. — W takim razie to na pewno jakiś klient w sprawie ogrodu albo kolejne zapytanie o warsztaty.

Usiadła na brzegu łóżka i odebrała.

— Byłem pewien, że minęło więcej czasu od naszego ostatniego spotkania.

Poczuła, że żołądek ściska się jej w ciasny węzeł. Ten głos, którego już nigdy nie chciała usłyszeć! W pierwszym odruchu zamierzała przerwać połączenie, ale przypomniała sobie słowa Greta.

— Po raz ostatni mówię, że nie chcę z tobą żadnego kontaktu — powiedziała odważnie. — I przestań się kręcić obok mojego domu. Zakłócasz mój spokój, a ja sobie tego nie życzę.

— O, proszę! Co za ton! — ironizował Mateo. — Prawdziwa księżniczka! Niestety, muszę cię rozczarować. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Diana nie wiedziała, co powiedzieć, ale mężczyzna niezrażony kontynuował swoją tyradę:

— Ty chcesz mieć spokój?! Naprawdę?! Po tym wszystkim, co mi zrobiłaś?! Po tym, jak mnie potraktowałaś?! Jesteś naprawdę bezczelna, mówiąc do mnie w taki sposób.

Diana w panice zastanawiała się, co ten człowiek wygaduje.

— Wyobrażasz sobie, że uciekniesz od odpowiedzialności?! Że zaszyjesz się w jakiejś chałupie i będziesz sobie kręcić biznes? No to grubo się mylisz! Wiem wszystko, doskonale się orientuję, co robisz, i zajmę się tym, możesz być pewna! — grzmiał.

— Doprawdy? — Chciała dać mu do zrozumienia, że lekceważy jego groźby, ale blado to wypadło.

— Oczywiście. Zacznę od poinformowania urzędu skarbowego o twoich zajęciach z dziećmi. I jeszcze policję zawiadomię, że zaczepiasz dziecko wbrew woli matki. Tak, tak, wiem o tej dziewczynce, którą zwabiasz do siebie nie wiadomo po co — perorował Mateo. — A, i tym starcem handlującym na parkingu też zainteresuję skarbowkę. Zrobią z wami porządek!

Dopóki groził jej, nie umiała zebrać się do kontrataku, ale gdy wspomniał o Julce i o panu Stachu, poczuła przypływ siły.

Nie pozwolę, żeby narobił im kłopotów — pomyślała. — Nie będą cierpieć za moje życiowe błędy.

— Nie zamierzam wysłuchiwać tych bzdur! — przerwała mu stanowczo. — Odczep się wreszcie ode mnie, bo inaczej to ja powiadomię policję. I będziesz się musiał gęsto tłumaczyć.

Nie czekając, czy jeszcze coś powie, rozłączyła się i od razu zablokowała numer, z którego Mateo dzwonił.

„Kwitnie to, co podlewasz” — wspomniała słowa zielarki. — Będę więc dbać o siebie i swoich przyjaciół — obiecała sobie.

Postanowiła wrócić do lektury, chociaż nie było jej łatwo się skupić. Przed zaśnięciem wsłuchiwała się uważnie w każdy odgłos za oknem, lecz zasnęła z przekonaniem, że może choć w małym stopniu udało jej się pokonać lęk.



Martyna weszła do kuchni i pociągnęła nosem.

— Ja wszystko rozumiem, ale nie sędzę, żeby jedzenie na śniadanie odgrzewanej pizzy to był dobry pomysł — stwierdziła z przekąsem.

— A skąd ci to przyszło do głowy?

Tobiasz siedział przy stole i czytał coś z ekranu swojego telefonu. Nawet nie podniósł głowy, żeby spojrzeć na kobietę.

— Czuję przecież — odparła krótko.

— Ach, czujesz pizzę i wnioskujesz, że będzie na śniadanie?

— Tobiasz, oderwij się na chwilę od tego ekranu — zdenerwowała się kobieta. — Rozmawiasz ze mną jak z kimś mało rozumnym.

Mężczyzna posłusznie odłożył telefon.

— A teraz powiedz, dlaczego znowu czuję ten włoski placek. — Postawiła filiżankę na metalowej kratce ekspresu i włączyła urządzenie. — O! To jest odpowiedni zapach o poranku. — Wciągnęła głęboko aromat kawy.

— W pełni się z tobą zgadzam i będę wdzięczny, jeśli zrobisz też dla mnie. A jeśli już tak bardzo chcesz wiedzieć, to nie mam zamiaru zmuszać cię do jedzenia wczorajszej pizzy — wyjaśnił Tobiasz. — Po prostu przeprowadzam eksperyment.

— Słucham?

— Eksperyment — powtórzył. — Wczoraj zmieniłem troszkę proporcję składników w cieście. Wydaje mi się, że wyszło lepsze. Jestem już bardzo

blisko tego, co pamiętam z mojego pobytu w Neapolu. Mówiłem ci.

— Nie sposób zapomnieć — odparła nieco złośliwie. — Opowiadałeś o tej pizzerii chyba z dziesięć razy w ciągu ostatniego miesiąca.

— Bo tam jadłem najlepszą pizzę na świecie — westchnął z rozmarzeniem Tobiasz. — Nigdy nie zapomnę tego smaku i do niego właśnie dążę.

— Warto mieć w życiu jakiś cel. Dobrze, że wreszcie znalazłeś swój — nie szczędziła mężczyźnie złośliwości. — Tylko co ma do tego ten eksperyment, o którym wspomniałeś, i jaki to ma związek ze śniadaniem?

— Ze śniadaniem właśnie żaden. — Tobiasz wzruszył ramionami. — Chodzi o to, że naprawdę dobra pizza smakuje nie tylko świeżo po upieczeniu. O jakości ciasta świadczy też to, jakie jest następnego dnia. Na zimno i po odgrzaniu. Chociaż niektórzy twierdzą, że w ogóle nie powinno się odgrzewać. Właśnie o tym czytam i...

— Dobra, wystarczy — przerwała mu. — Dla mnie najważniejsze jest to, że nie będę musiała jej jeść. Bo nie będę musiała?

— Absolutnie nie — zapewniła.

— Ufff — odetchnęła teatralnie. — Co w takim razie na śniadanie?

— Co tylko sobie zrobisz — odparł z rozbrajającą szczerością. — Mój mózg aktualnie koncentruje się tylko na jednym.

— Tak, wiem, zauważyłam. — Pokiwała głową i po chwili postawiła przed nim filiżankę z kawą. — W takim razie poszukam czegoś w lodówce.

Zaczęła wystawiać na stół kolejno: żółty ser, paczkę z szynką, słoiczek z oliwkami, pomidora, masło i twarożek. Dołożyła chrupkie pieczywo i zajęła miejsce przy stole.

— Tak, na to właśnie mam ochotę — oznajmiła zadowolona.

— Zamierzasz to wszystko zjeść? — zainteresował się Tobiasz.

— A co? Nie mogę?

— Oczywiście, że możesz. Ale pomyślałem, że coś sobie skubnę. — Sięgnął po rzodkiewkę, ale szybko cofnął rękę, bo Martyna zrobiła gest, jakby chciała go pacnąć w dłoń.

— Ty będziesz jadł wynik eksperymentu — powiedziała.

— Rany, chyba dzisiaj wstałaś lewą nogą. — Mężczyzna pokręcił głową.
— Żeby mi jednej rzodkiewki żałować...

Martyna pokazała mu język, ale rzuciła rzodkiewkę w stronę mężczyzny. Złapał ją zręcznie i od razu schrupał.

— A jednak masz jeszcze odrobinę dobra w sercu — powiedział.

— Nie mam zamiaru stracić najlepszego operatora jakiego znam — odparła.

— No, to uważaj. — Pogroził jej palcem. — Bo ten operator wkrótce może na dobre zmienić branżę.

— Że co?

— A to! Podjąłem decyzję, że zapiszę się na profesjonalny kurs dla pizzermanów. Będę się uczył od najlepszych w kraju. A potem ja zostanę najlepszym.

Wrońska z niedowierzaniem pokręciła głową.

— Ty naprawdę zwariowałeś! Chcesz do końca życia kręcić placki?

— Nie wiem, czy do końca życia, ale na razie mi się to podoba — oświadczył beztrosko. — Nie martw się, nie zostawię cię na lodzie. Zresztą wiesz, że lubię też kręcić kamerą. — Mrugnął porozumiewawczo.

— Widać kręcenie to twoje przeznaczenie — parsknęła śmiechem Martyna.

— Oplułaś mnie twaróżkiem — zauważył mężczyzna, starając się zachować powagę. — Ale wybaczam, bo widzę, że humor ci się troszkę poprawił.

— Fakt, rozbawiłeś mnie — potwierdziła. — Wiesz, że zawsze ci kibicuję i możesz robić, co chcesz. Ale naprawdę liczę, że będziemy dalej razem pracować. Nie wyobrażam sobie robienia tego kanału z kimś innym.

— Spokojnie, nie masz się czym martwić. Znajdę czas. — Uśmiechnęła się i sięgnęła po kolejną rzodkiewkę.

— Będziesz musiał go znaleźć jeszcze na posprzątanie po śniadaniu. Bo ja za chwilę muszę wyjść — mruknęła Martyna i wstała od stołu.

— A można wiedzieć, dokąd jedziesz?

— Jestem umówiona z Wolińskim. Muszę z nim omówić kosztorys do kolejnych odcinków — wyjaśniła. — Obiecał kasę, ale ma prawo wiedzieć ile i na co.

— Oczywiście. — Tobiasz z przesadną powagą pokiwał głową.

— O co ci chodzi? — zaperzyła się.

— Ależ o nic. Po prostu ostatnio jakoś często odwiedzasz tego Wolińskiego — zauważył mężczyzna.

— Czy ty coś sugerujesz? — Zmarszczyła brwi. — Chcesz mi coś powiedzieć?

— Może ty mnie?

— Zastanów się, co pleciesz — prychnęła Martyna. — Wyobraźnia cię ponosi. Spotykam się ze sponsorem naszego programu, i tyle. A potem może wpadnę na chwilę do Diany. Do zobaczenia po południu!



Oporanku Wanda wcale nie czuła się lepiej.

Wciąż nie potrafiła wyzbyć się wieloletnich przyzwyczajeń, co zrozumiałe, skoro od kilku lat właściwie każda minuta jej życia była podporządkowana opiece nad matką. O tak wiele rzeczy musiała zadbać, o tylu sprawach pamiętać... Nie miała czasu na powolne wybudzanie się ze snu. Od razu wstawała i z duszą na ramieniu szła do pokoju, w którym spała staruszka. Nie wiedziała, co tam zastanie, bała się nawet pomyśleć, że w nocy mogło stać się najgorsze. Odpędzała tę myśl, wstrzymywała oddech, powoli naciskała kławkę i dopiero gdy zobaczyła otwarte oczy matki albo ruch palców na kołdrze, z ulgą wypuszczała powietrze.

Później zaczynała się codzienna rutyna, na początek poprawienie poduszki, toaleta, która z każdym miesiącem sprawiała coraz więcej kłopotu. Matka nabrała dziwnego wstrętu do zabiegów pielęgnacyjnych, odmawiała mycia, nie dawała uczesać siwych włosów, obcięcie paznokci stawało się prawdziwą walką. Wanda wiedziała, że to z powodu choroby, ale nadal trudno jej było to zrozumieć, bo staruszka przez całe życie ogromną wagę przywiązywała do porządku i czystości.

Następne było śniadanie, a właściwie próby skłonienia do zjedzenia czegokolwiek. Wanda nie wiedziała już, czy matka nie ma apetytu, czy po prostu zapomina o potrzebie jedzenia. Tak czy inaczej, od jakiegoś czasu posiłki coraz bardziej przypominały karmienie dziecka, z tym że zamiast

rozkosznej różowej buzi miała przed sobą pomarszczoną i wykrzywioną niechęcią twarz.

Po śniadaniu podawała matce lekarstwa, co było jeszcze trudniejsze od nakarmienia jej. Kiedy po raz pierwszy staruszka próbowała ją uderzyć, Wanda przeżyła szok. Na nic zdały się wykształcenie i cała zawodowa wiedza. W obliczu agresji najbliższej osoby była bezradna i nie umiała się z tym pogodzić. Przez kilka dni płakała wieczorami z żalu, rozczarowania i bezradności. Kiedy jednak takie zachowanie matki zaczęło się powtarzać, serce Wandy powoli stwardniało i znosiła także to.

Zresztą czasem patrzyła na staruszkę i zastanawiała się, czy to naprawdę ta sama osoba, która ją urodziła i wychowała, z którą spędziła życie. Owszem, zawsze była wymagająca, apodyktyczna i nie znosiła sprzeciwu, ale teraz to wszystko jeszcze bardziej się nasiliło. Poza tym coraz częściej mówiła od rzeczy, nie rozpoznawała swojego pokoju, nie interesowało jej nic oprócz tego, co wytworzył jej niedomagający umysł i przeważnie nie miało żadnego związku z rzeczywistością.

Wanda starała się zachować spokój i cierpliwość. Na początku denerwowało ją, że każdą rzecz musi powtarzać matce kilka razy albo że staruszka miesza teraźniejszość z przeszłością. Tłumaczyła, przekonywała — bez skutku. Wreszcie przestała. Przyjmowała po prostu słowa matki i powtarzała swoje.

Matka coraz częściej zapadała w coś w rodzaju letargu. Siedziała zupełnie zatopiona w swoim świecie, nieobecna, nie mówiła ani słowa. Odchodziła gdzieś, chociaż jej ciało wciąż siedziało na ulubionym fotelu w salonie. Wanda z przerażeniem obserwowała ten proces, bo wiedziała doskonale, jaki będzie jego koniec. Najgorsze jednak było to, że staruszka w najmniej oczekiwanych momentach potrafiła zaktywizować się i robić rzeczy naprawdę niebezpieczne.

Odkąd w nocy postawiła czajnik na gazie i o mało nie spowodowała pożaru, bo zupełnie o tym zapomniała, Wanda zaczęła sypiać bardzo czujnie. Bała się też zostawiać matkę samą w domu. Nie miała pewności, czy ta nie postanowi na przykład wyjść przez okno, dlatego od dłuższego

czasu wychodziła tylko po zakupy, a i to robiła najszybciej, jak mogła. Stojąc w kolejce do kasy, rozmyślała tylko o tym, czy w domu wszystko w porządku. Kiedy przekreślała klucz w zamku, wstrzymywała oddech — tak samo jak każdego poranka przed wejściem do pokoju matki.

I tak codziennie, od rana do wieczora, Wanda żyła dla swojej rodzicielki. Własne potrzeby odsuwała na dalszy plan, nie istniały dla niej wolny czas czy przyjemności. Nic więc dziwnego, że odkąd matki nie było w domu, wciąż nie potrafiła zappełnić tej pustki i zagospodarować sobie życia.

Starła się celebrować każdą czynność, przypomnieć sobie, jak to miło bez pośpiechu zjeść śniadanie i popijać powoli kawę, bez nadśluchiwania, czy z pokoju matki nie dobiega wołanie. Niestety, w takich chwilach zamiast radości i spokoju pojawiały się wyrzuty sumienia. Kobieta czuła, że zrobiła coś nieodpowiedniego, że przedłożyła własną wygodę nad obowiązek opieki nad matką. Jak gdyby zawiodła, okazała się wyrodną córką. Miała wrażenie, że nie tylko ona tak myśli, ale wszyscy w jej otoczeniu. Pamiętała doskonale spotkanie z sąsiadką w sklepie.

Wanda wybierała wtedy pomidory. Mogła to wreszcie zrobić spokojnie i zamierzała cieszyć się tą chwilą, obracając w dłoniach czerwone owoce.

— Dzień dobry! — usłyszała za plecami.

Przywitała znajomą, a ta zapytała o matkę. Wanda odpowiedziała zgodnie z prawdą.

— I bardzo mądrze pani zrobiła. — Rozmówczyni pokiwała głową. — Aż żal było patrzeć, jak się pani zamęcza. Ja rozumiem, że to matka i że chciała pani jak najlepiej, ale przecież starsza pani już i tak o niczym nie wiedziała, prawda?

Wanda pokiwała głową.

— W tej sytuacji dla niej to bez znaczenia, a pani może wreszcie sobie normalnie pożyć — dodała sąsiadka.

I niby wszystko było w porządku, niby zrozumiała, uśmiechnęła się, ale Wanda miała wrażenie, że widzi w jej oczach potępienie. Wróciła do domu z poczuciem winy i zaczęła rozważać sprowadzenie matki z powrotem do domu.

Jak ja mogę sobie pożyc? — zastanawiała się teraz, myjąc szklanę po kawie. — Jak miałabym odpoczywać, bawić się, skoro wiem, że moja matka jest w obcym pokoju, wśród obcych ludzi...

Od razu sięgnęła po telefon i wybrała numer domu opieki.

— Dzień dobry, mówi Wanda Kowal. Jak się dziś czuje moja mama? Czy wszystko w porządku?

— Dzień dobry — usłyszała w odpowiedzi. — Tak, nic złego się nie dzieje. Mama jest już po śniadaniu i teraz siedzi w świetlicy z innymi pensjonariuszami.

— Dziękuję, w takim razie proszę jej powiedzieć, że niedługo przyjadę.

— Pani Wando, myślę, że nie ma sensu dziś odwiedzać mamy. — Głos pielęgniarki był spokojny, ale stanowczy. — Pani Kazimiera jest dziś zupełnie w swoim świecie. Nie ma z nią kontaktu, nawet nie chce rozmawiać. Naprawdę szkoda pani czasu, mama z pewnością pani nie rozpozna.

I co ja mam robić? — zastanawiała się Wanda po zakończonej rozmowie. — Jechać mimo wszystko? Może jednak mama wie, że jestem przy niej, może jakoś to czuje?

Stanęła przy oknie i wyjrzała na podwórze. Pogoda była piękna, kolorowe drzewa i kwitnące na osiedlowym klombie astry zachęcały do skorzystania z uroków jesieni.

Od lat nie miałam czasu, żeby się im przyjrzeć — pomyślała, obserwując z góry fioletowe kwiatki. — Prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałam, że tam są...



— Pani Diano, a jak zrobić taki wianuszek, żeby aniołek wyglądał ładniej?

Lisowska zamrugła szybko. Popatrzyła na stojącą przed nią dziewczynkę, która zadzierając głowę, wbiła w nią wyczekujące spojrzenie.

— Kwiatuszek? Zaraz ci pokażę.

Wzięła z blatu kawałek gliny i paroma wprawnymi ruchami uformowała z niej kilka płatków. Podała kwiatek dziewczynce.

— Nie podoba ci się? — zapytała, widząc zaskoczenie w oczach dziecka.

— Może wolałabyś różyczkę? Nie jest trudno ją zrobić, dasz radę, tylko...

— Ale ja chciałam wianuszek — przerwała jej dziewczynka.

Diana poczuła się głupio, ale szybko wybrnęła z niezręcznej sytuacji.

— Tak, wiem — skłamała. — Ale pokazałam ci, jak zrobić jeden kwiatek. Jeśli ulepisz ich więcej i mniejszych, to zrobisz z nich wianek.

Mała pokiwała głową, akceptując taką odpowiedź, a kobieta odetchnęła z ulgą.

Od rana nie mogła się skoncentrować. Najpierw nałożyła Kociowi karmę do miseczki na wodę, co spotkało się z kocią dezaprobatą. Potem posłodziła dwa razy herbatę i napój był tak słodki, że musiała go wylać. Dalej wcale nie było lepiej. Zapomniała o rozłożeniu foliowych fartuchów i przyniosła je dzieciakom dopiero wtedy, gdy jedna z dziewczynek rozplakała się, bo kolega ubrudził gliną jej nowy sweter.

— Nie martw się, taka niewielka plama z pewnością się wypierze — pocieszała uczennicę, ale ta nie dawała się przekonać.

— Teraz cały dzień będę musiała chodzić w brudnym — pochlipywała i straciła ochotę do lepienia.

Dianie było przykro, że jej niedopatrzenie zepsuło dziecku radość z wycieczki.

Starła się ze wszystkich sił skoncentrować na zajęciach, ale myśli wciąż biegły własnymi torami i nie potrafiła ich okiełznać.

— Czy można taką glinę malować farbami?

Kolejne pytanie od uczestnika warsztatów zmusiło ją do powrotu do rzeczywistości.

— Przecież mówiłam o tym na początku — odparła trochę niecierpliwie.

— Nie mówiła pani — upierał się chłopiec.

— Oczywiście, że mówiłam. Gdybyś słuchał uważnie, na pewno byś wiedział.

— Słuchałem! — oburzył się malec.

— Nie wydaje mi się. — Diana pokręciła głową.

Dlaczego ja się wdaję w tę bezsensowną dyskusję? — pomyślała. — Przecież to jeszcze dziecko, nawet jeśli zapomniał, powinnam po prostu powtórzyć.

Tego samego zdania była chyba nauczycielka, bo podeszła do Lisowskiej i swojego ucznia.

— Co się dzieje, Pawełku? — zapytała podopiecznego.

— Chciałem wiedzieć, czy jak już przyjdą nasze wypalone prace, to będzie je można pomalować — wyjaśnił chłopiec. — Zrobiłem samolot i chciałem, żeby był biało-niebieski, jak ten, którym leciałem na wakacje — tłumaczył.

— Rozumiem. I w czym problem? — dopytywała nauczycielka.

— Bo pani — chłopiec wskazał na Dianę — mówi, że opowiadała o tym na początku zajęć, a wcale tak nie było. Naprawdę słuchałem wszystkiego — zapewnił z przekonaniem.

Rzeczywiście, ma rację — przyznała w duchu Diana. — Mówiłam o szkliwieniu, a nie o malowaniu farbami.

— Chyba źle się zrozumieliśmy, Pawełku. — Starła się uśmiechnąć, choć wyszło trochę krzywo. — Sądziłam, że chciałeś ozdobić swoją pracę szklivem, a tego na warsztatach nie robimy. I właśnie o tym mówiłam.

— To wiem. Ale o farbkach pani nie mówiła.

— Rzeczywiście, masz rację. Przepraszam. — Postanowiła otwarcie przyznać się do błędu. — Jeżeli będziesz chciał, możesz pomalować wypalony samolot. Tylko nie będzie to bardzo trwałe, może się ścierać — ostrzegła.

— Spoko, pomaluję i postawię na półce. — Uśmiechnięty Pawełek pobiegł do swojego stanowiska.

Tymczasem nauczycielka przyglądała się Dianie badawczo.

— Mam wrażenie, że jest pani rozkojarzona — powiedziała, gdy chłopiec nie mógł jej już usłyszeć. — A tyle dobrego słyszałam o tych warsztatach...

Diana poczuła, że musi jakoś ratować swoją reputację.

— Przepraszam, zwykle mi się to nie zdarza — odparła szybko. — Ale dzisiaj niezbyt dobrze się czuję. Boli mnie brzuch, rozumie pani... — Spojrzała porozumiewawczo na nauczycielkę.

Naprawdę wymyślona wymówka zadziałała. Kobięca solidarność i zrozumienie dla comiesięcznych dolegliwości sprawiły, że nauczycielka złagodniała.

— Ach, wiem, jak to jest. — Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. — Rzeczywiście trudno wtedy skupić się na dzieciakach. No i wydają się w takich chwilach szczególnie denerwujące. — Posłała Dianie porozumiewawcze spojrzenie.

— Tak, chwilami — odparła. — Ale naprawdę się staram.

Nie była z siebie dumna, nie lubiła kłamać. Dlatego od tej chwili robiła wszystko, żeby nie dopuścić do kolejnej wpadki. Na szczęście obyło się bez problemów i warsztaty dobiegły końca.

— Niech pani położy sobie ciepły kompres na brzuch — poradziła jej na odchodne nauczycielka. — Mnie to bardzo pomaga.

— Dziękuję, tak zrobię — obiecała Diana.

Odprowadziła grupę do bramy, pomachała dzieciom i uważnie popatrzyła na uliczkę. Na szczęście dzisiaj nie zobaczyła tam żadnego auta. Wróciła do domu i zamiast zrobić sobie coś do jedzenia, położyła się na łóżku. Nawet nie zdjęła roboczego swetra i ocieplanej kamizelki.

Wciąż rozmyślała o rozmowie z Mateo. Nie mogła, po prostu nie potrafiła zrozumieć, o co mężczyźni chodzi. Dlaczego tak jej nienawidził i za co chciał ukarać?

Przecież niczego złego mu nie zrobiłam — myślała, wpatrując się w drewniany sufit. — To on mnie oszukiwał i wykorzystywał. Jeszcze mu mało?

Chwilami przychodziło jej do głowy, że Mateo zwariował. Miała wrażenie, że nie przyjmuje do wiadomości faktów i kieruje się wymyśloną wizją, w której Diana była przyczyną jego nieszczęść i powinna za nie zapłacić. I tego najbardziej się bała. Nie miała pojęcia, jakiego rodzaju zapłaty będzie żądał mężczyzna, lecz miała przeczucie, że może wcale nie chodzić o pieniądze.

A jeżeli naprawdę zrobi mi coś złego? — zastanawiała się. — Jeśli planuje zemstę? Przecież pojawia się tu z jakiegoś powodu... Minęło już prawie pół roku od dnia, w którym z nim zerwałam, a on nadal nie odpuszcza. Czego chce? I czy kiedykolwiek zrezygnuje?

Te rozmyślenia nie były miłe i sprawiły, że Dianę rozbolał żołądek.

To z nerwów — stwierdziła. — A może i z głodu? Od rana niczego nie miałam w ustach.

Jednak na myśl o jedzeniu zrobiło jej się niedobrze.

Z nerwów — zyskała pewność. — Poleżę chwilę, może mi przejdzie.



Musiąa zasnąć, bo gdy usłyszała głośne pukanie do drzwi, w pierwszej chwili nie wiedziała, co się dzieje. Stukanie powtórzyło się i wtedy w jednej sekundzie otrzeźwiała. Razem ze świadomością powrócił ścisk żołądka.

Kto się dobija do drzwi? — panikowała. — Nikogo się przecież nie spodziewam. Czyżby to ON?

Starąa się szybko ustalić jakiś plan działania. Do kogo zadzwoni? Kogo poprosi o pomoc? Martynę? Nie, przyjaciółka jest daleko, w Kielcach, zanim dojedzie, wszystko się może stać. Przyszedł jej do głowy Woliński, ale tę ewentualność także odrzuciła, bo o tej porze biznesmen z pewnością był w swojej firmie.

Trudno, będę dzwonić do Marty — zdecydowała, gdy pukanie nie ustawało. — Przecież tak łatwo nie sforsuje drzwi. I trzeba robić zdjęcia — przypomniała sobie radę dziennikarki. — Żeby mieć dowody.

Chwyła telefon, włączyła aparat fotograficzny i starając się iść jak najciszej, wyszła na werandę. Zbliżyła się do szyby z telefonem w wyciągniętej dłoni i kilkakrotnie szybko nacisnęła boczny guziczek na obudowie. Dopiero wtedy się zorientowała, że przed drzwiami stoi zupełnie inna osoba niż ta, której się spodziewała. Z ulgą przetarła czoło wierzchem dłoni.

— Już otwieram! — krzyknęła.

Kobieta stojąca na progu uśmiechała się, ale na widok Diany natychmiast spoważniała.

— Czy pani źle się czuje? — zapytała zamiast powitania.

Nie czekając na zaproszenie, przekroczyła próg i chwyciła Dianę za nadgarstek. Przez chwilę milczała w skupieniu.

— Bardzo szybkie tętno — powiedziała, spoglądając gospodyni w oczy. — A przy tym jest pani blada jak ściana. Proszę usiąść. — Wskazała na najbliższe krzesło.

Gdy Diana zachwiała się lekko, robiąc pierwszy krok, kobieta pewnie chwyciła ją pod ramię i usadziła na wiklinowym fotelu.

— Pomogę — dodała szybko. — I przyniosę pani wody.

Nie bawiąc się w pytanie po pozwolenie, poszła do kuchni. Diana usłyszała szum wody i jej gość wrócił z kubkiem we wzory odcisnięte w glinie.

— Nie widziałam na suszarce żadnej szklanki — powiedziała z przepaszającym uśmiechem. — A nie chciałam zaglądać do szafek.

— Nie mam szklanek — odparła Diana, która powoli się uspokajała. Wzięła z rąk kobiety kubek i wypila kilka łyków. — Przepraszam za ten niezbyt fortunny początek wizyty. — Próbowała się uśmiechnąć. — Po prostu mam ostatnio trudny czas... trochę problemów... i chyba zbyt nerwowo zareagowałam. Nie potrafię do końca nad tym zapanować — tłumaczyła się.

— Nic nie szkodzi, proszę się tym nie przejmować. — Kobieta machnęła ręką. — To ja przyjechałam bez zapowiedzi i zakłóciłam pani spokój, więc powinnam przeprosić.

— Żeby wszyscy tak myśleli... — westchnęła Diana. — Ale tak czy inaczej, kiepsko się zaprezentowałam jako pani domu. Postaram się to zmienić.

Podniosła się powoli, na szczęście słabość już minęła. Obecność drugiej osoby podziałała na nią uspokajająco.

— Wygląda na to, że przeżyję. — Uśmiechnęła się. — I nawet odważę się zaproponować pani coś więcej do picia niż wodę. Kawa? Herbata?

— W moim wieku kawa o tej porze nie jest wskazana. — Kobieta odwzajemniła uśmiech. — Więc jeżeli mam wybór, to poproszę herbatę. Tylko niezbyt mocną.

— Oczywiście. Chodźmy do kuchni, bo na werandzie jest chłodno. Nie mam tu ogrzewania — wyjaśniła.

Diana włączyła czajnik. Wyjęła z szafki dwa kolejne kubki i nasypała do nich herbaty.

— Bardzo miłe wnętrze — pochwaliła kobieta.

— Dziękuję. Sama urządziłam — powiedziała z dumą. — Część rzeczy została po poprzednim właścicielu, więc poszalałam z pędzlem, a resztę przywiozłam ze sobą albo dokupiłam. Może to nie pałac, ale lubię ten mój domek.

Postawiła na drewnianym stole kubki z herbatą.

— Dziękuję. Muszę powiedzieć, że jest pani zaskakująco otwarta. Przyjmuje pani obcą osobę jak starą znajomą.

— Nie taką obcą — sprostowała Diana. — W końcu spędziłyśmy razem chyba kwadrans — przypomniała.

— Rzeczywiście, ma pani rację. Ale wtedy nawet się nie przedstawiłam. Byłam taka zdenerwowana...

— To zrozumiałe — uspokoiła ją gospodyni. — W takiej sytuacji...

— Nadrobię to teraz. Jestem Wanda Kowal. — Podniosła się i wyciągnęła rękę.

— Bardzo mi miło. Diana Lisowska. — Uścisnęła dłoń nowej znajomej. — Czy teraz możemy już napić się herbaty?

— Jak najbardziej — przytaknęła Wanda.

— Nie spodziewałam się gości i niestety, nie mam niczego, czym mogłabym panią poczęstować. Co prawda planowałam kupić ciasteczka na taką ewentualność, ale mam ostatnio tyle na głowie, że...

— Nic nie szkodzi — przerwała Wanda. — Tak się składa, że ja coś mam.

Diana dopiero teraz zauważyła, że kobieta oprócz torebki miała ze sobą także płócienną torbę. Teraz wypakowała z niej paczkę, a gdy rozwinęła

papier, oczom Diany ukazał się okrągły sernik oblany czekoladową polewą.

— Pomyślałam, że powinnam pani jakoś podziękować za tę przysługę — wyjaśniła Wanda. — Upiekłam więc ciasto. Mam nadzieję, że pani lubi?

— Z rodzynekami? — zainteresowała się Diana.

— Tak.

— Uwielbiam! — odparła szczerze. — Ale nie trzeba było — dodała szybko. — Przecież to normalne, że pomaga się komuś, kto tego potrzebuje.

— I normalne, że ktoś za to dziękuje — odparła z uśmiechem kobieta. — Proszę wybaczyć, że nie jest cały, ale odkroiłam kawałek dla mamy. Ona też bardzo lubi sernik.

— Oczywiście, rozumiem. Mam nadzieję, że pani mama ma się już lepiej. Wtedy odniosłam wrażenie, że dzieje się coś złego...

— Tak, na szczęście udało się opanować sytuację.

— A długo jeszcze będzie w szpitalu? Przepraszam, że tak dopytuję, ale myślałam o tym i martwiłam się, czy wszystko poszło dobrze.

Diana przyniosła talerzyki i łyżeczki. Ukroiła po kawałku ciasta i położyła na talerzykach.

— Mama jest schorowana, ma już swoje lata — odpowiedziała Wanda.

— Robię, co mogę, żeby było jej jak najlepiej. Przynajmniej taką mam nadzieję.

— Z pewnością tak jest.

— Widzę, że ma pani te kubki, które wtedy tak mi się podobały. — Wanda uznała, że woli zmienić temat. — Niestety, nie zdążyłam kupić. A u pani cała kolekcja.

— Nic dziwnego. Sama je robię — roześmiała się Diana.

— Naprawdę? Dlaczego się pani wtedy nie przyznała?

— Czy ja wiem... Jakoś nie potrafię się chwalić. A sernik wyśmienity!

— Cieszę się, że smakuje. Proszę sobie nie żałować, to na chudym serze i prawie bez cukru, więc trochę zdrowszy niż te kupne. O kaloriach nie wspominam, bo pani nie musi ich liczyć.

— Dziękuję za komplement, ale nawet gdyby jeden kawałek miał kilka tysięcy kalorii, i tak bym go zjadła — zapewniła Diana. — Mam słabość do tego ciasta, trafiła pani w dziesiątkę.

Rozmowa potoczyła się gładko.

Bardzo sympatyczna osoba — pomyślała Lisowska. — Miło się z nią rozmawia, jest mądra i taka... opanowana. W dobrym tego słowa znaczeniu. Przy niej można poczuć się bezpiecznie i spokojnie.

— Właściwie nie powinnam przyjąć od pani tych podziękowań — powiedziała do nowej znajomej.

— A niby dlaczego?

— Wtedy pomogłam ja, a dzisiaj pani mnie — przypomniała. — Muszę powiedzieć, że podziwiam zimną krew. Ja w obliczu nieoczekiwanych sytuacji zwykle panikuję, zwłaszcza gdy chodzi o sprawy zdrowotne. Nie mam pojęcia, co robić.

— To niedobrze — zauważyła Wanda. — O ile się zorientowałam, mieszka pani sama. Trzeba umieć reagować w nagłych wypadkach.

— Łatwo powiedzieć...

— I łatwo zrobić — zapewniła starsza kobieta. — Wystarczy zapisać się na kurs pierwszej pomocy przedmedycznej. Często organizuje takie PCK czy inne instytucje. Są darmowe i dają naprawdę solidną porcję wiedzy i umiejętności. Polecam.

— Dobry pomysł, zainteresuję się tym — obiecała Diana.

Ona na pewno taki skończyła — pomyślała, zerkając na Wandę. — Wiedziała, jak zmierzyć puls, pewnie umiałaby też zrobić sztuczne oddychanie. W ogóle sprawia wrażenie osoby, na którą można liczyć w każdej sytuacji.

Wanda została jeszcze około godziny, a potem pożegnała Dianę i poszła na przystanek.

— Chciałabym dotrzeć do domu przed informacjami. Wie pani, w moim wieku ma się już pewne nawyki i trudno je zmienić. — Uśmiechnęła się z lekkim zawstydzeniem.

— Może panią odwiozę? — zaproponowała gospodyni.

— Mowy nie ma! Idąc tutaj, zapytałam o panią w sklepie i przy okazji okazało się, że mają tam rozkład jazdy busów. — Spojrzała na zegarek i dodała: — Zdążę w samą porę. Bardzo dziękuję za gościnę.

— To ja dziękuję za pyszny sernik. Proszę zajrzeć do mnie, jeśli jeszcze kiedyś przyjedzie pani do Świętej Katarzyny — zaprosiła Diana. — Postaram się mieć jakieś ciasteczka, chociaż pani ciasta na pewno niczym nie przebije — zażartowała.

— Bardzo pani miła. Oczywiście zajrzę, jeśli tu będę — zapewniła Wanda. — A teraz już naprawdę muszę się pospieszyć. Do widzenia!

Diana odprowadziła gościa wzrokiem. Czerwona kurtka przez chwilę widoczna była w świetle ulicznych latarni, a potem znikła w wieczornym mroku. Lisowska wyszła jeszcze, żeby zamknąć okiennice, potem także drzwi werandy i dokładnie wejściowe do domu. Z tym podwójnym zabezpieczeniem poczuła się o wiele pewniej.

Jutro nie zobaczę przy herbacie jesiennego poranka — pomyślała z żalem. — Trudno, są ważniejsze rzeczy.

Nie miała ochoty na kolację. Nic dziwnego, skoro pochłonęła trzy kawałki sernika. Resztę ciasta schowała do lodówki, ciesząc się, że i następnego dnia ucieszy swoje kubki smakowe ulubionym smakołykiem.

Jakie to życie jest nieprzewidywalne — rozmyślała, stojąc pod prysznicem. — Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek spotkam tę kobietę, a tymczasem ona odnalazła mnie. A ja właściwie nawet nie zapytałam jak. Dopiero przy wyjściu sama powiedziała, że pytała w sklepie. Na szczęście okazała się miłą osobą, ale czy nie powinnam jednak być ostrożniejsza?

Przebrała się w ciepłą, flanelową piżamę, wsunęła nogi w kapcie i poszła do sypialni. Wciąż zastanawiała się nad popołudniowym spotkaniem.

Nie mogę przecież popadać w manię prześladowczą — tłumaczyła sobie. — To, że Mateo rozpytuje o mnie miejscowych i grozi zemstą, nie oznacza, że każda nowo poznana osoba jest jego wysłannikiem. Poznałam tę Wandę w zupełnie innej sytuacji, bez związku z nim. I jest na pewno tak, jak mówiła: chciała podziękować, to wszystko.

Przypomniała sobie słowa Greta i postanowiła, że musi wreszcie zapanować nad strachem, bo w przeciwnym razie zwariuje.

Chcę być otwartą osobą, mam zamiar żyć spokojnie, a poza tym obiecałam sobie, że będę wspierała inne kobiety tak samo, jak robią to w Jagodnie — przypomniała samej sobie. — A jak mam to robić, jeśli nikomu nie będę ufała?

Nakryła się kołdrą, a Kocio natychmiast znalazł się na swoim miejscu tuż obok niej. Machinalnie zaczęła głaskać miękkie futerko.

— Jak ona się musiała przejąć matką — powiedziała do zwierzęcia. — Sama powiedziała, że zapomniała o wszystkim, taka była zdenerwowana. I mówiła, że robi wszystko, żeby matce było jak najlepiej.

Wspomniała własną matkę. Nie widziała jej od wielu lat, ale nawet teraz jedna myśl przywołała od razu wiele obrazów.

Diana doskonale pamiętała, jak uciekała w najdalszy kąt mieszkania przed pijanym ojcem i jego ciężką ręką. Starsi bracia także, chociaż oni potem próbowali walczyć. Nic dobrego z tego nie wynikało aż do dnia, gdy okazali się silniejsi od oprawcy. Ale wtedy byli już na tyle dorośli, żeby szybko wynieść się z domu. Żaden z nich nie kontaktował się potem z rodziną, Diana nie miała pojęcia, gdzie są, czym się zajmują. Ona także, gdy tylko zdała maturę, wyjechała daleko od domu i sama zarabiała na utrzymanie. Skończyła studia, poradziła sobie i czuła z tego powodu dumę. Rodzinnego domu nie odwiedziła ani razu.

A matka? Ona też była w tych wspomnieniach. Bierna, wystraszona, niezdolna do tego, żeby stanąć w obronie dzieci. Nigdy nie zawalczyła o nich, nawet nie spróbowała.

Tak, Diana wiele czytała o współuzależnieniu, o wybaczeniu rodzicom, ale czuła, że nie jest do tego zdolna. Mała dziewczynka w niej nie potrafiła wybaczyć lat strachu, cierpienia i bólu. Lat poczucia, że własnej matce na niej nie zależy, że nie jest kochana.

Matka Wandy musiała być dla niej bardzo dobra, skoro córka tak dobrze się nią teraz opiekuje — pomyślała. — Ja z pewnością nie zrobiłabym tego dla swojej. Nie obchodzi mnie tak samo, jak ja nie obchodziłam jej.



Martyna kilka dni przygotowywała się do tego spotkania.

— Myślisz, że go przekonam? — Spojrzała niepewnie na Tobiasza.

— Nie wiem, nie wiem...

— Uważasz, że to za trudny przeciwnik? — Dziennikarka była wyraźnie podenerwowana. — Że jesteśmy dla niego za mali?

Tobiasz roześmiał się, widząc jej przestraszoną minę.

— Dobrze, że tylko ja znam cię w takim wydaniu.

— W jakim?

— Takim pełnym niepewności i zdenerwowania. Podejrzewam, że nikt nie uwierzyłby, gdybym powiedział, że potrafisz taka być.

Zmarszczyła brwi.

— Martyna, uspokój się. — Położył rękę na jej dłoni. — Nie spotkałem jeszcze osoby, która byłaby dla ciebie, jak to powiedziałaś, za trudnym przeciwnikiem. Zresztą powinnaś teraz podchodzić do spotkań inaczej.

— Co masz na myśli? — zaciekawił ją, zresztą zawsze chętnie słuchała nowych koncepcji i sugestii.

— Teraz nie spotykasz się z rywalami czy z osobami, które masz obnażyć albo wyprowadzić z równowagi. Pomyśl, że tak naprawdę szukasz partnerów, współpracowników. Przecież gracie do jednej bramki: ty masz zarobić i oni też, prawda?

Zastanowiła się nad jego słowami. Miał rację. To już nie wywiady obliczone na oglądalność i wywołanie burzy medialnej. Teraz chciała coś

zrobić i szukała tych, którzy jej w tym pomogą i sami przy okazji będą mieli z tego korzyść w postaci reklamy i dobrego public relations.

— Dobrze mówisz — pochwaliła.

— Doprawdy? — udał zaskoczenie.

— Nie wiem, jak to możliwe, ale bywasz bardzo rozsądny. — Spojrzała na mężczyznę z uznaniem. — Uspokoileś mnie. W podziękowaniu zrobię ci kawę.

— Dziękuję, już piłem.

— Kiedy?

— Kiedy ty nerwowo tupiałaś pod stołem nogą i czytałaś te swoje notatki. — Wskazał głową na plik karteczek, które rzuciła na stół.

— W takim razie mogę zrobić ci tost z serem.

— To już lepsza propozycja. Pod warunkiem że ty także zjesz.

— Wykluczone — zaprotestowała. — Niczego na razie nie przełknę. Najpierw spotkanie. Bez względu na to, czy zmienię swój sposób postrzegania tej współpracy, muszę mieć umysł ostry jak brzytwa. A najedzona nie potrafię myśleć, cała energia idzie mi na trawienie — zażartowała.

Czekało ją spotkanie z prezesem jednej z największych firm w mieście. Normalnie nigdy by się do niego nie dostała. Kiedyś, gdy jeszcze pracowała w telewizji, miałyby szansę, ale teraz, gdy była tylko producentką początkującego programu o regionie, nie udałoby jej się przedrzeć przez asystentów i współpracowników. Wylądowałyby u szeregowego pracownika, w najlepszym razie u dyrektora marketingu, a ci wrzuciliby jej prośbę na stertę innych i zapomnieli o niej od razu, gdy tylko zamknęłyby drzwi.

Na szczęście pomógł jej Krzysztof Woliński. Znał prezesa, z którym chciała się spotkać, i przekonał go do wysłuchania jej propozycji. Wiedziała, że to i tak bardzo wiele.

— Zrobię wszystko najlepiej, jak potrafię — obiecała Wolińskiemu.

— W to nie wątpię, pani redaktor. — Uśmiechnął się.

Ta jego wiara była dodatkową motywacją, ale i obciążeniem. Nie chciała go zawieść, pragnęła udowodnić, że to, co robi, jest warte pomocy, jaką oferował.

— Dobra, lecę — poinformowała teraz, stawiając przed Tobiaszem talerz z tostem. — Smacznego!

— Daj znać, jak ci poszło! — krzyknął za nią.

Jadąc w kierunku wysokiego biurowca, Martyna powtarzała w myślach argumenty, które przygotowała dla prezesa. Teraz musiała je nieco zmodyfikować i zgodnie z sugestią Tobiasza uwypuklić zalety współpracy i korzyści, jakie wspólnie odniosą.

Wysiadła na parkingu i poprawiła swoją skórzaną kurtkę. Zastanawiała się, czy nie lepiej będzie założyć któryś ze swoich żakietów, ale uznała, że nie powinna niczego grać. To nie telewizyjny show, chciała być sobą. Prawdziwą sobą.

Wyprostowała plecy i pewnym krokiem ruszyła w kierunku wejścia do biurowca. W szklanych drzwiach prawie zderzyła się z wychodzącą kobietą.

— Przepraszam panią bardzo! — Odsunęła się szybko.

— Nic nie szkodzi, to ja się zamyśliłam — usłyszała.

Głos wydał się jej znajomy, więc Wrońska się zatrzymała. Kobieta nie mogła jej wyminąć i podniosła wzrok.

To Kulecka! — Martyna była zaskoczona.

Nie sądziła, że może tu spotkać kobietę, przez którą straciła dobre dziennikarskie imię i pracę w telewizji. Prawdę mówiąc, miała nadzieję, że w ogóle już nigdy jej nie spotka. A jednak los bywa złośliwy i właśnie stanęła z nią twarzą w twarz.

— Witam panią! — Nie zamierzała udawać, że jej nie zna ani tym bardziej że wszystko jest w porządku. — Co u pani słyhać?

Kobieta nie odpowiedziała. Usiłowała wyminąć Martynę, ale ta zrobiła krok i zagroziła jej drogę.

— Jak udały się wczasy w Hiszpanii? — zapytała ironicznie. — Wypoczęła pani?

Kulecka głośno przełknęła ślinę.

— Proszę mnie przepuścić — powiedziała cicho.

— Pani mnie o coś prosi? Naprawdę? A pamięta pani, że jeszcze niedawno ja panią o coś prosiłam?

— Przecież pani wie, jaka była moja sytuacja... — Kobieta nerwowo przekładała z ręki do ręki tekturową teczkę.

— A pani wie, jaka jest teraz moja? — Martyna nie bawiła się w sentymenty. Nie miała za grosz współczucia dla tej, przez którą jej życie wywróciło się do góry nogami. — Może to pani umknęło, bo w Hiszpanii zapewne nie odbierają lokalnej kieleckiej stacji telewizyjnej, ale przez panią straciłam pracę. Wyrzucono mnie na bruk, wyszłam na idiotkę i kłamczuchę. Wie pani o tym?

Kulecka westchnęła.

— Ach, czyli pani wie. I jak się pani z tym czuje? Chciałam pani pomóc, zaangażowałam się, a pani wybrała... — Dziennikarka powstrzymała się przed wulgarnym słowem. — Pani wybrała swojego pracodawcę i zagraniczne wakacje.

— Naprawdę nie mogłam inaczej. — Kulecka miała łzy w oczach.

— Owszem, mogła pani — zaprzeczyła twardo Martyna. — Tylko po prostu pani nie chciała. Mam nadzieję, że dobrze się pani żyje ze świadomością wyboru, jakiego pani dokonała. Żegnam!

W dwóch krokach ominęła kobietę i z dumnie podniesioną głową weszła do biurowca.

Była mocno wzburzona, ale wiedziała, że musi się uspokoić, zanim wejdzie na spotkanie z prezesem.

Skoro Kulecka tu była, to znaczy, że jej szef ma wspólne sprawy z prezesem — pomyślała. — Oby nie okazało się, że są przyjaciółmi, bo wtedy od razu jestem skazana na porażkę.

To nie była pozytywna myśl. Ktoś inny na jej miejscu może poddałby się bez walki, ale nie Martyna. Przed drzwiami sekretariatu przeczesła palcami włosy, oblizwała lekko wargi i z pewną siebie miną przekroczyła próg.

— Martyna Wrońska. Jestem umówiona z prezesem — oświadczyła,
zamykając drzwi.



— Dzień dobry! Jak mama? — Wanda zaczęła znajomą pielęgniarce.

— Witam, pani Wando! Wszystko w porządku. To znaczy bez zmian — poprawiła się. Zatrzymała się i chwyciła Wandę za ramię. — Wiem, że chciałaby pani usłyszeć coś innego. Jak każde dziecko — mówiła, jakby naprawdę rozmawiała z małą dziewczynką. — Trudno się pogodzić z takim stanem rzeczy, ale niczego nie uda się już zmienić...

Wanda zacisnęła usta.

— Nie zamierzam z tego powodu przestać się nią interesować — wycedziła przez zęby.

— Nic takiego nie powiedziałam — zaprotestowała pielęgniarka. — Po prostu... Pani Wando, przecież pani doskonale wie, co to za choroba i jak będzie postępować.

— Wiem — odparła krótko.

Poprawiła torebkę na ramieniu i poszła dalej, mijając kolejne białe drzwi pomiędzy pomalowanymi na niebiesko ścianami. Weszła do pokoju, który teraz był domem jej matki. Ze względu na swój stan staruszka nie miała współlokatorki. Normalnie trudno było o pojedynczy pokój, a nawet jeśli udawało się to załatwić, to dopłata do takiej wygody była wysoka. Zdarzało się jednak, jak w tej sytuacji, że niektórzy pensjonariusze po prostu nie mogli dzielić pokoju z innymi.

— Dzień dobry, mamusiu!

Podeszła do staruszki, która siedziała na wózku inwalidzkim ustawionym przy oknie. Pocałowała pomarszczony policzek.

Kobieta nie zareagowała. Patrzyła w jakiś punkt w oddali, ponad dachami sąsiednich budynków.

— Mamo, to ja, Wanda — powiedziała głośniej.

Przecież nie jest głucha — pomyślała z rozpaczą. — Po prostu nie ma jej tutaj. Jest gdzieś indziej, tylko gdzie?

— Popatrzysz na mnie? — Kucnęła obok wózka i zajrzała matce w oczy. — Jestem twoja córka, przyszłam cię odwiedzić.

Znowu nic.

Wanda podniosła się i podeszła do szafki przy łóżku. Machinalnie wyjęła z szufladki ścierkę i na jej miejsce włożyła świeżą, przyniesioną z domu. Potem zamieniła ręcznik, zabierając do prania ten wiszący na oparciu łóżka.

Nie musiała tego robić, dom opieki miał pralnię. Wanda jednak chciała, żeby rzeczy matki pachniały płynem używanym w domu. Miała nadzieję, że czując ten zapach, coś sobie przypomni, choćby strzępki ich wspólnego życia. I że będą to miłe wspomnienia.

— Jak się czujesz, mamo? — podjęła kolejną próbę nawiązania kontaktu.

Niestety, tym razem także nie doczekała się odpowiedzi.

Podeszła do matki i delikatnie pogładziła ją po ramieniu. Pod grubym brązowym swetrem wyczuła kruche, wystające kości.

Jest jej coraz mniej — przemknęło Wandzie przez myśl. — Jakby razem z jej świadomością zniknęło także ciało.

Szybko otarła łzę, która pojawiła się w kącie oka. Wanda nie lubiła okazywać słabości. W samą porę, bo właśnie weszła pielęgniarka, która roznosiła poranne lekarstwa.

— Pani Kaziu, pora na tabletki — powiedziała wesoło i jednym ruchem odwróciła wózek w swoją stronę.

— Co pani robi?! — oburzyła się Wanda.

— Mam podać leki.

— Ale traktuje ją pani jak przedmiot. Tak bezceremonialnie.

— Chyba trochę pani przesadza. — Kobieta poczuła się urażona. — Ale jeżeli pani zrobi to lepiej, nie widzę przeszkód.

— Oczywiście, że zrobię! — Wanda wzięła z ręki pielęgniarki plastikowy kieliszek z pastylkami. — Może pani iść dalej.

— A co to, to nie. Muszę widzieć, że pacjentka na pewno wszystko połknęła.

— Nie sądzi pani chyba, że mogłabym tego nie dopilnować — zdenerwowała się Wanda. — Jestem jej córką, a poza tym...

— Wiem, kim pani jest. A ja tu pracuję i muszę wykonywać swoje obowiązki.

Wanda z dezaprobatą pokręciła głową. Wzięła z blatu szafki kubek z herbatą, podeszła do wózka i pochyliła się nad matką.

— Mamusiu, trzeba wziąć lekarstwa — powiedziała ciepło. — Tutaj są twoje tabletki, będę ci podawać po kolei, a ty połykaj, dobrze?

Staruszka podniosła wzrok i spojrzała na córkę.

— Czego pani ode mnie chce? — powiedziała niespodziewanie silnym głosem.

— Mamo, to ja, Wanda. Tu są twoje leki.

— Przyszłaś mnie otruć?! Tak, ja wiem, wszyscy tu chcą mnie zabić! — Staruszka gwałtownie zamachała rękami. — Ale ja na to nie pozwolę!

— Mamo, spokojnie, to ja, twoja córka. — Wanda za wszelką cenę starała się zachować spokój.

— Jaka córka?! Ja nie mam żadnej córki! Ty jesteś diablicą, morderczynią! Idź stąd! Wynocha! Won! — wykrzykiwała coraz głośniej chora, próbując odepchnąć Wandę.

Ta była zaskoczona jej siłą. Pielęgniarka uznała, że pora interweniować. Podeszła do drzwi i przycisnęła znajdujący się tam guzik.

— Potrzebujemy czegoś na uspokojenie — poleciła koleżance, która przybyła z pomocą.

W tym czasie Wanda bezskutecznie próbowała zapanować nad matką. Musiała złapać ją za nadgarstki i unieruchomić. Staruszka za wszelką cenę chciała się wyrwać, chciała nawet ugryźć córkę.

Na szczęście szybko wróciła druga pielęgniarka ze strzykawką w ręku. Wspólnie przytrzymały starszą panią i zrobiły zastrzyk. Po kilku minutach chora opadła na wózek i ponownie straciła zainteresowanie światem zewnętrznym.

Wanda odsunęła się pod ścianę i patrzyła, jak opiekunki wkładają do ust staruszki kolejne tabletki, herbatę do popicia, a potem sprawdzają, czy w ustach nic nie zostało. Przykry i smutny był to widok.

— Sama pani widzi. — Pielęgniarka rozłożyła bezradnie ręce. — My naprawdę się staramy, ale czasami inaczej się nie da.

Wanda pokiwała głową. Rozumiała, choć nadal nie potrafiła się z tym pogodzić.

— Niech pani idzie do domu — poradziła druga opiekunka. — Może pani dzwonić, a gdy stan mamy będzie lepszy, wtedy ją pani odwiedzi. Miejmy nadzieję, że będzie jeszcze sporo takich momentów.

Wanda bez słowa podeszła do szafki przy metalowym łóżku. Wyjęła z torby kawałek sernika i wyłożyła go na talerz. Popatrzyła na ciasto, potem na matkę.

— Może będzie miała ochotę — powiedziała pozbawionym emocji głosem. — Mama bardzo lubi sernik. — Po tych słowach wzięła torebkę i wyszła.

Pielęgniarki wymieniły spojrzenia. Nie musiały nic mówić, każdego dnia oglądały podobne sytuacje.



Tobiasz wszedł do mieszkania i z ulgą zdjął buty. Dwanaście godzin na nogach sprawiło, że stopy bolały niemiłosiernie. A jednak wcale go to nie martwiło.

Mężczyzna wiele lat podróżował, zwiedził wiele krajów, był na prawie każdym kontynencie. I zawsze, ale to zawsze najlepiej wspominał te dni, po których wieczorem bolały go stopy, gdy odwiedził wiele ciekawych miejsc albo pokonał drogę dzielącą go od następnego wymarzonego celu. Bolące nogi kojarzyły mu się z satysfakcją, osiągnięciem tego, co zamierzał, i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Podobnie było teraz. Choć nie pokonywał odległości, to w pewnym sensie pokonywał samego siebie. Stanie przy stole, na którym robił pizzę, dawało radość, przekonanie, że staje się coraz lepszy w tym, co robi. I to cieszyło Tobiasza.

Pochylił się i roztarł stopy.

Teraz prysznica i spać — pomyślał, patrząc na zegar wiszący na przeciwległej ścianie, który wskazywał kwadrans po północy.

A co z Martyną? — zaniepokoił się. — Nie dała żadnego znaku.

Zadzwoił do niej dwukrotnie, ale włączała się tylko automatyczna sekretarka.

Zajrzał do salonu, ale kobiety tam nie było. Za to kiedy zapalił światło w kuchni, zobaczył ją siedzącą na parapecie. W ręku trzymała papierosa, a obok niej stał kieliszek napełniony winem.

— Ale mnie wystraszyłaś! Co ty tak siedzisz po ciemku? I dlaczego się nie odzywasz? Dzwoniłem...

— Siedzę i patrzę z góry na świat — odpowiedziała pompatycznie.

— Oj, coś mi się wydaje, że jesteś wstawiona. — Przyjrzał się jej uważnie. — Który to kieliszek?

— Kto by tam liczył...

Mężczyzna usiadł przy stole i podrapał się po policzku.

— Chyba powinienem zapytać, chociaż nie wiem, czy to nie jest zbyt ryzykowne...

— Ależ pytaj — pozwoliła łaskawie. — Nie krępuj się.

— Pijesz z radości czy z rozpacz?

— A jak myślisz?

— Po dwunastu godzinach pracy wolałbym uniknąć zagadek — odparł. — Powiesz?

— Oczywiście, że powiem. — Sięgnęła po kieliszek i upiła spory łyk wina. — Mój drogi, niniejszym informuje cię, że... — Zawiesiła głos.

Tobiasz ze spokojem zniósł tę nieudolną próbę podkreślenia atmosfery.

— ...mamy stałego sponsora na dwa lata! — wykrzyknęła z radością.

— Wiedziałem, że dasz radę!

— Akurat! Wcale nie byłeś pewien. — Pokazała mu język.

— Dobra, pewności nie miałem, ale wielką wiarę tak — przyznał.

— Uczciwie muszę powiedzieć, że nie sfinansuje całości kosztów, ale lekko licząc, powinno to być około osiemdziesięciu procent — wyjaśniła Martyna. — Na resztę dozbieram mniejszych sponsorów, a wpływy z reklam na platformie i to, co się uda dodatkowo, to już będzie nasz zarobek.

— Jesteś naprawdę niesamowita!

Tobiasz radował się z sukcesu Martyny. I nie chodziło tylko o finanse, ale głównie o to, że znowu widział ją radosną, zadowoloną i spełnioną.

— Nie dzwoniłam, bo chciałam ci to powiedzieć osobiście — wyjaśniła.

— Wiesz, dla lepszego efektu. — Mrugnęła z szerokim uśmiechem.

— Już wybaczyłem. — Wyjął z szafki kieliszek i nalał do niego wina. — Za twój sukces! — wzniósł toast.

Wypili.

— Może jeszcze po jednym? — zaproponowała Martyna.

— Ja jutro pracuję — przypomniał. — Ale ty możesz tu sobie świętować do rana. Wolny zawód ma swoje prawa, między innymi dzień wolny, gdy tylko chcesz. — Uśmiechnął się.

— Chciałam jutro pojechać do Diany, ale raczej nie dam rady — oceniła swoje możliwości dziennikarka. — Ewentualnie po południu. Mam nadzieję, że jakoś sobie radzi z tym wszystkim.

— Z czym wszystkim? — zainteresował się Tobiasz.

— Szkoda gadać! Ten jej były to naprawdę świr. — Wrońska pokręciła głową i sięgnęła po butelkę z winem. — Ciągłe ją nachodzi, życie nie daje. Dramat! A jeszcze ta stodoła!

Tobiasz nie bardzo rozumiał wywód Martyny. Najwyraźniej wypity alkohol zaczynał już plątać jej myśli.

— Co ma wspólnego stodoła z jej byłym?

— Nic. Tylko zimno tam jest. I nie będzie warsztatów, jak się mocno ochłodzi — wyjaśniła. — Ale jak dużo zarobię, to jej tam założę sto kaloryferów. Zasluguje na to dziewczyna — oznajmiła z przekonaniem. — Ja wiem najlepiej, jak to jest do wszystkiego dochodzić samej!

Tobiasz nie próbował dyskutować.

— Idę spać — oznajmił. — Postaraj się nie robić za dużego rumoru, gdy będziesz szła do łóżka.

— Jasne, będę cichutko. — Przyłożyła palec do ust. — Tylko przyznaj: jestem najlepsza!

— Jesteś, jesteś — potwierdził z uśmiechem.



Październik powoli się kończył, co Diana stwierdziła z zaskoczeniem, gdy wpisywała termin kolejnego zamówionego warsztatu.

— Czy ty wiesz, że za kilka dni Wszystkich Świętych? — zwróciła się do kota, który zwinął się w kłębek na blacie stołu.

Kocio przyjął tę informację z obojętnością, jak wszystko, co nie wiązało się z jedzeniem i głaskaniem.

Właściwie to mnie także nie dotyczy — stwierdziła kobieta. — Nie mam żadnego grobu, który chciałabym odwiedzić, więc to święto nie ma dla mnie znaczenia.

Pamiętała, jak w dzieciństwie chodzili na grób babci, matki jej matki, ale nie wspominała tego dobrze. Babci nie znała, a świąteczne wyjście na cmentarz zawsze poprzedzone było awanturą. Ojciec rozpoczynał świętowanie już poprzedniego wieczora: nie polegało ono na wspomnianiu tych, którzy odeszli, ale na opróżnianiu kolejnych butelek. Powodem do rękoczynów i wrzasków były pieniądze, które matka wydała na znicze i skromną wiązanekę. Gdy kładły ją na kamiennej płycie, Diana czuła złość na tę nieznaną osobę, która pod nią leżała, bo w dziecięcym umyśle zostało zakodowane, że to przez nią poprzedniego wieczora cierpiała cała rodzina.

Oczywiście teraz rozumiała, co naprawdę się działo, lecz tamte wspomnienia w połączeniu z zimnem poranka i zapachem niezliczonej ilości świec nadal budziły złe skojarzenia. Właściwie Diana się cieszyła, że nie musi teraz chodzić na cmentarze.

— Wystarczy spojrzeć za okno, żeby się spostrzec, że za chwilę listopad — kontynuowała swój monolog skierowany do Kocia.

Większość liści zdążyła już opaść, a te, które nadal uparcie trzymały się gałęzi, straciły kolor i uschły. Pomogły w tym przymrozki. Już kilka razy o poranku gałęzie i trawy pokryte były białym szronem, co wyglądało malowniczo — ale tylko zza okiennej szyby. Wieczorami bywało naprawdę zimno, a gdy rano Diana wychodziła otwierać okiennice, musiała zakładać ciepłą kurtkę, szalik i rękawiczki. Na szczęście za dnia temperatura nieco się podnosiła, zdarzało się też trochę słońca, jednak coraz częściej niebo pokrywały chmury, a deszcz miarowo uderzał w dach domku. Lubiła ten odgłos do chwili, gdy z przerażeniem zauważyła podczas warsztatów, że z dachu stodoły w kilku miejscach kapie woda.

Dobrze, że już ostatnie grupy w tym roku — pomyślała strapiona. — Ale wiosną trzeba będzie przeprowadzić remont. Przecież nie może uczestnikom padać na głowę. Jakby nie wystarczyło, że jest tu zimno.

Mimo to lubiła obserwować zmiany zachodzące w przyrodzie. Po raz pierwszy tak wyraźnie dostrzegała, jak wszystko szykuje się do zimowego odpoczynku. Nawet ptaki już nie ćwierkały od rana i nie budziły jej swoimi trelami. Nadchodził czas spokoju i ciszy.

Powinnam brać przykład z natury — doszła do wniosku, spoglądając za okno. — Wyciszyć się, uspokoić, nabrać dystansu i odpocząć.

Ostatnie dni minęły bez żadnych niespodziewanych wydarzeń, więc Diana powoli odzyskiwała równowagę. Tego dnia nie miała umówionej żadnej grupy, więc zdecydowała, że bez pośpiechu pojedzie do marketu i zrobi większe zakupy, a potem postara się rozplanować budżet, skoro musiała wziąć pod uwagę remont dachu stodoły. Zrobiła listę zakupów, zebrała kilka płóciennych toreb, sprawdziła, czy ma kartę płatniczą, zapięła dokładnie kurtkę i otuliła szyję ciepłym szalem.

— Jadę po zakupy — poinformowała Kocia, który miauknął w odpowiedzi.

Na szczęście jej samochodzik nadal nie zawodził i po chwili jechała wąską uliczką w kierunku głównej drogi. Gdy rozpoznała idącą poboczem

postać, zwolniła i opuściła szybę.

— Dzień dobry, panie Stachu!

Starzec zatrzymał się i lekko uśmiechnął na jej widok.

— Witam, witam! — Uniósł dłoń w powitalnym geście.

— Może pana podwieźć?

— Nie trzeba. — Pokręcił głową. — Spacer dobrze mi robi. Póki człowiek chodzi, to żyje. Zresztą ty pewnie w stronę miasta, a ja w przeciwnym kierunku. Do Greta idę — wyjaśnił. — Maść mi się skończyła, a wygląda na to, że moja stara noga jej potrzebuje.

Diana spojrzała na starca z troską.

— Skoro boli, to może jednak podwiozę? To żaden problem, naprawdę.

— Dziękuję, sam dojdę — upierał się stanowczo mężczyzna.

Lisowska zrozumiała, że nie ma sensu się narzucać. Najwidoczniej poczucie samodzielności i siły były dla Stacha ważne.

— W takim razie do zobaczenia!

Ruszyła, ale zanim skręciła w stronę szosy, zerknęła we wsteczne lustro. Rzeczywiście, pan Stach lekko utykał i co kilka kroków na chwilę przystawał.

Musi go mocno boleć — pomyślała ze współczuciem. — Mam nadzieję, że Greta mu pomoże.



Tobiasz wyszedł do pracy już po dziesiątej, zostawiając Martynę śpiącą na kanapie w salonie. Nakrył ją kocem, a na stoliku postawił szklanę z wodą.

Na pewno będzie jej potrzebować, gdy się obudzi. — Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

Nie miał pretensji o jej stan, bo rozumiał, że musiała jakoś odreagować duży stres. Choć nie uważał alkoholu za dobry do tego środek, nie był też ortodoksyjny w tym temacie i nie miał nic przeciwko takiemu świętowaniu, oczywiście raz na jakiś czas.

Należało jej się — stwierdził, wpychając ręce głębiej w kieszenie, bo dzień był chłodny, a on jak zwykle zapomniał o rękawiczkach. — Załatwiła nam finansowanie na dłuższy czas i to od nie byle jakiej firmy. Wielu będzie patrzeć z zazdrością i zachodzić w głowę, jak tego dokonała.

Podziwiał zapał Martyny i jej niezłomność. Sam posiadał podobne cechy, ale wciąż wydawało mu się, że kobieta ma w sobie więcej samozaparć w dążeniu do celu niż on. Nie zazdrościł jednak, przeciwnie — starał się ją wspierać w realizacji zamierzeń.

On dotychczas nie odnalazł swojej życiowej drogi, choć robił w życiu wiele rzeczy i chwycił się różnych zajęć. Dopiero niedawno, ku własnemu zdumieniu, poczuł, że trafił na coś, co naprawdę go wciągnęło i zafascynowało.

Kto by się spodziewał, że po tylu poszukiwaniach moją pasją okaże się zwyczajna pizza — pomyślał z rozbawieniem. — No, nie taka zwyczajna — poprawił natychmiast samego siebie. — Dobra pizza to prawdziwa sztuka.

Zupełnie serio zamierzał zająć się doskonaleniem w tym zakresie i dlatego z oddaniem zaangażował się w pracę. Szef szybko docenił nowego pracownika i choć minęło zaledwie kilka tygodni, Tobiasz już stał się jego prawą ręką i zyskał możliwość doskonalenia się w tym, co go nieoczekiwanie bardzo zainteresowało. Oprócz niego w pizzerii pracowały tylko trzy kelnerki i młody student, który dorabiał do stypendium.

— Cześć, szefie! — rzucił, wchodząc do lokalu.

— Dobrze, że jesteś — ucieszył się właściciel, zwany przez znajomych i personel Masterem. — Muszę załatwić kilka spraw, więc zostawiam cię z tym bałaganem.

— Spoko, dam radę.

— Dobra, tylko przynieś mi jeszcze z zaplecza taki banner zwinięty w rulon. Zawiozę do kumpla, może uda się go jakoś zmienić i jeszcze wykorzystać — polecił Master. — Jest w tym ostatnim pomieszczeniu, wiesz, w tym pierdolniku na badziew.

Tym mianem określali pokoiik, który w przypadku jakiegokolwiek kontroli był zamykany na klucz, a na co dzień służył do przechowywania wszystkiego, co nie miało innego miejsca lub okazywało się niepotrzebne.

Tobiasz posłusznie poszedł do pierdolnika i rozejrzał się w poszukiwaniu banneru. Jednak jego wzrok zatrzymał się na czymś zupełnie innym.

— Szefie! — krzyknął.

— Co tam?!

— Może tu szef na chwilę przyjść?

Maestro podszedł i wymienili kilka zdań. Po chwili odjechał z bannerem w bagażniku, a Tobiasz z zadowoloną miną zajął się przygotowywaniem dodatków do pizzy. Miał jeszcze godzinę do otwarcia lokalu, więc był spokojny, że zdąży na czas.



Diana postawiła ostatnią torbę z zakupami na podłodze obok kuchennych szafek.

— Ufff! — odsapnęła głośno.

Roztarła plecy i z ulgą ściągnęła czapkę.

Musiała chodzić do samochodu trzy razy, zrobiła naprawdę duże zakupy.

Będę miała zapasy na co najmniej miesiąc. — Spojrzała z zadowoleniem na wypełnione wiktuałami siatki. — I nie zapomniałam tym razem o ciasteczkach!

Kocio od razu zainteresował się tym, co przyniosła. Obwąchiwał z zaciekawieniem wszystko, ale po chwili stwierdził, że nie ma tam nic, co byłoby ciekawe dla kota, fuknął pogardliwie i wrócił na swoje ulubione miejsce.

Diana się roześmiała.

— Gdybyś wiedział, że są tam puszki z tuńczykiem, na pewno nie odpuściłbyś tak łatwo.

Zaczęła rozpinąć kurtkę, ale przypomniała sobie, że nie zamknęła przecież bramy.

No i muszę jeszcze raz wyjść — westchnęła.

Przy okazji zamykania drewnianych skrzydeł przypomniała sobie, że dawno nie zaglądała do skrzynki na listy.

W mieszkaniu jakoś zawsze przy wejściu na klatkę rzucała się w oczy — stwierdziła. — A tutaj muszę o niej za każdym razem pamiętać.

Wyszukała w pęku kluczy ten najmniejszy i włożyła go do zamka metalowej skrzynki. W środku zobaczyła kartkę. Nie była w kopercie, po prostu ktoś złożył kawałek papieru na czworo i wrzucił przez otwór. Wyjęła tę nietypową korespondencję i rozłożyła.

NIE DARUJĘ CI TEGO, CO ZROBIŁAŚ!

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem po dużych literach. Były wydrukowane, więc nie mogła rozpoznać charakteru pisma, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, kto jest autorem tej wiadomości. A więc nadal tu przyjeżdża!

Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz zaglądała do skrzynki, ale nie potrafiła jednoznacznie tego stwierdzić. Trzy, a może pięć dni temu?

Myślałam, że odpuścił, i straciłam czujność, a tymczasem on wciąż się tutaj kręci! — pomyślała z przerażeniem. — I to tuż za ogrodzeniem! A może podgląda, co robię? Może fotografuje mnie z ukrycia?

Rozejrzała się dookoła, ale nie dostrzegła niczego niepokojącego. Mimo to strach znowu ścisnął jej żołądek. Lisowska szybko wróciła do domu i zabrała się do rozpakowywania zakupów. Niestety, zdenerwowanie sprawiło, że wszystko leciało jej z rąk. Gdy rozdarła opakowanie makaronu i suche świderki rozsypały się po podłodze, poczuła, że za chwilę się rozpłacze.

Nie mogę tu teraz być — pomyślała w popłochu.

Zostawiła zakupy, odwróciła wzrok, omijając stół, na który rzuciła anonimowy list, szybko założyła buty, chwyciła kurtkę i prawie wybiegła z domu. Mało brakowało, a zapomniałaby o zamknięciu drzwi. Wróciła, żeby to zrobić, a potem już nie oglądając się za siebie, oddaliła się od swojego gospodarstwa.



Nie chciała spacerować po lesie, bo obawiała się, że może być śledzona.

Odludne miejsca to nie najlepszy pomysł — starała się trzeźwo ocenić sytuację, choć najchętniej uciekłyby gdzieś daleko.

Jedyne, co wpadło jej do głowy, to ogród Wolińskiego.

Właściwie to niezły pomysł — analizowała szybko. — I tak muszę zgrabić ostatnie liście, więc nawet jeśli będzie w domu, to wykorzystam pracę jako pretekst.

Trochę podniosła ją na duchu perspektywa bezpiecznego schronienia, więc przyspieszyła kroku i po kilku chwilach stanęła przed ogrodzeniem dużej drewnianej willi. Gospodarz był nieobecny, co stwierdziła po braku samochodu na podjeździe. Miał, co prawda, garaż, ale zwykle wprowadzał do niego samochód dopiero wieczorem. Jak sam mówił, zdarzało się, że musiał gdzieś nieoczekiwanie jechać, i denerwowała go konieczność wyprowadzania auta z ciasnego pomieszczenia.

Diana, jako że miała pozwolenie na pracę także w czasie, gdy biznesmena nie było, śmiało sięgnęła przez ogrodzenie i odsunęła metalowy skobelek otwierający furtkę.

Tak, tutaj nie odważy się wejść — pomyślała z ulgą. — Bałby się, że ktoś jest w domu i będę miała świadka, że mnie nachodzi i nęka.

Widok roślin od razu podziałał na nią uspokajająco. Darzyła ten ogród szczególnym sentymentem. Doprowadziła go do porządku i zadbała o to,

żeby dobrze się prezentował. Mimo że posadzone przez nią kwiaty o tej porze nie kwitły, to nadal kompozycja drzew i krzewów wyglądała całkiem dobrze. W połączeniu z uschniętymi kwiatami hortensji, czerwonymi owocami ostrokrzewów i białymi pniami brzoź różne odcienie zieleni iglaków tworzyły przyjemny dla oka widok.

Lisowska zabrała się do pracy. Grabienie nie tylko pozwalało odegnać złe myśli, ale też dawało to miłe poczucie zmęczenia, które kojarzyło się Dianie z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku. Po trzech kwadransach postanowiła zrobić sobie chwilę przerwy. Wyprostowała się i wsparła o grabie.

I właśnie w tym momencie przed ogrodzeniem zatrzymał się znajomy samochód.

— A to niespodzianka!

Martyna wysiadła i roześmiała się na widok koleżanki. Weszła na posesję i ucałowała Dianę na powitanie.

— Byłaś u mnie i domyślałaś się, że jestem tutaj? — zgadywała projektantka.

— Prawdę mówiąc, to miałam do ciebie jechać później — zmieszała się dziennikarka. — Zaczęłam od ogrodu Wolińskiego, bo pozwolił mi uciąć sobie trochę świerkowych gałązek. Wiesz, na nagrobne stroiki — wyjaśniła.

— O, to widzę, że zostaliście przyjaciółmi — zauważyła Diana.

— Bez przesady. Po prostu omawialiśmy sprawy programu i jakoś tak się zgadało o święcie.

— Nie wiedziałam, że sama robisz wiązanki.

— A żebyś wiedziała, że robię — zdenerwowała się Martyna. — Dla taty zawsze, co roku!

Dianę zaskoczyła jej gwałtowna reakcja.

— OK, w porządku, czy ja coś mówię? — próbowała uspokoić przyjaciółkę. — W sumie to nawet dobrze, że mnie tu zastałaś. Sama ci utnę gałązki, przynajmniej nie będzie obaw, że zaburzysz całość kompozycji. Już dość się namęczyłam, żeby tu wszystko sensownie popodcinać.

— No tak, pani ogrodniczka musi trzymać rękę na pulsie — skomentowała troszkę złośliwie Martyna.

Diana udała, że nie słyszy. Poszła po sekator i po chwili przyniosła dziennikarce naręcz świerkowych gałęzi.

— Wystarczy?

— Tak, w zupełności. — Martyna pokiwała głową. — A tobie długo tu jeszcze zejdzie?

— Właściwie skończyłam.

— A te kupki gałęzi?

— Zostawiam je. Będą w sam raz dla jeży na zimę — wyjaśniła. — Muszą mieć jakieś ciepłe i ustronne miejsca do zimowania.

— A to w puszczy mają za mało? — zauważyła przytomnie przyjaciółka.

Diana spojrzała na nią spod oka.

— Może i masz rację... W takim razie posprzątam to wszystko. — Udała, że się zastanawia. — Ale to zajmie chwilę. Będziesz musiała poczekać na tarasie. Może akurat przyjedzie Woliński... — Zerknęła porozumiewawczo na Martynę.

— Dobra, zostaw to! — zdecydowała dziennikarka. — Zmarzłam. Jedziemy do ciebie na herbatę.

Diana uśmiechnęła się pod nosem i poszła schować narzędzia. Kiedy wróciła, Martyna siedziała już w samochodzie.

Szybko dojechały do Wrzosowej Polany.

— A to co? Trąba powietrzna przeszła? — Wrońska stanęła jak wryta w progu kuchni.

Diana wyrzała przez jej ramię i zobaczyła rozsypany makaron oraz rozłożone w nieładzie zakupy. Zupełnie o nich zapomniała.

— Ach, jakoś dzisiaj mi nie szło... — Chciała powiedzieć coś dowcipnego, ale nie zdążyła, bo przyjaciółka właśnie zauważyła leżącą na stole kartkę.

— To już naprawdę przesada! — Pomachała ze złością anonimem. — Czy on sobie zdaje sprawę z tego, że takie groźby są karalne? Za to można pójść do więzienia!

Diana wzruszyła ramionami.

— Kobieto! Chyba nie zamierzasz tego tak zostawić?! — piekliła się Martyna. — Co za drań! Świr! Musisz iść na policję i to zgłosić!

— Tak, oczywiście — odparła ironicznie Diana. — Kłopot w tym, że nie mam dowodów. Ja powiem, że to on, a on, że nie on.

— Świetnie to ujęłaś. — Dziennikarka skrzywiła się.

— Mateo się wyprze, a ja wyjdę na histeryczkę. Prawdę mówiąc, za chwilę naprawdę się nią stanę. Widzisz, co się ze mną dzieje. — Wskazała na bałagan.

— Dobra, siadaj sobie, a ja się tym zajmę — zdecydowała przyjaciółka. — Potem zastanowimy się na spokojnie, co dalej. Bo uważam, że pora zająć się tym dupkiem, zanim cię wykończy. Gdzie masz szczotkę do zamiatania?



O budził ją ból głowy. Od razu wiedziała, co się dzieje. Nie tłumaczyła tego bólu — jak większość ludzi — zmianą ciśnienia, pełnią czy nowiem Księżyca.

Wstała i wyjęła z szafki przy łóżku aparat do mierzenia ciśnienia. Nie żaden tam nowoczesny, który sam się pompuje i zaciska, a potem pokazuje na ekraniku wynik. Wanda miała od lat taki z ręczną pompką i okrągłym ekranem, na którym wskazówka wznosiła się podczas zaciskania rękawa, a potem powoli opuszczała, gdy kobieta z wyczuciem odkręcała małą śrubkę przy pompce. Do tego konieczny był też stetoskop, który — przyłożony do nadgarstka — pozwalał wprawnemu uchu usłyszeć dwa mocniejsze uderzenia serce obrazujące poziom ciśnienia skurczowego i rozkurczowego.

— Nie wierzę tym nowoczesnym maszynkom — mawiała, gdy pytano ją, dlaczego nie kupi nowszego urządzenia. — Wiele razy przekonałam się, że przekłamują wyniki. Czasami nawet bardzo. I co? Mam na tej podstawie podejmować decyzje?

A na swoim aparacie i uchu nie zawiodła się nigdy. Dlatego teraz, gdy poznała wynik pomiaru, mogła tylko westchnąć. Znowu ciśnienie poszybowało w górę, jak przewidywała, czując pulsowanie w głowie.

Powoli wstała i poszła do kuchni, gdzie nalała sobie wody. Wyjęła blister tabletek, wycisnęła na dłoń jedną i połknęła, popijając kilkoma szybkimi łykami płynu.

I znowu nie wypiję porannej kawy — pomyślała z niesmakiem.

To była jedna z nielicznych przyjemności, na jakie sobie pozwalała: poranna kawa wypijana po wykonaniu wszystkich niezbędnych czynności przy matce i po podaniu leków. Wtedy staruszka najczęściej zapadała w drzemkę, a ona miała kwadrans, czasem pół godziny na delektowanie się zaparzoną po turecku kawą.

A myślałam, że teraz będę ją mogła pić nawet godzinę, jeśli zechcę. — Uśmiechnęła się smutno do siebie. — Tymczasem okazuje się, że nie mogę. To co ja zyskałam? Po co mi niby ten spokój, skoro wcale go nie czuję?

Przez chwilę patrzyła w okno na niesiony wiatrem suchy liść, który to wznosił się, to opadał, wirując i kręcąc się bezładnie.

Nie ma żadnego wpływu na to, co się z nim stanie — uzmysłowiła sobie. — Jeszcze niedawno był świeży, zielony, pełen życia, teraz został z niego pomarszczony, wiotki śmieć, nikomu niepotrzebny. Już nikt się nim nie zachwyci, nie pochwali. Polecą z wiatrem gdzieś tam, daleko, potem opadnie i zgnije. Nie zostanie po nim nic, nawet wspomnienie.

Poczuła, że ma łzy w oczach.

Ze mną jest dokładnie tak samo. — Pociągnęła nosem. — Kiedyś miałam tyle planów, wierzyłam, że moje życie będzie pasmem sukcesów i miłości. Miałam gładką twarz, gęste włosy i podobno zgrabne nogi. A teraz? Nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić, żyję z dnia na dzień i niedługo odejdę z tego świata, nie pozostając w pamięci żadnego człowieka.

Łza, która spłynęła po policzku, wpadła do szklanki z wodą, tworząc na powierzchni kilka cieniutkich kręgów.

— Chyba powinnam zacząć jednak brać te leki uspokajające, które proponował mój lekarz rodzinny — powiedziała głośno, chociaż nie było nikogo, kto by ją słyszał.

Dotychczas odmawiała, tłumacząc się koniecznością opieki nad matką.

— Muszę być czujna, mama wstaje także w nocy i nigdy nie wiadomo, na jaki pomysł wpadnie — wyjaśniała doktorowi. — Jeżeli będę przyjmować ten lek, mogę się w porę nie obudzić.

Dzisiaj jednak poczuła, że potrzebuje wsparcia farmakologii. Niewątpliwie działo się z nią coś złego, bo przecież nigdy nie płakała nad szklanką wody. Była silna, dawała radę i nie miała czasu na roztkliwianie się nad sobą. „Najpierw obowiązki” — to było jej motto. A że te nigdy się nie kończyły, Wanda nigdy nie płakała.

Pójdę od razu do lekarza — zdecydowała, jak przystało na osobę, która zawsze reagowała natychmiast na wszelkie wyzwania.

Na szczęście po tabletkach głowa przestała boleć, Wanda czuła tylko lekki szum, ale tym już się tak bardzo nie przejmowała.

Szybko załatwiła poranną toaletę, założyła sukienkę i ciepły kardigan, a po namyśle także grubsze rajstopy. Jeszcze kozaki, płaszcz, zerknięcie w lustro, czy kapelusz odpowiednio leży — i była gotowa.

Nie musiała się rejestrować na wizytę ani czekać w kolejce. Rejestratorka, gdy ujrzała adnotację na karcie, od razu uśmiechnęła się do Wandy.

— Zaraz powiem panu doktorowi, że pani czeka.

Stukając obcasami białych kłapek na drewnianej podeszwie, poszła do gabinetu. Po chwili wyjrzała z niego i skinęła na pacjentkę.

— Pan doktor prosi.

Wanda minęła czekających pacjentów, starając się nie zauważać ich niezadowolonych spojrzeń. Zanim zamknęła drzwi, zdążyła jeszcze usłyszeć wymianę zdań na korytarzu.

— Ta pani nie stała w kolejce.

— A nie widzi pan kartki na drzwiach? Jest przecież napisane, że o kolejności przyjęć decyduje lekarz, prawda?

Wanda poczuła przez chwilę wyrzuty sumienia, ale szybko odepchnęła tę myśl. W końcu coś jej się należało za lata ciężkiej pracy, choćby tak niewiele jak przyjęcie bez kolejki.

— Proszę usiąść. — Lekarz wskazał białe krzesło. — Co się dzieje?

— Panie doktorze, ja chyba zdecyduję się na ten lek poprawiający nastrój — powiedziała śmiało i konkretnie.

Mężczyzna pokiwał głową.

— Dobrze, bardzo rozsądnie. A jak mama? W ośrodku?

— Tak. — Nie chciała o tym rozmawiać.

— W takim razie sugeruję pobyt w sanatorium. Wypiszę skierowanie. Powinna pani odpocząć.

— Nie mogę jechać do sanatorium — zaprotestowała. — Wystarczy lek.

— A co stoi na przeszkodzie? — nie dał się zbyć lekarz.

— Panie doktorze, przecież pan wie. Muszę odwiedzać mamę, dopilnować wszystkiego...

Uniósł dłoń.

— Pani doktor, przecież pani doskonale wie, że potrzebuje leczenia. Że musi pani o siebie zadbać — zwrócił się do Wandy z szacunkiem, ale stanowczo. — Nie pamięta pani doktor, co działo się kilka miesięcy temu?

Pamiętała doskonale. Podczas jednej z wizyt poinformował ją wprost, że albo pomyśli o domu opieki dla matki, albo wkrótce sama umrze.

— A wtedy mama i tak tam trafi — powiedział. — Pani doktor, nie da pani rady dłużej tak się nią opiekować. Przecież zna pani swoje wyniki i wie, co oznaczają.

Znała i wiedziała. Po namyśle doszła do wniosku, że nie chce jeszcze umierać. Usprawiedliwiała swoją decyzję, nazywając ją rozsądnym wyjściem, tłumaczyła sobie, że jeśli umrze, to nie będzie miał kto dopilnować, czy opieka nad matką jest odpowiednia. A tak naprawdę rozpaczliwie chciała jeszcze trochę żyć. Choćby kilka lat!

Tymczasem zamiast spokoju i bez troski wciąż miała wyrzuty sumienia i poczucie pustki.

— Panie doktorze — wyprostowała się na krześle — proszę mi wypisać ten lek.

Lekarz pokręcił z dezaprobatą głową.

— Zawsze mówię, że najgorszymi pacjentami są lekarze — mruknął. — Dobrze, zaraz dostanie pani receptę. Ale proszę mi obiecać, że zastanowi się pani jeszcze nad moją propozycją. Przecież nie wyjedzie pani natychmiast, na sanatorium czeka się co najmniej kilka miesięcy.

— Pomyślę o tym w wolnej chwili — powiedziała, żeby już dał jej spokój.

Wyszła z gabinetu z receptą, którą zrealizowała w drodze do domu opieki.

Przynajmniej nie będę się rozklejać na widok suchego liścia — pomyślała, wsuwając podłużne pudełko do kieszeni płaszcza.



— Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

Miał rację, obudził ją. I oczywiście pukanie do drzwi o siódmej rano sprawiło, że nie była to miła pobudka.

Na szczęście, najpierw wyjrzała dyskretnie przez okienko na werandzie. Dopiero gdy się upewniła, że może bezpiecznie otworzyć, wróciła po szlafrok i kapcie, a potem wpuściła gościa do środka.

— Nic nie szkodzi, i tak miałam niedługo wstawać — skłamała gładko, bo nie chciała sprawić Tobiaszowi przykrości.

Tak bardzo pomógł jej przy dostosowaniu stodoły na potrzeby warsztatów, a poza tym po prostu go lubiła. Wiedziała też, że nie przyjechałby tak wcześnie i bez zapowiedzi, gdyby nie miał powodu.

Właśnie! Dlaczego od razu o tym nie pomyślała! Zachowała się jak egoistka, którą interesują wyłącznie własne problemy.

— Wejdz, siadaj. — Wycofała się w głąb kuchni. — Czy coś się stało? Coś z Martyną? Potrzebujecie pomocy?

Mężczyzna zdjął buty i kurtkę, a potem zajął swoje ulubione miejsce przy stole. Diana włączyła wodę na herbatę, spoglądając na gościa spod oka. Nie wyglądał na zdenerwowanego, co i ją trochę uspokoiło. Widać z Martyną wszystko w porządku.

— Z twojej miny wnioskuję, że nie macie żadnych problemów — oświadczyła, stawiając kubki na tacy.

— Dobrze wnioskujesz — przytaknął Tobiasz. — To raczej ty je masz.

Na pewno Martyna powiedziała mu o anonimie — domyśliła się Diana. — Niepotrzebnie.

— Daj spokój! — Machnęła lekceważąco ręką.

Jakoś głupio jej było przyznać się przed Tobiaszem, jak bardzo się boi. Co innego szczerą rozmowa z przyjaciółką, a co innego facet. Mężczyźni tak bardzo nie ulegają emocjom, dla nich liczą się fakty, jak dla policji. Tak przynajmniej uważała Diana.

— Nic wielkiego się nie dzieje, trochę spanikowałam — kontynuowała, starając się, żeby zabrzmiało to żartobliwie i przekonująco. — Wkrótce opanuję sytuację, naprawdę.

— Martyna sugerowała, że nie masz zbyt wiele czasu. A ja chyba znam sposób na rozwiązanie twojego kłopotu. — Uśmiechnął się.

Dianę zaniepokoiły te słowa. Nie miała pojęcia, co zaproponuje mężczyzna. Sądziła, że może to być coś wymagającego stanowczości i siły, a nie była pewna, czy jest na to gotowa. Z jednej strony oddałaby wiele, żeby pozbyć się Mateo, z drugiej — miała wrażenie, że nerwy ma napięte do granic i trudne wydarzenie może ją przerosnąć.

— Naprawdę mogę z tym poczekać — bąknęła nieśmiało. — Nie chciałabym cię w to wciągać. Już i tak bardzo mi pomogłeś...

— Nie przesadzaj, nic wielkiego nie zrobiłem. Poza tym tak naprawdę wpadłem na ten pomysł przypadkiem. Masz dzisiaj jakąś grupę na warsztaty?

— Tak, przyjadą o jedenastej. — Nie rozumiała, dlaczego o to pyta.

— W takim razie świetnie, że przyjechałem wcześniej. Skorzystałem z tego, że Martyna postanowiła dzisiaj popracować w domu, i wziąłem samochód. No i muszę zdążyć do pracy. Martyna ci wspominała, że odnalazłem swoje powołanie? — Mrugnął porozumiewawczo.

— Tak, mówiła, że zdecydowałeś się na pizzerię — odparła Diana, nadal zdezorientowana.

Ta rozmowa zaczęła zmierzać w niezrozumiałym dla niej kierunku i Lisowska nie miała pojęcia, co ma wspólnego pizza z listem od Mateo.

— I nie żałuję tej decyzji — odpowiedział Tobiasz. Upił kilka łyków herbaty, odstawił kubek i popatrzył na Dianę. — Ale w związku z tym muszę być po dziesiątej w lokalu. Na szczęście mam wszystko w samochodzie. Podziękuj Martynie, że ma słabość do dużych wozów i że musieliśmy kupić taki, w którym mieści się sporo sprzętu. Dzięki temu zmieściłem moją niespodziankę i przywiozłem wszystko za jednym razem.

— Tobiasz, ja nic nie rozumiem. — Diana popatrzyła bezradnie. — O jakiej niespodziance mówisz?

— Uzbrój się w jeszcze trochę cierpliwości — roześmiał się mężczyzna. — I przede wszystkim idź się ubrać. Nie zamierzasz chyba w taką pogodę wychodzić z domu w piżamie i szlafroku.

— Dobrze, oczywiście, ale...

— Żadne ale. — Pokręcił głową. — Czas ucieka, a ja nie mogę się spóźnić. No, biegnij do łazienki czy tam do szafy! — popędził ją.

Nie protestowała dłużej. Posłusznie i szybko przygotowała się do wyjścia, chociaż przez cały czas zachodziła w głowę, co przygotował Tobiasz.

Kiedy stanęli przy samochodzie Martyny, mężczyzna z dumą otworzył klapę bagażnika.

— Ta-dam! — wykrzyknął i teatralnym gestem wskazał na jego zawartość.

Diana zerknęła do środka i zobaczyła jakieś dziwne metalowe konstrukcje.

— Co to jest?

Nie miała pojęcia, z czego tak cieszy się mężczyzna i jak ma to pomóc w pozbyciu się jej eks. Chyba to nie jakieś zasieki? Albo instalacja, którą podłącza się do prądu?

Tobiasz pochylił się i wyciągnął jeden z przedmiotów na zewnątrz.

— Jak to co?! To paleniska gazowe — zaprezentował. — Mam cztery. Powinny wystarczyć, żeby ogrzać okolicę stołów.

Diana zamrugała powiekami.

— Jeszcze nie rozumiesz? — Tobiasz był zadowolony, widząc, jak zaskoczył projektantkę. — Twój goście już nie zmarzną podczas warsztatów. Jeśli nie będzie dużych mrozów, to możesz prowadzić zajęcia nawet zimą. Pod warunkiem że rozstawisz paleniska w miarę blisko — wyjaśnił. — Ale oczywiście na tyle daleko, żeby dzieciaki się nie poparzyły — dodał.

Kobieta wreszcie zrozumiała.

Co za historia! Tego nie przewidziałam! — pomyślała z rozbawieniem. — Myśleliśmy o dwóch różnych rzeczach!

— Niesamowite! — powiedziała mimowolnie.

— Prawda? Wyobraź sobie, że leżały na zapleczu w pizzerii. W ogródku jakoś się szefowi nie sprawdziły, więc zgodził się pożyczyć na próbę. Ale jeśli tobie się przydadzą, to pewnie zgodzi się jakoś taniej sprzedać. Co ty na to?

Do Diany dotarło, że Tobiasz naprawdę znalazł rozwiązanie jej problemu. Co prawda nie tego, o którym myślała, ale także bardzo ważnego.

— Nawet nie wiesz, jak się cieszę! — wyznała szczerze. — Nie miałam pojęcia, czego szukać i jak się za to zabrać. Pokażesz mi, jak to działa?

— Oczywiście. Tu wkłada się butlę z gazem. — Wskazał na odpowiednie miejsce. — Oczywiście też je przywiozłem, są na stacjach benzynowych, dostaniesz bez problemu.

— Super!

— Zaraz to wszystko przeniosę i ustawię. Załatwimy to szybko — obiecał.

Jak dobrze mieć przyjaciół — pomyślała z radością Diana.



Tego dnia prowadziła warsztaty z jeszcze większym zaangażowaniem. W stodole zrobiło się przyjemnie ciepło, oczywiście tylko w najbliższej okolicy stołów, ale to wystarczyło, żeby dzieciaki mogły zdjąć kurtki. Dzięki temu pracowało im się o wiele wygodniej, grube okrycia nie krępowały ruchów. Paleniska działały bez zarzutu, po odjeździe grupy wyłączyła je i sprawdziła dokładnie. Nie chciała przecież spalić swojego miejsca pracy.

Zadowolona wróciła do domu i jeszcze zanim przygotowała sobie obiad, usiadła przed komputerem i potwierdziła zapytanie o warsztaty mikołajkowe. Była pewna, że bez problemu poprowadzi zajęcia na początku grudnia.

Zobaczymy, przy jakich temperaturach będą dawały radę — rozmyślała, podgrzewając kapuśniak. — Ale niewykluczone, że odkupię je od szefa Tobiasza. Wyjdzie taniej niż zakup nowych, a przecież wyglądają na prawie nieużywane.

Cieszył ją ten kolejny krok, który zrobiła w swoim nowym życiu. Wsparcie przyjaciela sprawiło, że zaczęła na nowo nabierać chęci do działania i odzyskiwać pewność siebie.

Z pomocą takich ludzi na pewno nie zginę — uznała. — Nie jestem sama, to bardzo ważne.

Przypomniała sobie, jak bardzo samotna się czuła, kiedy była w związku z Mateo. Niby miała kogoś, ale i tak wszystko spoczywało na jej barkach.

A teraz miała pomoc, zanim zdążyła o nią poprosić.

I mam pozwolić, żeby ten palant psuł mi każdą radość i zatruchiwał życie? — pomyślała ze złością i odsunęła pusty talerz.

Martyna miała rację. Należało pojąć konkretne działania. Teraz dotarło to do Diany z całą mocą.

Tak, będę zbierała dowody i pójdę na policję, jeśli będzie trzeba — podjęła śmiałą decyzję. — Ale najpierw zadbam o to, żeby teraz on się przestraszył.

Sięgnęła po telefon i odnalazła numer, z którego ostatnio dzwonił Mateo. Odblokowała go, zaczerpnęła powietrza i nawiązała połączenie.

— Słucham?

Spodziewała się, że usłyszy głos swojego eks, tymczasem w słuchawce odezwała się kobieta.

Z pewnością jego nowa zdobycz — pomyślała, choć i tak była zdumiona.

Mateo nigdy nie pozwalał jej odbierać połączeń, w ogóle strzegł swojego telefonu jak najdroższego skarbu. Może razem z numerem zmienił też urządzenie i nie ma na nim jeszcze niczego do ukrycia? A może, nauczony doświadczeniem z Dianą, kasuje od razu połączenia i konwersacje mogące zdradzić jego dwulicowe zachowania?

Wszystko jedno, mam to gdzieś — uznała szybko.

— Słucham? — powtórzyła kobieta.

— Dzień dobry, mówi Diana Lisowska, chciałabym rozmawiać z Mateo — przedstawiła się, w końcu ona nie miała nic do ukrycia, niech się on tłumaczy.

— To nie jest telefon Mateo — usłyszała w odpowiedzi.

— Dzwonił do mnie ostatnio z tego numeru — nie dawała za wygraną.

— Owszem, prosił, to mu pozwoliłam — odparła nieznajoma. — Mówił, że nie odbierasz od niego połączeń i że go zablokowałam.

A od kiedy my jesteśmy na „ty”? — pomyślała z niesmakiem Diana.

Nie była przeciwniczką skracania dystansu, nigdy jej to nie przeszkadzało, ale jeśli dotyczyło osób znajomych. A ta panienka jej znajomą z pewnością nie była.

— Owszem, zablokowałam — odparła chłodno. — Ale muszę się z nim skontaktować.

— To powiedz to mnie, przekażę mu, gdy wróci do domu.

Czyli razem mieszkają — wywnioskowała Diana.

— Wolalabym porozmawiać z nim osobiście.

— A co? Chcesz mu wreszcie oddać kasę?

— Jaką kasę?!

— Błagam cię, nie musisz ściemniać. Mateo wszystko mi powiedział. Jesteś mu winna całkiem sporo, nawet się nie dziwię, że uciekłaś na jakąś wiochę — odpowiedziała kobieta. — Ale to słabe tak zabrać wszystkie pieniądze komuś, kto cię kochał i ci zaufał. Niezła suka z ciebie, serio!

Diana była w szoku. Co ta kobieta wygadywała? Jakie pieniądze?!

— Nie jestem mu nic winna! — krzyknęła. — To on mnie prześladowuje! Kręci się ciągle w okolicy mojego domu, przysyła anonimy... — Przerwała, bo zabrakło jej tchu.

— Anonimy! — prychnęła tamta. — Mateo?! Myślisz, że uwierzę w te bzdury? Fakt, ostrzegał mnie, że jesteś szurnięta, ale nie sądziłam, że aż tak. Dobra, chyba koniec tej dyskusji. Oddaj kasę i będzie po sprawie. To chyba proste?

— Posłuchaj, nie zamierzam ci się tłumaczyć. Chcę porozmawiać z Mateo — powtórzyła Diana.

— To dzwoni na jego numer, wariatko — roześmiała się tamta. — Ale wątpię, żeby chciał z tobą rozmawiać po tym, jak go wykończyłaś psychicznie. Ledwie się pozbierał. Do tej pory mu ciężko. Oddaj kasę i zostaw go w spokoju, dobra? Pozwól mu ułożyć sobie życie i zajmij się sobą. On już do ciebie nie wróci. — Ostatnie zdanie powiedziała z ogromną satysfakcją w głosie i rozłączyła się.

Diana jeszcze przez chwilę wpatrywała się w ekran telefonu. Potrzebowała czasu, żeby przyjąć do wiadomości to, co usłyszała, i upewnić się, że nowa partnerka Mateo naprawdę to wszystko powiedziała. A jednak! Wyglądało na to, że Mateo nie tylko uprzykrza jej życie, ale jeszcze opowiada o niej niestworzone historie.

Nie bywam w Kielcach, nie pokazałam się w żadnym lokalu i na żadnej imprezie od kilku miesięcy — uświadomiła sobie. — Znajomi nie wiedzą, gdzie jestem i co robię. A on na pewno bryluje z nową towarzyszką i przy okazji mówi o tym, jak go skrzywdziłam i oszukałam.

Poszła do łazienki i obmyła twarz zimną wodą. Trochę ją to otrzeźwiło.

Co ona mówiła? Że jestem mu winna pieniądze? Że go okradłam? No tak, z pewnością tym usprawiedliwia brak środków do życia — analizowała w skupieniu. — I jeszcze wykończyłam go psychicznie. Ja jego! To dopiero bezczelność!

Jeszcze raz ochlapała się wodą.

Na dodatek ta sugestia, że niby chciałabym, żeby do mnie wrócił. — Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i z niedowierzaniem pokręciła głową. — Co za gnojek! Jak można?!

Zrozumiała, że Mateo próbuje przedstawić ją jako niezrównoważoną psychicznie złodziejkę, która zamieniła jego życie w piekło. I najgorsze było to, że nie Diana nie mogła w żaden sposób temu przeciwdziałać.

Przecież nie będę tłumaczyła każdemu, jak naprawdę było — pomyślała. — Zresztą kto mi uwierzy? Jego bajeczka brzmi wiarygodnie: zniknęłam nagle i nie pojawia się nigdzie. Czyli złodziejka. A on na pewno doskonale odnalazł się w roli ofiary skrzywdzonej przez szaloną kobietę.

Nie wiedziała, co ma robić. Zdała sobie sprawę z tego, że jest ofiarą perfidnej intrygi, dużo poważniejszej, niż jej się wydawało. I że musi być bardzo ostrożna, bo cokolwiek zrobi, łatwo może obrócić się przeciwko niej. To nie było optymistyczne podsumowanie.

Długo nie mogła zasnąć. Wciąż rozmyślała o tym, co usłyszała, i o tym, że Mateo jest dużo bardziej niebezpieczny, niż sądziła.



Przez kilka kolejnych dni Diana nie mogła na niczym się skupić. Miała wrażenie, że jej myśli wędrują własnymi ścieżkami, a ona nie potrafi nad tym zapanować. Kiedy usiłowała się skoncentrować, nie była w stanie przypomnieć sobie, o czym myślała. Wciąż powracało poczucie, że jest w sytuacji bez wyjścia.

Albo naprawdę zwariowałam — rozważała — albo za chwilę to się stanie.

Co gorsza, ta ewentualność wcale nie wydawała jej się zła. Kobieta miała wrażenie, że jeśli ostatecznie straci kontakt z rzeczywistością, to uwolni się od wszystkich negatywnych emocji. Przestanie czuć strach, obawę, niepewność oraz ogromny żal i poczucie krzywdy, które wypełniały każdą cząstkę jej ciała.

Zapomnę o wszystkim i będę szczęśliwa — przyszło jej do głowy.

Coraz bardziej zapadała się w zupełną obojętność. W chwilach, gdy podejmowała próby zapanowania nad tym stanem, nie potrafiła nawet stwierdzić, kiedy ostatnio coś jadła. Nie czuła głodu, nie miała na nic ochoty, stać ją było tylko na trwanie.

Na przemian chodziła po domu bez celu i leżała w łóżku, wpatrując się w drewniane belki na suficie. Kocio przychodził i kładł się obok niej, ale nie miała siły nawet go pogłaskać. Kilka razy dotarło do niej ponaglące miauczenie i wtedy sypała do miski karmę, a drugą napełniała wodą.

— Dobrze, że tu jesteś — wyszeptała którejś nocy do kociego ucha.

Straciła poczucie czasu do chwili, gdy zatrzymała się przy oknie i wyjrzała na drogę. Zobaczyła kobietę idącą poboczem. Trzymała w rękach doniczkę z żółtymi chryzantemami. Odeszła, ale przeszli kolejni — dwójka dorosłych z dzieckiem. On niósł dużą wiązankę z jodłowych gałęzi ozdobioną białymi kwiatami.

Czy ja umarłam? — przyszło jej do głowy. — A oni idą na mój pogrzeb?

Idiotyczna myśl o własnej śmierci zadziałała jak ostatnia iskra w prawie wystygniętym popiele. Wystrzeliła do góry i rozpałała w Dianie chęć życia.

Nie chcę umierać! — uzmysłowiła sobie wtedy z przerażeniem i jakby obudziła się z jakiegoś transu.

Rozejrzała się po kuchni, popatrzyła na resztki suchego chleba leżące na stole, kilka pustych kubków po herbacie i talerz, na którym zaschły resztki ketchupu.

— Co to jest? — zapytała samą siebie. — Kiedy ja to zrobiłam?

W panice zaczęła się zastanawiać, jaki jest dzień. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy miała zaplanowane jakieś warsztaty i jak wiele spraw zaważyła. Wzięła do ręki telefon i drżącą ręką otworzyła aplikację kalendarza.

Co za szczęście! Opadła z ulgą na krzesło.

Był pierwszy dzień listopada i z kalendarza wynikało, że w poprzedzających go dniach nie miała żadnej grupy do zajęć.

Dziś Wszystkich Świętych — uświadomiła sobie. — To dlatego ludzie chodzą z wiązankami. Idą na cmentarz odwiedzić groby najbliższych.

Powoli odzyskiwała poczucie czasu i rzeczywistości. Poczowała pragnienie, więc naląła do kubka wody prosto z kranu i łapczywie wypła kilka łyków.

Chyba miałam jakieś załamanie nerwowe — wyjaśniała samej sobie własny stan. — Przerosło mnie to wszystko. Tylko co teraz? Co mam robić?

Nieoczekiwanie w głowie Diany pojawił się obraz Grety. Zielarka patrzyła na nią uważnie, ale życzliwie.

— Pamiętam — wyszeptała Diana. — Rośnie to, co podlewam. — Ta myśl dodała jej trochę sił. — Na początek wystarczy kilka kropel. Mało, ale pozwoli przetrwać. Da czas, żeby poczekać na większy deszcz.

Podniosła się i oświadczyła głośno i zdecydowanie:

— Zacznę od siebie.

Wzięła prysznic, umyła włosy i ubrała się. Od razu poczuła się lepiej. Zaparzyła mocną herbatę, dodała do niej sporo cukru i cytryny. Zajrzała do lodówki i zdecydowała się na wiejski serek. Jadła powoli, bo nadal nie czuła głodu, ale rozumiała, że musi się wzmocnić. Uparcie przełykała kolejne kęsy i popijała gorącym napojem.

Kocio usiadł na stole naprzeciw niej i przyglądał się każdemu jej ruchowi.

— Zaraz będzie lepiej. — Uśmiechnęła się blado do zwierzęcia.

Gdy skończyła posiłek, powoli zabrała się za sprzątanie kuchni. Wyrzuciła resztki, zmyła naczynia i wytarła blat stołu. Była zmęczona, ale zadowolona z siebie. Jeszcze nie wiedziała, co będzie robiła dalej, ale miała poczucie, że powoli odzyskuje kontrolę nad własnym życiem.

Co za szczęście, że nie zawałam pracy — ucieszyła się raz jeszcze i z kubkiem w ręku podeszła do okna.

Nad polami pod lasem unosiły się pasma mgły niczym biały welon okrywający pustą, ciemnobrązową ziemię. Między białymi wstęgami przechadzały się wrony, szukając jedzenia między bruzdami.

Widok w sam raz pasujący do tego dnia — stwierdziła Lisowska. — Chyba wiem, skąd Żeromski czerpał inspirację do swoich opisów.

Nagle dostrzegła dziewczynkę stojącą za ogrodzeniem. Patrzyła na Dianę, więc kobieta skinęła na nią i wpuściła małą do środka.

— Witaj, Julka! Dawno cię nie widziałam. Gdzie zniknęłaś?

— Powiedziała pani przecież, że nie powinnam tu przychodzić — przypomniała dziewczynka.

Przysiadła na brzegu krzesła, nie zdejmując różowej błyszczącej kurtki i czapki z białym pomponem.

— Tak, pamiętam. A jednak dzisiaj przyszłaś.

— Chciałam tylko popatrzeć na dom dziadka — odparła Julka.

— Pewnie byłaś na jego grobie — domyśliła się kobieta. — I zatęskniłaś za dziadkiem.

— Nie chodzimy z mamą na jego grób. — Dziewczynka wbiła wzrok w swoje ręce skryte w rękawiczkach z wyhaftowanym kotkiem. — Pomyślałam, że chociaż na domek popatrzę.

Dianie zrobiło się żal dziewczynki. Bez względu na motywację matki nie powinna cierpieć.

— Może napijesz się herbaty? — zaproponowała. — Zdejmij kurtkę, dziś możesz tu posiedzieć.

Julka z ochotą wykonała polecenie i nieco pewniej rozsiadła się na krześle. Podniosła głowę i rozejrzała się z ciekawością po kuchni.

— Lubisz z cytryną? — zapytała Diana.

Dziewczynka pokiwała głową.

— A może mi pani zrobić w tamtym kubku? — Wyciągnęła rękę w stronę półki wiszącej nad kuchenką.

— W którym?

— W tym czerwonym, co ma taką czarną plamę z drugiej strony — uściśliła Julka.

Diana z zaskoczeniem sięgnęła po emaliowany kubek.

— A skąd wiesz, że jest uszkodzony? — zainteresowała się.

— Bo to kubek dziadka — odparła mała.

Rzeczywiście, Diana przypomniała sobie, że to jedna z rzeczy należących do poprzedniego właściciela, którą postanowiła zostawić. Czerwony kubek dobrze wyglądał na półeczce i pasował do rustykalnego wystroju.

— Oczywiście, dostaniesz herbatę w tym kubku — zapewniła bez wahania.

Kiedy przyrządziła napój, usiadła naprzeciw dziewczynki.

— Brakuje ci dziadka?

— Tak. On zawsze opowiadał mi ciekawe historie i nigdy na mnie nie krzyczał. Szkoda, że musiał pójść do nieba — oświadczyła poważnie Julka.

— Ale ja kiedyś też tam pójde i go spotkam.

Diana nie odpowiedziała.

Chciałabym, żeby ktoś tak o mnie powiedział, gdy umrę — pomyślała. — Żeby tak za mną tęsknił...

— Mam pewien pomysł — zwróciła się do Julki. — Kiedy wypijesz herbatę, umyję ten kubek i będziesz go mogła zabrać do domu. On właściwie jest twój, a dziadek na pewno ucieszyłby się, gdyby wiedział, że go masz.

Dziewczynka zastanowiła się przez chwilę.

— Raczej go nie wezmę. — Pokręciła głową.

— Nie chcesz pamiątki po dziadku? — zdziwiła się Diana.

— Chcę, ale mama zapyta, skąd to mam. I jak się dowie, to każe mi go wyrzucić. A wtedy będzie mi przykro i smutno — wyznała z dziecięcą szczerością.

Serce Diany ścisnęło się z żalu. Wiedziała, że dziewczynka ma rację, ale bardzo chciała jej pomóc.

— W takim razie kubek zostanie u mnie, a ty będziesz z niego piła, gdy mnie odwiedzisz.

— A mówiła pani, że nie mogę przychodzić...

W nosie mam zakazy, które krzywdzą dziecko — zdecydowała w ułamku sekundy.

— A teraz mówię, że od czasu do czasu możesz. Szczególnie wtedy, gdy będziesz tęskniła za dziadkiem.

Julka wyraźnie się ucieszyła. Oczy jej rozbłysły i Dianie na ten widok zrobiło się ciepło na sercu.

„Co podlewasz, to rośnie” — po raz kolejny tego dnia wróciły do niej słowa Grety.



Gdy Stach usłyszał pukanie do drzwi, nawet nie wstał ze swojego fotela ustawionego przed kominkiem.

— Otwarte! — krzyknął.

Nie musiał się odwracać, bo delikatne skrzypnięcie było znakiem, że gość wszedł do środka.

— Dobry wieczór, Stachu!

— Można i tak powiedzieć — odparł, starając się uśmiechnąć.

Greta podeszła bliżej, żeby lepiej zobaczyć twarz mężczyzny. W izbie było ciemno, bo nie świeciła się żadna lampa, a jedynie od ognia rozchodziło się słabe światło.

— Zmizerniałeś — oceniła.

— Jak to zawsze jesienią i zimą — zbagatelizował jej słowa. — Człowiek siedzi w chałupie, słońca nie ma, to blednie i chudnie. Przyjdzie wiosna i gęba zaraz ogorzeje.

Kobieta usiadła na drugim fotelu. Ona nie musiała tu czekać na zaproszenie.

— Coś mi się wydaje, że niezbyt dobrze się czujesz — oświadczyła wprost.

— A kto w moim wieku może to powiedzieć?

— Ty mnie tu nie próbuj zbyć. — Greta nie dała się nabrać na jego wykręty. — Bardzo cię boli?

— Greta, co to za pytanie? Boli o tyle — zniecierpliwiał się mężczyzna.
— Nie jestem głupi i nie liczę, że przestanie boleć.

Zielarka w milczeniu wpatrywała się w ogień.

— Maść mi przyniosłaś?

— Przyniosłam. Ale wiesz przecież, że ona ci już nie pomoże.

— Zawsze pomaga — odparł z przekonaniem. — Mniej boli.

— Ból to objaw, nie przyczyna — powtórzyła to, co mówiła już wielokrotnie. — Co innego lekki uraz, drobne zapalenie. Na to maść pomoże i nawet wyleczy. Ale tobie nie wystarczy.

— Wystarczy — upierał się Stach. — Posmaruję i jeszcze całkiem nieźle łożę. Dzisiaj drewna narąbałem i przyniosłem całą stertę. — Wskazał na polana leżące pod ścianą.

Greta nie odpowiedziała.

— Musisz przyznać, że nadal sobie radzę — nie odpuszczał Stach.

— Jak długo jeszcze? — Zielarka posłała mu zatroskane spojrzenie.

— Do śmierci, Greta, do śmierci.

— To ja wiem. Tylko nie wiedziałam, że ci się do niej tak spieszy.

— Niby mądra, ale taka jak każda baba — zamruczał Stach. — Od razu histeria i czarnowidztwo. Nie bój się, jeszcze ciebie przeżyję — odgrażał się.

— Tego ci z serca życzę, ale wcale w to nie wierzę. Stachu, naprawdę musisz iść do lekarza. Z twoją nogą jest coraz gorzej i w końcu przestaniesz chodzić. A co wtedy?

— Wtedy umrę — burknął starzec.

— To nie tak prosto umrzeć. — Kobieta pokręciła głową. — Zabiorą cię do jakiegoś domu opieki i tam będziesz dożywał końca. W obcym miejscu, z dala od lasu, od naszej góry...

— Już ty mi tu, czarownico, takich wróżb nie przedstawiaj — zdenerwował się Stach. — Za nic się zabrać nie pozwolę. Koniec kropka.

Dla podkreślenia tych słów uderzył o podłogę grubą gałęzią, która od jakiegoś czasu służyła mu jako laska. Oczywiście tylko wtedy, gdy nikt nie widział.

Zielarka bez słowa sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyjęła z niej słoiczek z maścią. Podała ją Stachowi.

— Obiecaj mi tylko, że pomyślisz o lekarzu — poprosiła.

— Ja już wszystko mam przemyślane i zdania nie zmienię — odparł krótko.

Greta wiedziała, że i tym razem nie udało jej się skruszyć uporu starca. Martwiło ją to, ale cóż mogła poradzić?

Każdy ma prawo wyboru i decydowania o swoim życiu i śmierci — pomyślała ze smutkiem. — I do niczego nie można człowieka zmuszać. Choćby był głupi jak but i uparty jak osioł, choćby sobie szkodził, ma prawo wybierać.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a w izbie słychać było tylko trzaskanie palących się kawałków drewna. Oboje myśleli o tym samym — o swoim miejscu na świecie i o tym, że nigdzie indziej nie potrafiliby żyć.

— A jak tam dzisiejsze święto? — Stach pierwszy przerwał ciszę.

— Jak co roku. Wszyscy na cmentarz poszli albo pojechali, w najlepszych ubraniach, w wypolerowanych samochodach...

— A to zmarłym chcą się pokazać? — Stach się uśmiechnął.

— Raczej sąsiadom — odpowiedziała z uśmiechem Greta.

— Tyle lat chodzę po tym świecie, a ludzie nic a nic się nie zmieniają... — westchnął starzec. — A jak na cmentarzu? Ładnie? Dużo zniczy pewnie się pali. Jedno, co lubię w tym dniu, to tę łunę nad cmentarzem, to światło widoczne chyba nawet w niebie...

— A co ty tak wypytujesz? Znicze są, światło z daleka widać, a jak podejdziesz, to jakby tysiące świetlików na grobach usiadło. Mrugają, kołyszą się na wietrze te płomyczki pamięci.

— Pytam, bo sam nie mam po co tam chodzić. Moje rodzinne groby dawno temu daleko stąd zostawiłem — westchnął Stach. — Ale wiesz o tym przecież. Teraz to dopiero na własny grób mnie zanoszą. Taki los.

Znowu zamilkli. Nie trzeba wielu słów, gdy podobne dusze się spotykają.

— Byłaś tam? — Starzec zerknął na Gretę.

— Myślisz, że pozwoliliby na to? Dla nich to powinnam wczoraj obchodzić dziady, a nie w kościelne święto pokazywać się publicznie. Po co mi słuchać złych słów, zbierać nieprzychylnie spojrzenia?

— Ale i tak byłaś — bardziej stwierdził, niż zapytał.

— Tak, byłam — przyznała. — O świcie, kiedy wczorajsze znicze już zgasły, a nowych jeszcze nikt nie zapalił.

— Musiałaś go odwiedzić.

— Nie musiałam. Chciałam — poprawiła.

— Szczęśliwy z niego człowiek.

— Nie sądzę. Przecież już nie żyje. — Głos Grety zadrżał.

— Prawdziwa miłość jest wieczna — odparł Stach, wpatrując się w płomienie. — Nawet śmierć jej nie pokona. Jak raz dwoje ludzi połączy, to większej siły nie ma.

Zielarka wstała i otuliła głowę chustą.

— Nie pozwól, żeby tęsknota sprawiła, że zlekceważysz własne życie — powiedziała cicho. — Na każde spotkanie jest odpowiedni czas, nie w ludzkiej gestii jest go przyspieszać.

Zapięła guziki długiego czarnego płaszcza i wyszła, zostawiając starca wpatzonego w płonące polana.



Od Wszystkich Świętych i Zaduszek minęło kilka dni i listopad na dobre rozgościł się w Górach Świętokrzyskich. Przymrozki stały się codziennością, a padający za dnia deszcz zamarzał w nocy, tworząc na drogach niebezpiecznie śliską warstwę. Wielu kierowców miało problem z dojazdem do pracy, a piesi musieli uważać na każdy krok.

Diana na szczęście nie musiała się przejmować niedogodnościami mieszczuchów i chociaż przy otwieraniu okiennic zmarzły jej policzki i palce, to teraz, stojąc w ciepłej kuchni przy oknie z kubkiem porannej herbaty, mogła podziwiać piękno pokrytych szadzią gałęzi.

Ogród jest piękny o każdej porze roku — stwierdziła z zachwytem. — Aż trudno uwierzyć, że w tak pozornie niepogodny dzień może być tak pięknie.

Oszronione krzewy uginały się lekko pod ciężarem jesiennego chłodu, ale astry, zwane tu marcinkami, nadal walczyły i kwitły, tworząc fioletowe plamki na tle gołych już gałęzi.

Jakie dzielne te kwiaty — pomyślała. — Nie dają się.

Ona także walczyła. Każdego poranka zmuszała się do wstawania, chociaż najchętniej zostałaaby w łóżku. W ciągu dnia starała się wykonywać wszystkie niezbędne czynności, przeprowadziła kolejne warsztaty i udawało jej się nie myśleć o Mateo, ale w nocy nie umiała już zapanować nad umysłem. Źle sypiała, wciąż dręczyły ją koszmary, w których oczywiście główną rolę odgrywał były partner. Budziła się spocona, wystraszona i bez humoru, lecz — niczym te niepozorne astry — walczyła.

Wstawiała, zjadała śniadanie, potem planowała cały dzień tak, żeby nie mieć czasu na niedobre myśli.

Wróciła też do garncarstwa, które zaniedbała. Miała tyle pracy przy swoim nowym projekcie, że ostatnią rzeczą, jaka wyszła spod jej rąk, była partia kubków dla pana Stacha. Od tamtej pory nie usiadła przy kole. Teraz w swojej małej pracowni znajdowała ukojenie i spokój, gdy koło się kręciło, a ona czuła pod palcami glinę układającą się w obły kształt. Formowała tworzywo, ale pozwalała mu też pracować. To było uczucie, którego nie potrafiła porównać z niczym innym, a teraz stało się też ratunkiem dla zszarganych nerwów. Z zaskoczeniem zauważyła, że spod jej dłoni wychodzą najlepsze kształty, jakie kiedykolwiek udało jej się stworzyć. Jakby oddawała glinie całą złą energię i zmieniała ją w coś pięknego.

Wypaliła już jeden wazon i poprzedniego dnia podczas spaceru nazbierała całe naręcze uschniętej wysokiej trawy, którą do niego wstawiła. Pięknie wyglądał ten naturalny bukiet w nieszkliwionym, gładkim naczyniu i doskonale komponował się z pomalowaną przez Dianę komodą. Świadomość, że stworzyła coś dobrego, była dla kobiety krzepiąca i dawała satysfakcję.

Na szczęście teraz nie miała już zleceń dotyczących projektowania zieleni, chyba nie byłaby w stanie skupić się na takiej pracy. Potrzebowała ukojenia, nie wysiłku i presji czasu. Czuła, że musi powoli, w swoim tempie płynąć przez kolejne dni. Jej równowaga nadal była bardzo krucha — ale walczyła. Jak marcinki.

— Wystarczy tych rozmyślań — powiedziała do Kocia. — Trzeba ustalić plan na dziś.

Ta zapowiedź w ogóle nie obeszła kocura. Jego plan dnia był prosty i zawsze taki sam. Przyjął słowa Diany z właściwym kotom spokojem.

Kobieta tymczasem wypisała na kartce, co zamierza zrobić, i od razu przeszła do czynów. Miała jeszcze całkiem spore zapasy, musiała tylko kupić świeże pieczywo i jajka. Zostawiła Kocia, zajętego czyszczeniem rudego futerka, i wyruszyła na spacer do sklepu.

Szła powoli, obserwując mijane obejścia. Nadal nie udało jej się poznać nikogo nowego, co nawet trochę ją dziwiło. Odnosiła wrażenie, że albo ma zupełnie inny rozkład dnia niż pozostali mieszkańcy, albo miejscowi celowo się przed nią chowają.

Diana, nie popadaj znowu w jakąś paranoję — przywołała się do porządku. — Sama rzadko wychodzisz, więc nikogo nie spotykasz. Zresztą teraz ludzie mają mnóstwo pracy, jeżdżą samochodami i nie zajmują się zawieraniem znajomości. Tak samo jest w mieście. Mieszkasz czasami kilka lat, a nie znasz swoich najbliższych sąsiadów.

— Co u pani słyhać? — zagadnęła sprzedawczynię, gdy już zapłaciła za zakupy.

— A to, co zawsze — odparła tamta, spoglądając na nią spod oka.

— Coraz zimniej, prawda? — nie poddawała się Diana.

— Zima niedługo, to co się dziwić. — Ekspedientka wzruszyła ramionami.

Ciężka sprawa — oceniła Lisowska. — Chyba nie jest zbyt towarzyska.

Nieco zawiedziona ruszyła w drogę powrotną. Już z daleka rozpoznała nadchodzącą z przeciwnej strony kobietę.

No, akurat jej to nie chciałym spotkać — westchnęła.

Nie miała jednak wyboru, nie było już możliwości ucieczki w boczną uliczkę. Musiała minąć się z Anną. Postanowiła, że nie odezwie się ani słowem, i miała nadzieję, że nauczycielka także nie zacznie rozmowy.

Owszem, nie zaczęła, ale ostentacyjnie dała wyraz swoim emocjom. Po raz kolejny splunęła na widok Diany i pogardliwie wyduła usta.

Ona naprawdę musi mieć coś z głową. Zrozumieć nie mogę, że nikt w szkole jeszcze tego nie zauważył. Przecież to niemożliwe! — stwierdziła.

Zachowanie Anny zirytowało ją i zezłościło. Obiecała sobie, że następnym razem powie o tym kobiecie.

Nie pozwolę sobie na takie traktowanie — zdecydowała. — Będę asertywna i jasno poinformuję ją, że nie życzę sobie takich przedstawień.

Szybko jednak zapomniała o nauczycielce, gdy w skrzynce na listy znalazła kolejną kartkę. Nawet jej nie rozłożyła. Nie chciała wiedzieć, co

tam jest napisane.

Przyszedł, gdy wyszłam do sklepu. — Starła się opanować panikę. — A to oznacza, że wciąż mnie obserwuje i jest w pobliżu.

Wsunęła kartkę do kieszeni kurtki i weszła do domu, udając, że jest zupełnie spokojna.

Jeśli patrzy, to nie dam mu satysfakcji — pomyślała, lecz gdy zamknęła za sobą drzwi, oparła się o framugę i rozplakała z bezsilności.



Z rozumiała, że nie poradzi sobie sama.

— Martyna, czy możesz do mnie przyjechać? Potrzebuję pomocy.

Przyjaciółka o nic nie pytała.

— Jasne, będę za pół godziny.

I była. Zastała Dianę bladą, ale spokojną.

— Co się dzieje?

Wniosła ze sobą do Wrzosowej Polany energię i gotowość do działania, czyli to, czego Diana potrzebowała.

Lisowska streściła przyjaciółce wszystko, co działo się z nią w ostatnim czasie.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś wcześniej? — Martyna spojrzała z wyrzutem.

— Myślałam, że dam radę. Ale nie dam — wyznała szczerze.

— Spokojnie, już jestem i zaraz coś wspólnie uradzimy — zapewniła Wrońska i zakrzętnęła się po kuchni: zrobiła kanapki, dla Diany herbatę, a sobie mocną kawę. — Jedz — nakazała.

— Może za chwilę, na razie nie mogę.

— Nie denerwuj mnie. Schudłaś chyba z pięć kilo, odkąd ostatnio cię widziałam. Chcesz się rozchorować?

Projektantka niechętnie sięgnęła po kanapkę.

— Diana, może ty powinnaś iść do jakiegoś terapeuty? — zaproponowała dziennikarka. — Na moje oko to ty masz depresję.

— Bez przesady — zaprotestowała gospodyni, chociaż bez przekonania.

— Z tego, co mówisz, to tak wygląda. Do wszystkiego się zmuszasz, źle śpisz, nie chce ci się wstawać — wyliczała Martyna, po czym upiła łyk kawy i pokręciła z niedowierzaniem głową. — Swoją drogą, to niesamowite, jak jeden świr może zniszczyć komuś psychikę. Gdybym nie widziała, co się z tobą dzieje, to nie uwierzyłabym.

— A jednak — westchnęła Diana.

— Jedyne nadzieje w tym, że mu się w końcu znudziło. A teraz musi minąć trochę czasu i powoli wrócisz do siebie. Ja ci w tym pomogę — zadeklarowała.

— Niestety, nie znudziło mu się. Nie wiesz jeszcze wszystkiego.

— Nie żartuj! — zdenerwowała się dziennikarka.

— Ani mi to w głowie. Dziś w skrzynce była kolejna kartka.

— Co tym razem?

— Nie wiem, nie przeczytałam. Włożyłam ją do kieszeni kurtki.

Martyna natychmiast wyjęła list.

— „Jesteś wariatką i zapłacisz za to, co zrobiłaś” — przeczytała. — Niewiarygodne!

— Ale prawdziwe.

— Przecież to wariat! I na dodatek psychopata! Nie dosyć, że opowiada o tobie bzdury, to jeszcze cię straszy! — Dziennikarka zaczęła nerwowo chodzić po kuchni. — Trzeba podać go do sądu o zniesławienie. I zgłosić na policję groźby karalne. Ukróćmy gnojka. Skończyła się taryfa ulgowa, musisz ruszyć do walki! — motywowała.

— Najpierw trzeba mu to udowodnić — zauważyła Diana. — Uważasz, że ta jego panna będzie zeznawać przeciw niemu? Nie sądzę. Naprawdę wyjdę na wariatkę, i tyle.

Dziennikarka podrapała się po głowie.

— Rzeczywiście, raczej nie obsmaruje ukochanego. Zresztą pewnie mu wierzy, tak jak ty kiedyś. Trzeba to rozegrać jakoś inaczej.

— Niby jak? Ja sama nie wiem, co o tym myśleć. Znam go trochę i nie sądzę, żeby całymi dniami siedział gdzieś w krzakach i czekał, aż wyjdę.

Zbyt wygodny jest na to.

— Akurat go znasz! Ile lat dawałaś się nabierać? — przypomniała przyjaciółka. — A za świrem nie dojdiesz. Może i siedzi w tych krzakach. Wiadomo, co on ma w głowie? Zresztą jakoś te listy podrzuca, prawda?

Niby miała rację, ale Diana nie widziała sposobu na udowodnienie swojej racji. I to właśnie najbardziej ją dołowało.

— Jeszcze nie wiem dokładnie, co zrobimy, ale na pewno wymyślę jakiś sposób na gnojka — zarzekała się zdenerwowana Martyna. — Nie pozwolę, żeby cię wykończył. Możesz być tego pewna. Nie takie sprawy rozgryzałam.

Diana bardzo chciała jej wierzyć, ale jakoś nie potrafiła podzielić entuzjazmu. Teraz najbardziej potrzebowała po prostu czyjejś obecności.

— Zostaniesz na noc? — zapytała.

— Oczywiście. — Martyna wyjęła telefon i wybrała numer. — Tobiasz? Dzwonię, żebyś się nie martwił, bo nie będzie mnie, gdy wrócisz. Jestem u Diany, mamy mnóstwo do obgadania. Wiesz, babskie ploteczki — roześmiała się. — Nie wrócę na noc. Dobrze, ciebie nie będziemy obgadywać, obiecuję. Pa! — Wrzuciła telefon do torebki i mrugnęła do Diany. — Nie musi o wszystkim wiedzieć.

Lisowska była jej wdzięczna za dyskrecję.

— A teraz idź do łazienki i weź prysznic. Po tobie pójde ja, tylko musisz mi pożyczyć coś do spania. — Martyna bez wahania przejęła inicjatywę. — Zrobimy sobie pizama party. Mam nadzieję, że masz jakieś wino? Bo przy winie najlepiej ustala się sposoby pozbycia się byłych facetów. Wiem, bo nie raz to przerabiałam.

Diana musiała się uśmiechnąć.

— Wina nie mam, niestety. Ale fantazji to mi raczej nie zabraknie, przynajmniej w tym temacie.

— Szkoda, że bez wina, ale damy radę.

Tej nocy Diana spała głęboko i spokojnie. Obecność drugiej osoby podziałała lepiej niż rozmowa z terapeutą.



Wanda naprawdę starała się pomyśleć o sobie, ale wyrzuty sumienia skutecznie psuły jej każdą próbę. Dzień bez odwiedzin u matki uważała za swego rodzaju zaniedbanie. Wciąż się zastanawiała, czy staruszka ma odpowiednią opiekę, czy coś zjadła, czy przypadkiem na cienkiej, pomarszczonej skórze nie zrobiła się odleżyna. Matki nie było przy niej fizycznie, ale w głowie córki wciąż zajmowała pierwsze miejsce i Wanda nie umiała nic na to poradzić.

Dziś także miała zamiar pojechać do domu opieki. Poprzedniego wieczora ugotowała pulpety i miała nadzieję, że uda jej się przekonać matkę do ich zjedzenia. Co prawda opiekunki zapewniały, że staruszka zjada posiłki, jednak Wanda jakoś nie potrafiła im w pełni zaufać. Wiedziała doskonale, jak dużo czasu zajmuje opieka nad matką, jak wymagające to zajęcie — i szczerze wątpiła, żeby pielęgniarki miały tyle czasu i cierpliwości co ona. Była realistką, więc wiedziała, że nie może wymagać ciągłej obecności opiekunki, ale gdy pomyślała, że matka czegoś potrzebuje i nie dostaje, czuła się jak wyrodna córka, która zrzuciła na barki innych to, do czego sama jest zobowiązana.

Spakowała do torby świeże ręczniki, wyprasowaną i pachnącą koszulę nocną, słoik z pulpetami i dwie butelki wody mineralnej. Dołożyła jeszcze paczkę pieluch jednorazowych. Te wliczone w koszt opieki nie wystarczały.

Jeszcze raz przeanalizowała, czy wszystko przygotowała, i gdy stwierdziła, że niczego nie brakuje, usiadła, żeby zjeść śniadanie. Tak,

wciąż sprawy dotyczące matki były priorytetem.

Słyszając dzwonek telefonu, pospiesznie przełknęła kęs kanapki z żółtym serem i odebrała połączenie.

— Pani Wanda Kowal?

Głos kobiety w słuchawce był z pozoru normalny, ale jakieś dziwne przeczucie sprawiło, że Wanda poczuła, jakby zimny powiew omiół jej ciało.

— Tak, to ja — potwierdziła, przełykając ślinę. — Słucham?

— Dzień dobry, dzwonię z domu opieki Spokojna Jesień.

Wanda zacisnęła dłoń na krawędzi blatu tak mocno, że pobieleły jej kostki.

— Mam dla pani smutną wiadomość — kontynuowała tymczasem kobieta. — Niestety, pani mama dziś w nocy odeszła...

— Jak to: odeszła? — Do Wandy nie docierała usłyszana informacja.

Zadała to pytanie jakby w desperackiej nadziei, że jej rozmówczyni nieoczekiwanie powie, że to pomyłka, że przeprasza, a mama czeka na nią w swojej sali.

— Zmarła w nocy.

Jednak to prawda!

— Nocna pielęgniarka zauważyła to podczas obchodu o trzeciej — dodała kobieta z domu opieki.

— O trzeciej? A jest po ósmej! Dlaczego dzwoni pani dopiero teraz?! — zawołała zdruzgotana Wanda.

— Są pewne procedury — wyjaśniła kobieta. — Nie było sensu wcześniej pani niepokoić.

Niepokoić? Śmierć matki to coś, co może zaniepokoić?!

— Pani mama jest teraz w zakładzie pogrzebowym, który obsługuje nasz dom, ale oczywiście ostateczne decyzje będą należały do pani — wyjaśniała kobieta. — Proszę przyjechać po rzeczy mamy, będą przygotowane mniej więcej za godzinę. I proszę zajrzeć do administracji, musimy załatwić ostatnie formalności.

Wanda słuchała, ale słowa wlatywały i wylatywały. Wciąż zaciskała dłoń na blacie.

— Halo! Jest pani tam? Wszystko w porządku? — dopytywała rozmówczyni.

W porządku?! Co za pytanie!

— Przyjadę niedługo — powiedziała tylko.

— W takim razie do widzenia.

Wanda jeszcze przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę, która zapadła w słuchawce.

„Pani mama jest w zakładzie pogrzebowym...” — powtórzyła w myślach słowa kobiety. — „Pani mama odeszła dziś w nocy”.

To nie mogła być prawda... Matki nie umierają, nie odchodzą, nie zostawiają dzieci, nawet jeśli te są dorosłe. Matki są wieczne.

Wanda musiała pogodzić się z okrutną prawdą, na razie jednak miała zupełną pustkę w głowie. Popatrzyła na przygotowaną torbę i mechanicznie, niczym robot, zaczęła ją rozpakowywać.



Listopadowy poranek był mglisty i Martyna z niechęcią obserwowała wieżowce niczym szare węże wynurzające się z kłębow białej waty i pnące w stronę ciemnych chmur.

— Brrr! — Otrząsnęła się z obrzydzeniem. — Paskudna pogoda dzisiaj. Co za szczęście, że nie muszę nigdzie wychodzić.

— Zalety wolnego zawodu. — Tobiasz uśmiechnął się znad filiżanki z kawą. — Zazdroszczę trochę. Ja niedługo wsiadam na rower i pedałuję do roboty.

— Przypominam, że masz to na własne życzenie. — Martyna wzruszyła ramionami. — Nie wiem, jak po latach wolności możesz zaakceptować ten codzienny kierat.

— Ależ ja nie narzekam — zaprotestował. — Owszem, może chętnie wróciłbym pod ciepłą kołdrę, lubię jednak swoją pracę i ta drobna niedogodność mnie nie zniechęci.

— Drobna niedogodność? — prychnęła Martyna. — Tak nazywasz dwadzieścia minut jazdy we mgle i wilgoci? W przenikliwym chłdzie? Ja musiałabym chyba owinać się w futro, żeby tego dokonać.

— Nie przesadzaj, nie jest tak źle. Mgła zaraz się podniesie, a ja mam bardzo dobrą kurtkę na takie okazje. Żadne zło się przez nią nie przecisnie, zapewniam.

— Wybacz, ale mnie nie przekonasz. — Odstawiła filiżankę na blat szafki i popatrzyła na Tobiasza badawczo. — Zastanawiam się, czy ty jesteś

w stanie myśleć jeszcze o czymkolwiek innym niż o pizzy.

— Oczywiście, że tak! Myślę o wielu innych rzeczach. Mogę ci nawet je wymienić. Niektóre są nawet bardziej pikantne niż pepperoni — żartował.

— Dziękuję, lepiej nie. — Podniosła ręce w obronnym geście. — Miałam na myśli raczej to, czy jesteś w stanie robić cokolwiek innego, czy też postanowiłeś zrezygnować z innych projektów.

Mężczyzna posłał dziennikarce krótkie spojrzenie.

— Co ja słyszę? Czyżbyś chciała mnie zwolnić? A może znalazłaś już kogoś innego na moje miejsce?

Trudno było wyczuć, czy żartuje, czy pyta poważnie.

— Tobiasz, nie pleć bzdur. Nie mam nikogo, a zwalniać cię nie mam zamiaru. Bardziej się obawiam, że sam to zrobisz.

— Skąd ten pomysł? — zdziwił się mężczyzna.

— Choćby stąd, że ostatni odcinek o najpiękniejszych jesiennych szlakach w Górach Świętokrzyskich nadal nie jest skończony. Miałeś go zmontować ostatecznie na dzisiaj i co?

— I zmontowałem — odparł krótko.

— Jakim cudem? Wczoraj rano jeszcze większość była w proszku, a po południu pracowałeś w pizzerii — przypomniała.

— Ale między porankiem a popołudniem jest sporo czasu. A ponieważ jestem doskonale zorganizowany, wykorzystałem go na montaż. — Mrugnął do Martyny.

— Naprawdę? — ucieszyła się dziennikarka. — To doskonale! Zamierzam wrzucić go do sieci dzisiaj wieczorem. Jest czwartek, a w czwartki mamy najwięcej wejść na kanał, tak mówią statystyki.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, możesz wrzucać — zgodził się Tobiasz.

Martyna przysiadła na brzegu blatu.

— A wiesz, że to będzie pierwszy odcinek, na którym naprawdę zarobimy? To znaczy, że po odliczeniu wszystkich kosztów zostanie nam jeszcze mały zysk. Podkreślam: mały. Ale jednak.

— Gratulacje! — Tobiasz wstał i uściśnął Martynę. — To doskonała wiadomość!

— Też się cieszę, ale wiesz, że mam bardziej ambitne cele.

— Spokojnie, dojdiesz do wszystkiego, co zaplanowałaś. Jestem pewien.

— Teraz najważniejsze jest to, żeby ten odcinek miał dużą oglądalność. Muszę mieć efekty dla reklamodawców — zauważyła Martyna. — Oby poszło, jak należy.

— Pójdzie — uspokoił ją mężczyzna. — Chociaż dotychczas wciąż najwięcej wyświetleń miał odcinek o Dianie i jej pracowni. Na razie nic nie przebiło ogrodniczki lepiącej kubki. — Uśmiechnął się. — Mam nadzieję, że jakoś pomogliśmy jej tym.

— Właśnie nie wiem — westchnęła dziennikarka.

— Masz wątpliwości? Przecież to świetna reklama dla jej projektów. Doskonale z nią rozmawiałaś, a moja robota, powiem nieskromnie, to majstersztyk. Ten domek w słońcu, sielskość stodoły i gliniane kubki na tle okiennic... — rozmarzył się, wspominając swoje ujęcia.

— Bardzo skromny jesteś.

— Mów, co chcesz, ale pokazaliśmy to tak, że każdy będzie chciał pojechać i zobaczyć na własne oczy. Diana stała się uosobieniem zaradnej kobiety, która własnymi rękami ulepiła swój sukces.

— I w tym rzecz. — Martyna skrzywiła się w odpowiedzi. — Ten jej sukces aż bije po oczach. A wiesz, że zazdrość skłania ludzi do różnych rzeczy. Może i mieliśmy dobre intencje, ale mogliśmy się przyczynić do jej problemów.

— O czym ty mówisz?

— Choćby o tym, że jej eks przekroczył już wszelkie granice. Możliwe, że nie może znieść sukcesu Diany i tego, że poradziła sobie sama. I że nie wypłakuje za nim oczu.

— A jaśniej możesz mi to wytłumaczyć? — Tobiasz wyraźnie się przejął. — Co się dzieje? Ja o niczym nie wiem... Zrobię jeszcze kawy, a ty opowiadaj.

Martyna streściła mu wydarzenia związane z Mateo.

— Podsumowując: to wstrętny typ. I chyba postanowił, że wykończy dziewczynę psychicznie — zakończyła opowieść. — Co gorsza, idzie mu całkiem dobrze, bo Diana jest w złym stanie. Stara się, ale boję się, że może nie dać rady.

— Co za gość! — zdenerwował się Tobiasz. — Jak mężczyzna może się tak zachowywać! Przecież to zupełny brak klasy i honoru!

— A czego się spodziewać po kimś, kto kłamie, oszukuje i jeszcze wykorzystuje miłość kobiety? Najgorsze jest to, że ona nie zawiniła, a cierpi przez dupka. Ale obiecałam jej, że coś z tym zrobię, i słowa dotrzymam. — Uderzyła ręką w blat.



Kiedyś, gdy jeszcze pracowała, miała samochód. Małe i niedrogie autko miejskie. Było zupełnie wystarczające dla niej, poza tym łatwiej było nim zaparkować, a Wanda, choć prawo jazdy miała od kilkadziesiąt lat, nigdy nie czuła się pewnie, gdy musiała manewrować na niewielkiej przestrzeni. Dzięki samochodowi szybciej wracała do domu po pracy lub dyżurach, a w czasach, gdy matka jeszcze wychodziła z domu, woziła ją do lekarza lub na niedalekie wycieczki.

Później, gdy Wanda przeszła na emeryturę, a stan matki się pogarszał, uznała, że samochód to tylko zbędny wydatek. I tak nie wychodziła nigdzie oprócz pobliskiego sklepu, a do staruszki wzywała lekarzy na wizyty domowe. Auto zaś trzeba było ubezpieczać, robić przeglądy techniczne. Nie mówiąc o tym, że nieużywany pojazd z każdym miesiącem tracił na wartości. Wanda sprzedała go więc bez żalu.

Gdybym miała samochód, przynajmniej mogłabym w nim płakać — pomyślała teraz, siedząc w autobusie i za wszelką cenę starając się powstrzymać łzy.

W publicznym środku transportu, wśród ludzi, za nic nie okazałaby emocji. Była przekonana, że wzięliby ją za wariatkę.

A jeszcze gorzej, gdyby ktoś zapytał, co się stało — stwierdziła, wbijając wzrok we własne dłonie. — Co miałabym powiedzieć? Że moja matka umarła? Po co? Kogo to tak naprawdę obchodzi?

Przełykała więc bezgłośnie łzy, jakby płakała do wnętrza siebie.

Zatopiona w rozmyślaniach i smutku o mało nie przegapiła swojego przystanku. Wsiadła w ostatniej chwili. Czy podświadomie chciała przedłużyć drogę do domu opieki, bo wiedziała, że pokonuje ją po raz ostatni?

Szła powoli, krok za krokiem, zwracając uwagę na nierówności chodnika. Nauczyła się tego kilka lat wcześniej i nawet jeśli się spieszyła, to wzrok uważnie śledził każdą pękniętą płytę czy wystającą kostkę. Wanda bardzo się bała, że może złamać nogę, być unieruchomiona na skutek upadku lub trafić do szpitala. Kto wtedy zająłby się matką? O to nie musiała się już martwić, ale nawet nie przyszło jej to do głowy. Po prostu wlokła się noga za nogą, bo nie mogła wykrzesać z siebie energii. Wreszcie stanęła przed dwupiętrowym białym budynkiem ogrodzonym metalową siatką. Przed wejściem stało kilka ławek, pustych o tej porze roku. Za domem opieki znajdował się niewielki ogródek, gdzie w wiosenne i letnie dni pensjonariusze mogli siadywać przy plastikowych stolikach, a ci bardziej sprawni sadzili nawet ulubione kwiaty i warzywa.

Ten dom opieki był uznawany za najlepszy w mieście i niełatwo było o miejsce w nim. Chętni czekali po kilka lat, mając świadomość, że aby zwolniło się upragnione przez nich miejsce, ktoś musi umrzeć. Cóż, niektórzy czekający też nie dożywali swojej szansy na pobyt tutaj. Wanda musiała użyć swoich znajomości w medycznym świecie, żeby matka mogła tak szybko tu zamieszkać. Załatwiając to, miała mieszane uczucia, bo przecież ktoś mógłby pomyśleć, że tak się stara, żeby jak najszybciej pozbyć się staruszki. Zresztą co tu mówić o innych — sama miała takie myśli.

Była pewna, że matka spędzi tu wiele lat. Wypierała myśl o tym, że śmierć dotyczy wszystkich, także tej, która ją urodziła. Teraz musiała się z tym zmierzyć. Dopuścić ten fakt do siebie i zaakceptować go. Zrozumieć, przyjąć do wiadomości tę odwieczną kolej losu, nieuniknioną i najbardziej ostateczną ze wszystkich.

Popatrzyła w górę i zatrzymała wzrok na jednym z okien.

To pokój mamy — pomyślała.

„Pani mama jest w zakładzie pogrzebowym” — powróciły słowa dzwoniącej kobiety.

To jakiś absurd! Niemożliwe! Przecież jeszcze poprzedniego dnia siedziała na wózku i patrzyła w okno. Wanda miała ten obraz przed oczami. Wszystko w niej protestowało przeciwko temu, z czym musiała się zmierzyć. Znowu łzy napłynęły jej do oczu, ale otarła je szybko czarną skórzaną rękawiczką.

Podeszła do wejścia, pchnęła ciężkie drzwi i znalazła się w budynku. Skierowała się w lewo, podążając za strzałkami z napisem „Administracja”. Wyprostowała plecy, poprawiła kapelusz i weszła do pokoju.

— Dzień dobry, miałam się zgłosić po rzeczy mamy — wydusiła, starając się, żeby głos jej nie drżał.

— Proszę usiąść — zachęciła ją kobieta siedząca za biurkiem. Posłała Wandzie smutny uśmiech i współczujące spojrzenie. — Tutaj jest wszystko. — Wskazała na trzy czarne worki stojące pod ścianą. — Może najpierw podpisze pani dokumenty, a potem sprawdzi, czy niczego nie brakuje? — zaproponowała.

Wanda pokiwała głową. Nawet nie czytając, podpisała wszystko, co kobieta jej podsunęła. Jakieś rozliczenie, potem spis czegoś, zgoda na coś i kilka innych kartek.

— Tutaj ma pani zamiary na dom pogrzebowy, w którym jest pani mama. Mogą zorganizować uroczystość, ale oczywiście ma pani dowolność w wyborze obsługi pogrzebu.

Obsługa pogrzebu? Wanda zacisnęła usta.

— Z mojej strony to już wszystko. Teraz może pani sprawdzić rzeczy. Mam nadzieję, że o niczym nie zapomnieliśmy.

A nawet jeżeli? — pomyślała Wanda. — Jakie to ma za znaczenie? Mamie już to niepotrzebne. Ani świeże ręczniki, ani koszule nocne, ani jej obrazek z Jezusem z Nazaretu.

Podeszła jednak do plastikowych worków i otworzyła pierwszy z nich.

Na stercie ubrań leżał zwinięty płaszcz matki, a na nim jej buty. Dopiero widząc te dwie rzeczy, Wanda zrozumiała, że matki naprawdę już nie ma.

I że nigdy już nie założy brązowych botków i bordowego okrycia. Te buty! Nie wiadomo, dlaczego ich widok stał się dla Wandy symbolem ostatecznego odejścia staruszki. Symbolem jej śmierci.

Nawet nie zajrzała do pozostałych worków.

— Jest wszystko — powiedziała zduszonym głosem.

Kobieta za biurkiem podniosła głowę znad papierów.

— Cieszę się. I proszę przyjąć nasze wyrazy współczucia — wyrecytowała, ale Wanda nie słyszała w jej głosie szczerych emocji. — Pani mama była u nas krótko, ale personel bardzo ją polubił. Była miłą osobą. — Zrobiła krótką pauzę. — Gdybyśmy mogli w czymś jeszcze pomóc, jesteśmy do dyspozycji — dodała.

Polubił? Miłą osobą? — pomyślała Wanda. — Przecież z mamą nie było prawie żadnego kontaktu. Kto jej każe mówić takie bzdury? Naprawdę uważa, że tego potrzebuję?

Chwyciła worki i poszła w kierunku drzwi. Kobieta nie zaproponowała pomocy, mimo że pakunki były dość ciężkie.

I to właśnie to wasze: „jesteśmy do dyspozycji” — gorzko stwierdziła Wanda.

Zanim zamknęła za sobą drzwi, odwróciła się jeszcze i popatrzyła na kobietę za biurkiem.

— Nic nie wiecie o mojej matce — powiedziała. — Ona wcale nie była miłą.

Nie interesowała ją reakcja pracownicy. Pociągnęła worki wzdłuż korytarza do wyjścia.

Muszę wezwać taksówkę — stwierdziła. — Przecież autobusem tego nie przewiozę.

Starając się uspokoić oddech, czuła, że ciśnienie znowu jej podskoczyło. Poczła strach. Przed tym, co teraz będzie, przed tym budynkiem, przed śmiercią. Popatrzyła na czarne worki, pomyślała o ich zawartości.

— Proszę pana! — zawołała w kierunku mężczyzny siedzącego w niewielkim pokoju.

Ten niechętnie oderwał wzrok od ekranu telefonu i podszedł do Wandy.

— Słucham?

— Proszę przekazać te rzeczy komuś z personelu — powiedziała. —
Może przydadzą się pensjonariuszom. Do widzenia.

I nie czekając na protesty, opuściła dom opieki Spokojna Jesień.



Światło w salonie świadczyło o tym, że Martyna jeszcze nie poszła spać. Słychać było też dźwięki muzyki i jakieś głosy, więc zapewne oglądała film.

Tobiasz zdjął kurtkę i czapkę. Był zmęczony, bo w pizzerii pojawiała się coraz więcej gości i nie miał prawie żadnej przerwy. Mimo to, a może właśnie dlatego mężczyzna był zadowolony. Ruch w lokalu świadczył o tym, że klienci ich chwalą. Coraz więcej było też takich, którzy wracali, a to znak, że smakowało im to, co wychodziło spod ręki Tobiasza.

Nawet Master dziś go pochwalił, choć nie był skory do wylewności. Owszem, doceniał, ale nie wyrażał tego. Skoro jednak zdecydował się na poklepanie Tobiasza po ramieniu i kilka pozytywnych słów, to znaczyło, że i jego portfel odczuł pozytywną zmianę.

Tobiasz byłby zadowolony z kończącego się dnia, gdyby nie jedna rzecz, o której od rana nie mógł przestać myśleć. I musiał o tym porozmawiać z Martyną.

Najpierw jednak poszedł do łazienki. Był tak spocony, że sam ze sobą nie mógł już wytrzymać. Dziesięć godzin przy rozgrzanym piecu zrobiło swoje, a człowiek po wysiłku, do tego w wysokiej temperaturze, nie pachnie jak róża.

Po kilku chwilach wyszedł odświeżony, ubrany w czystą koszulkę i domowe spodnie dresowe.

Martyna musiała usłyszeć, że wychodzi z łazienki, bo przekrzykując telewizor, poinformowała go o czekającej kolacji:

— W kuchni jest sałatka!

Właściwie nie był głodny, ale nie chciał jej sprawić przykrości. Wiedział, że gotowanie nie należy do pasji Martyny, zwykle wolała zjeść na mieście albo coś zamówić, więc jeśli sama przygotowała choćby sałatkę, należało to docenić.

Chyba wciąż cieszy się z pierwszego zarobku. — Uśmiechnął się do tej myśli.

On także był zadowolony. Jeśli ich autorski program zacznie przynosić dochody, będzie mógł wreszcie zdecydować się na zaplanowany kurs. Ten, który wybrał, wiązał się z wyjazdem, a to oczywiście z kosztami. Nałożył sobie porcję sałatki na talerz, nalał soku pomarańczowego i z tymi wiktuałami przeszedł do salonu.

Martyna siedziała w ulubionym fotelu. Nogi miała podwinięte, a obok na stoliku stały szklanka i dzbanek z wodą, w której pływały plasterki cytryny.

— Widzę, że odpoczywasz. — Tobiasz usiadł na kanapie i odstawił naczynia na blat stolika.

— Należy mi się. — Odwróciła się w jego stronę. — Czy wiesz, że od osiemnastej mamy już kilka tysięcy wyświetleń?

— O! Doskonały wynik! — powiedział z uznaniem. — Byle tak dalej. — Podniósł kciuk, żeby podkreślić swoje uznanie.

— Też się cieszę. Ale pamiętaj, że dążymy do czegoś więcej. Potrzebujemy stabilnej sytuacji, a nie jednorazowych strzałów. Finansowo też.

— Widzę, że zmieniasz się w prawdziwą bizneswoman — zauważył.

— Coś w tym jest — przyznała mu rację. — I nawet mi się to podoba. Wreszcie mam realny wpływ na to, ile zarobię. A musisz wiedzieć, że mam wizje wielocyfrowe — roześmiała się dziennikarka.

— Nie będę cię powstrzymywał, w końcu mnie z tego też skapnie jakiś procent — odparł żartobliwie.

— Wiadomo! W końcu twoja robota to... jak powiedziałeś? Majstersztyk? — nawiązała do ich porannej rozmowy.

— Podtrzymuję to. A skoro wracasz do tamtej rozmowy... Przez cały dzień nie mogłem przestać myśleć o Dianie. Naprawdę sądzisz, że mogliśmy jej zaszkodzić?

— Wiesz, pewności nie ma. — Martyna spoważniała. — Ale jeżeli ten gość jest takim gnojkiem, to gdy zaczął słyszeć od ludzi o sukcesie Diany, mógł się jeszcze bardziej nakręcić. Zwłaszcza że z tego, co wiem, sam jakoś niczego osiągnąć nie może.

— Sfrustrowany gość z niskim poczuciem własnej wartości — podsumował Tobiasz.

— A na dodatek bez żadnych oporów i hamulców. I to właśnie najbardziej mnie martwi.

— Mnie także — zgodził się z nią mężczyzna. — Pomyślałem, że musimy jej pomóc.

— Mówiła, że ostatnio jej pomogłeś. — Martyna popatrzyła Tobiaszowi w oczy. — Dlaczego nawet słowem nie wspomniałeś, że zawiozłeś jej paleniska? Głupio mi było, że nic o tym nie wiem.

— Wyleciało mi z głowy. — Zbył tę kwestię machnięciem ręki. — Zresztą ciągle się mijamy, a jak już uda nam się pogadać, to głównie o programie.

— To wyrzut?

— Stwierdzenie faktu — sprostował. — I nie rób afery. Mogłem to załatwić, więc załatwiłem, i tyle. Teraz powinniśmy pogadać o tym, co ważniejsze.

Skończył sałatkę i otarł usta przedramieniem, na co Martyna zareagowała pełnym dezaprobaty spojrzeniem, lecz Tobiasz wcale się tym nie przejął.

— Ja jestem facetem, więc nie umiem tak gadać jak kobiety. Ale ty powinnaś z nią poważnie porozmawiać. Bezwzględnie powinna zgłosić to nękanie na policję. Przecież ten człowiek może być niebezpieczny. Nie wiadomo, co mu jeszcze przyjdzie do głowy.

— A sądzisz, że nie próbowałam jej do tego namówić? Pół wieczora nad tym spędziłam. Ale ona się upiera, że nie ma dowodów. I boi się, że potraktują ją jak histeryczkę. Wiesz, jak to bywa z policjantami...

— Mimo to powinna spróbować — upierał się Tobiasz. — Mieszka zupełnie sama, bez żadnej ochrony. To niebezpieczne. Powiedz jej to.

— Sam jej powiedz. — Wrońska wzruszyła ramionami. — Wiesz, że też się o nią martwię, ale przecież do niczego jej nie zmuszę. Mam wciągnąć ją siłą do samochodu i zawieźć na posterunek?

— Jeśli będzie trzeba, to tak. — Tobiasz stanowczo pokiwał głową. — I żebyś wiedziała, że jej to powiem. Musimy pojechać do Wrzosowej Polany. Zastanawiałem się nad tym i uważam, że w grę wchodzi nie tylko jej zdrowie, ale może i życie.

— Masz rację i zgadzam się z tobą. Diana także się boi. Ale nie wiadomo, czy naszą opinię podzielą inni. Dlatego też rozmyślałam, jak to rozegrać.

— To myśl szybko, żeby się nie okazało, że jest za późno.

Martyna popatrzyła na Tobiasza, ale wyglądało na to, że mówi poważnie i naprawdę jest przejęty.

— Dobrze, pojedziemy do Diany. Dasz radę wziąć wolne w sobotę?

Mężczyzna podrapał się po głowie.

— To najgorszy dzień w tygodniu, mamy najwięcej gości...

— Pizza czy pomoc przyjaciółce? — postawiła mu wybór.

— OK, coś wymyślę — odparł bez wahania. — Nie możemy tracić czasu. Niech będzie sobota.



Diana siedziała przy kole i starała się osiągnąć stan, który tak bardzo lubiła. Przymknęła oczy i starała się puścić wolno myśli, zapomnieć o rzeczywistości. Gdy już prawie jej się udało...

— Kiedyś wyrzucę telefon przez okno! — krzyknęła ze złością, słysząc melodyjkę.

Nie chciała odbierać, bez względu na to, kto dzwonił.

Jeżeli to ktoś z pytaniem o warsztaty, to niech dzwoni przed południem — pomyślała. — Jeśli ktoś znajomy, niech spróbuje później. A jeśli to znowu ten dupek, niech idzie do diabła!

Ponownie przymknęła oczy i dotknęła gliny.

Nic z tego. Telefon znowu zadzwieczał i nie przestawał.

Przez cały dzień cisza, a gdy tylko chcę coś zrobić, to od razu coś mi przeszkadza. — Diana była zła i rozżalona. — Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Cóż, ten, kto chciał się z nią skontaktować, najwyraźniej nie odebrał tego mentalnego błagania. Dzwonek znowu przerwał ciszę.

Widzę, że nie zrezygnuje — westchnęła.

Wyłączyła koło, wytarła dłonie w szmatkę i poszła do kuchni, gdzie zostawiła telefon.

Woliński? O tej porze? — zdziwiła się, widząc nazwisko na wyświetlaczu.

— Słucham?

— Dobry wieczór, pani Diano.

— Dobry wieczór — odpowiedziała bez przekonania, bo dla niej przed chwilą przestał być dobry.

— Dzwonię, bo muszę powiedzieć, że bardzo mnie pani rozczarowała.

Co się stało? O czym on mówi?

— Dotychczas nasza współpraca układała się dobrze i byłem zadowolony. Wydaje mi się, że pani także — kontynuował biznesmen.

— Oczywiście, jak najbardziej — wyjąkała zaskoczona.

— Nie wiem w takim razie, co tak nagle się zmieniło. — Głos w słuchawce był poważny i bardzo stanowczy.

— Panie Krzysztofie, ja nie rozumiem...

— Ja także nie — przerwał jej w pół zdania. — Dlatego dzwonię. Myślę, że pani mi to jakoś wytłumaczy, bo w przeciwnym razie będę musiał zastanowić się nad naszą dalszą współpracą...

Diana usiadła, bo zrobiło jej się słabo. Usiłowała zebrać myśli.

— Postaram się wszystko wyjaśnić, ale... szczerze mówiąc, to nie wiem, o co chodzi.

— Pani żartuje?

— Naprawdę nie wiem... — Lisowska była zupełnie zdezorientowana.

— A co robią te ogromne sterty zeschniętych liści i gałęzi pozostawione w całym ogrodzie? O ile pamiętam, zobowiązała się pani także do prac porządkowych — powiedział surowo Woliński. — Właśnie stoję przy oknie, wyglądam i za nic nie mogę pojąć, czy to, co widzę, to jakaś nowa moda, czy może wątpliwej urody element dekoracyjny. Nie przypominam sobie, żebyśmy coś takiego uzgadniali. A może o czymś zapomniałem? — zakończył ironicznie.

O matko! Chodzi o te liście!

— Panie Krzysztofie, rzeczywiście zostawiłam tak, jak pan to opisuje — pospieszyła z wyjaśnieniem. — Nie ukrywam, że zrobiłam to specjalnie.

— Za mało pani płacę? To dlatego?

— Nie, skąd! — zaprzeczyła szybko. — Chodzi o jeże.

— O co?

— O jeże. Takie zwierzątka z kolcami.

— Uważa pani, że nie wiem, co to są jeże? — powiedział chłodno.

— Nie uważam. — Diana czuła, że z każdym zdaniem się pograża.

— Chociaż tyle. Bo już sądziłem, że ma mnie pani za idiotę. Tylko co mają wspólnego jeże z bałaganem w moim ogrodzie?

— Otóż jeże potrzebują na zimę schronienia w ciepłym i zacisznym miejscu. Inaczej nie przeżyją zimy — wyjaśniała drżącym głosem. — A ponieważ są bardzo pożyteczne, bo to naturalny wróg wielu szkodników, a na dodatek przywiązują się do miejsc, w których czują się bezpiecznie, pomyślałam, że zostawię im te liście jako schronienie, a dzięki temu w przyszłym roku zajmą się nieproszonymi gośćmi i będziemy mogli uniknąć chemicznych oprysków — wyrzuciła z siebie to długie zdanie jednym tchem, strzelając słowami jak z karabinu. — Sam pan mówił, że zależy panu na jak największej naturalności ogrodu — dodała jeszcze.

Teraz mnie wywali — pomyślała. — I na pewno zerwie umowę na zieleń w jego firmie, a ja będę musiała zapłacić za piec.

— Więc mówi pani, że mam te sterty suchych liści traktować jako ekologiczne domki dla jeży?

— Można tak powiedzieć. — Diana z duszą na ramieniu czekała na reakcję Wolińskiego.

— W takim razie nie mam nic przeciwko temu — usłyszała rozbawiony głos, zupełnie inny niż jeszcze przed chwilą.

— Czyli wszystko w porządku? — musiała się upewnić. — Nie będzie pan zrywał naszej umowy?

— Pani Diano, naprawdę dała się pani nabrać?

— Więc to był żart?! — dotarł do niej sens jego słów. — No to muszę przyznać, że dla mnie mało śmieszny — powiedziała szczerze, bo nie udało jej się powstrzymać.

— Przepraszam, nie sądziłem, że aż tak się pani zdenerwuje — tłumaczył się Woliński i w jego głosie usłyszała szczerą skruchę.

— OK, nie gniewam się — westchnęła. — Ale nie ukrywam, że był pan bardzo wiarygodny. Nie dziwię się, że osiągnął pan sukces w biznesie.

— Ach, czyli teraz uważa mnie pani za człowieka pozbawionego skrupułów?

— Na razie za człowieka świetnie udającego człowieka pozbawionego skrupułów — uściśliła. — Ale kto wie, co będzie dalej...

— Teraz to pani chce mnie nastraszyć — roześmiał się Woliński. — Zatem spróbuję jakoś odbudować tę nadwątloną wiarę w to, że jestem miłym człowiekiem.

— Proszę, niech pan próbuje — pozwoliła Diana z bladym uśmiechem, bo wciąż jeszcze targały nią emocje.

— Właściwie po to dzwonię, tylko zacząłem trochę niefortunnie. Zobaczyłem prognozę pogody i weekend ma być całkiem przyjemny.

— Dzwonił pan, żeby mi powiedzieć o pogodnym weekendzie? — zdziwiła się.

— Nie, nie, proszę dać mi skończyć. Kiedy zobaczyłem prognozę, wpadłem na pomysł, że mogę zorganizować ognisko — mówił. — Takie z pieczeniem ziemniaków w popiele. Kiedyś bardzo je lubiłem, a dawno nie miałem okazji jeść. Oczywiście można też upiec kielbaski czy coś innego.

— Chleb — podpowiedziała Diana.

— Świetna myśl!

— Cieszę się, że mogłam pomóc.

Czy ten też zwariował? — pomyślała. — Nie ma już normalnych facetów?

— Ale to jeszcze nie koniec. Przecież nie będę siedział sam przy tym ognisku. Chciałbym zaprosić panią, zadzwonię też do pani Martyny i pana Tobiasza. Ostatnim razem spędziliśmy miły wieczór, przynajmniej ja tak uważam.

Diana w pierwszej chwili chciała odmówić, lecz po krótkim namyśle uznała, że właściwie to nie taki zły pomysł. W ostatnim tygodniu miała tylko jedne warsztaty, a resztę czasu spędzała sama i musiała przyznać, że to nie wpływało dobrze na jej samopoczucie.

— Dobrze, chętnie przyjdę — powiedziała. — Co mam kupić? Bo rozumiem, że to impreza składkowa?

- Proszę się czuć zaproszoną i o nic nie martwić — zapewnił Woliński.
- Będzie wszystko, co trzeba. W takim razie do zobaczenia!
- Tylko kiedy?
- Ach, widzi pani, jaki ze mnie spec od interesów! O najważniejszej informacji zapomniałem. W sobotę. O osiemnastej.



Sąsiad z drugiego piętra, dziś ubrany nie jak zawsze w kraciatą koszulę i dżinsy, lecz w ciemny garnitur i białą koszulę, podszedł do Wandy i niepewnie przestępował z nogi na nogę. Spojrzała na niego pytająco.

— Może podwieźć sąsiadkę do domu? — zapytał. — Przyjechaliśmy z żoną samochodem, więc jeżeli pani chce...

— Dziękuję, zostanę tu jeszcze przez chwilę.

Widziała, że z ulgą przyjął taką odpowiedź.

Nie wiedzieliby, co powiedzieć — domyśliła się Wanda. — Czuliiby się nieswojo w moim towarzystwie. Każdy chce być jak najdalej od śmierci.

Dni od zgonu matki do pogrzebu były dla Wandy jedną niewyraźną plamą. Nie potrafiła przypomnieć sobie, co dokładnie robiła. Działała jednak dokładnie i zadbała o wszystko. Przede wszystkim zmieniła dom pogrzebowy. Ci, którzy zabrali mamę, nie byli z tego zadowoleni i próbowali przekonać Wandę do zmiany zdania, ale ona była nieugięta.

— Takie było życzenie matki i zamierzam je wykonać — oświadczyła w końcu, żeby dłużej nie dyskutować.

Prawda była jednak inna. To Wanda wybrała firmę, która miała zorganizować pogrzeb. Postanowiła, że będzie to najbardziej znany w Kielcach dom pogrzebowy. I zamówi wszystko, co sprawi, że ceremonia będzie taka, z jakiej matka byłaby zadowolona.

Odeszła w obcym miejscu, a nie we własnym łóżku, więc chociaż tyle mogę dla niej zrobić — postanowiła.

Przez trzy dni odsuwała od siebie rozpacz i smutek, zamroziła wszystkie emocje. Była spokojna, opanowana i rzeczowa. Wybrała trumnę, wieniec, muzykę. Wyjęła z szafy ulubioną sukienkę matki i jej najlepsze buty. Zawahała się przez chwilę, bo przypomniała sobie, że te czółenka obcierały matce palce.

Teraz to chyba nie ma już znaczenia — pomyślała gorzko.

Zdecydowała o godzinie ceremonii, wybrała jedno z dostępnych miejsc na cmentarzu komunalnym, a nawet wymogła na księdzu coś w rodzaju autoryzacji tego, co zamierzał powiedzieć o matce. Kilka rzeczy skreśliła.

— Ma być krótko, bez zbędnego chwalenia, a tym bardziej bez kłamstw — powiedziała stanowczo, czym wprowadziła młodego kapłana w zakłopotanie.

Sama kupiła na uroczystość nowy czarny płaszcz. Sukienkę włożyła starą, w końcu i tak nie było jej widać, więc uznała, że nowa byłaby zbędnym wydatkiem. I tak musiała podjąć pewną sumę z oszczędności, gdyż zasiłek pogrzebowy nie wystarczył na pokrycie wszystkich kosztów. Miała też świadomość, że nagrobek pochłonie sporą kwotę.

Uroczystość była rzeczywiście ładna, o ile tak można powiedzieć o pogrzebie. Gdyby ktoś miał jeszcze jakoś ją określić, to zapewne użyłby słowa „kameralna”. Pod tym przymiotnikiem kryło się po prostu to, że oprócz Wandy wzięło w niej udział tylko kilkoro sąsiadów. Wandzie nie było z tego powodu przykro. Przyszli ci, z którymi widywała się w ostatnich latach — zaledwie garstka osób.

Tak właśnie wygląda moje życie — pomyślała.

Owszem, mogłaby poinformować o śmierci matki w gazecie, mogłaby zadzwonić do koleżanek z pracy, a one z pewnością zadbałyby o delegacje ze szpitalnych oddziałów i za trumną matki szedłby spory tłum — tylko po co? Wanda nie chciała żadnych kondolencji, wieńców czy współczujących spojrzeń. Dlatego powiesiła zaledwie jedną klepsydrę — na drzwiach wejściowych do klatki schodowej.

Wysłuchiwała mowy księdza, udało jej się wytrzymać widok trumny opuszczanej do grobu i przetrwała grzecznościowe formułki wypowiediane

przez sąsiadów.

To już koniec — pomyślała z ulgą, gdy została sama nad świeżą mogiłą z ogromnym wieńcem z białymi kaliami i wstęgą, na której Wanda kazała napisać krótko: „Kochanej Mamie — Córka”.

Nadal nie do końca docierało do niej, że to wszystko, w czym brała przed chwilą udział, jest prawdziwe. Miała wrażenie, że gra w jakimś filmie, który za chwilę się skończy, a ona wróci do domu, zdejmie niewygodne eleganckie buty i opowie matce o tym, co ją spotkało.

I owszem, wróciła do mieszkania, a zdjęcie butów sprawiło jej ulgę. Niestety, była to jedyna chwila oddechu, jaką poczuła.

Usiadła na wersalce i chyba właśnie zrozumiała, że jej opieka nad matką skończyła się raz na zawsze. Jednocześnie też zdała sobie sprawę z tego, że nie ma pojęcia, co zrobić ze swoim życiem. Miała w głowie pustkę, tak samo dźwięczącą jak ta w mieszkaniu.

Czym ją zapełnię? — pomyślała i poczuła ogarniający ją lęk.

Żeby go jakoś zagłuszyć, wyjęła z barku butelkę wina. Nie była pełna, bo Wanda kupowała każdego roku na swoje urodziny nową butelkę, ale wypijała z niej zaledwie jeden kieliszek w urodzinowy wieczór. Obawiała się, że gdyby pozwoliła sobie na więcej, mogłaby nie usłyszeć wołania matki. I całe jej picie kończyło się tak, że po kilku miesiącach od urodzin po prostu wylewała resztę wina.

Teraz już nic mi nie przeszkodzi. — Uśmiechnęła się smutno. — Nic mnie nie ogranicza, nie mam żadnych obowiązków. Jestem wolna... i zupełnie sama.

Nalała sobie pełny kieliszek alkoholu i wypijała go duszkiem. Uzupełniła szkło i nie odkładając butelki, poszła do pokoju matki.

Otworzyła szafę i usiadła na łóżku. Dłuższą chwilę wpatrywała się w rzędy ubrań równo rozwieszonych na metalowych drążkach.

Pomyśleć, że prałam je co kilka miesięcy, choć matka nie miała ich na sobie od lat — westchnęła. — Czyż to nie bezsensowne?

Znowu dołała sobie wina. Było wyjątkowo smaczne.

Nigdy nie piłam lepszego — pomyślała z uznaniem. — Nawet nie wiedziałam, że lubię wino.

Przyszło jej do głowy, że nie wie, co w ogóle lubi, i że dotąd nie znalazła czasu, aby się nad tym zastanowić. Nie miała pojęcia, co jej się podoba, a czego nie znosi. Za to doskonale wiedziała, jaka byłaby odpowiedź na te pytania w odniesieniu do matki. Jej gust i preferencje znała znakomicie.

Usłyszała, że zegar w salonie wybija siedemnastą.

Za chwilę będzie serial — przypomniała sobie. — Muszę włączyć telewizor.

Każdego dnia o tej porze nadawano kolejny odcinek brazylijskiej telenoweli, która ciągnęła się od lat. Oglądała ją razem z matką, a potem, kiedy staruszka już prawie nie wstawiała, sama śledziła losy bohaterów i zdawała matce relację z postępów akcji, nawet wtedy, gdy matka po chwili zapomniała jej opowieść.

Przynajmniej sprawdzę, czy ten serial mi się naprawdę podoba, czy już dawno mnie znudził — zdecydowała.

Idąc do salonu, zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Zatrzymała się i popatrzyła na starszą kobietę, która przyglądała się jej uważnie.

Mam zmarszczki i cienie pod oczami — stwierdziła. — I siwe odrosty. Wyglądam okropnie.

Jednym haustem opróżniła kieliszek i zamiast nalać kolejny, upiła kilka łyków prosto z butelki.

— Twoje zdrowie! — powiedziała do lustra. — Pomyśl, że teraz możesz już pojechać do sanatorium!

I naraz wszystko wydało jej się tak irracjonalne, że zaczęła się głośno śmiać. Był to śmiech pełen rozpaczy, bezradności i przejmującego smutku.



Ognisko płonęło tak mocno, że Diana zaczęła się obawiać o los świerków rosnących nieopodal kamiennego kręgu, w którym rozpalono ogień.

— Może trochę mniej dokładać tego drewna? — zaproponowała ostrożnie.

— Żeby upiec ziemniaki, potrzeba dużo popiołu — odpowiedział gospodarz, który bardzo zaangażował się w przygotowanie obiecanych smakołyków.

— Ale nie zjemy ich wcale, jeśli za chwilę trzeba będzie wzywać straż pożarną — nie ustępowała Diana, patrząc z niepokojem na wzbijające się w górę iskry.

— Oj, nie przesadzaj! Nic złego się nie stanie! — Martyna najwyraźniej była zachwycona klimatem wieczoru.

— Dobrze, skoro mam być uznany za podpalacza, to rzeczywiście trochę przystopuję — poszedł na ustępstwo Woliński. — W sumie strażacy daleko, może minąć chwila, zanim przyjadą, a ja nie chciałbym zostać bez dachu nad głową.

Trzeba przyznać, że biznesmen doskonale przygotował się na przyjęcie gości. Nie poprzestał na ziemniakach. Kiedy przyjechali, cały stół ustawiony nieopodal ogniska zastawiony był tacami z kielbasą, chlebem i różnymi dodatkami.

— A co tu robią te pianki? — Dziennikarka wskazała na różowe i białe słodkości wyłożone do miseczki. — To deser? Wątpię, żebyśmy po tych smakołykach mieli jeszcze miejsce w żołądkach.

— Kupiłem, bo moja asystentka powiedziała, że wszystkie dzieciaki teraz pieką je nad ogniem — wyjaśnił Krzysztof. — Może i my spróbujemy?

— Ja na pewno nie — zaprotestował od razu Tobiasz. — Nie mam nic przeciwko eksperymentom kulinarnym, ale to przecież sama chemia.

— Musisz się czepiać? — Martyna szturchnęła go w bok. — Jak nie chcesz, to nie jedz, ale mógłbyś docenić starania pana Krzysztofa.

— Ależ doceniam — zapewnił Tobiasz. — I nawet przyniosłem dowód wdzięczności, który pozwolę sobie wręczyć awansem — nawiązał żartobliwie do znanej polskiej komedii.

Wszyscy zrozumieli aluzję i roześmiali się, a mężczyzna podał gospodarzowi owiniętą w papier butelkę.

— Nie trzeba było. Mówiłem, że zapraszam i o wszystko zadbam. O trunki także.

— Spoko, wiem. Ale Martyna nie słynie z wielkich osiągnięć gastronomicznych, a ja mogłem przywieźć najwyżej pizzę, więc uznaliśmy, że lepszym wyborem będzie coś do popicia.

Diana również nie przyszła z pustymi rękami. Przygotowała dwie sałatki, słusznie zakładając, że mężczyzna pomyśli o mięsiwie, ale warzywa to nie jego bajka.

— Jesteście państwo niepoprawni! — Gospodarz pokręcił głową. — I w ogóle nie zastosowaliście się do wytycznych.

— Cóż, to nie pańska firma, panie prezesie — zażartowała Martyna. — A tak w ogóle, to skoro spotykamy się już drugi raz, żeby razem jeść i pić, to może skończymy z tymi oficjalnymi formami? — zaproponowała.

Diana była zaskoczona jej bezpośredniością. Sama nie odważyłaby się na to, w końcu Woliński był jej zleceniodawcą. Z tego, co wiedziała, z dziennikarką też łączyły go interesy, więc może taka propozycja była niezręczna...

Na szczęście gospodarz był innego zdania. Otworzył butelkę wódki i nalał do kieliszków.

— Skoro bruderszaft, to tylko czystą — oświadczył z uśmiechem. — Potem możemy pić mniej procentowe trunki, ale dopiero gdy przejdziemy na „ty”.

— No tak, przejścia muszą mieć odpowiednią kolejność — podchwyciła wesoło Martyna.

Tobiasz zamiast kieliszka wybrał szklanę z sokiem.

— Smutny los kierowcy — wyjaśnił. — Ktoś nas musi zawieźć do domu.

— Nie pomyślałem o tym — zafrasował się Woliński. — Ale przecież możecie państwo u mnie nocować, miejsca jest dość — zaproponował.

— Świetny pomysł! — ucieszyła się dziennikarka.

— Dziękujemy, ale może przy następnej okazji. — Tobiasz nie podzielał jej entuzjazmu. — Umówiłem się jutro z szefem z samego rana, mamy wybierać nowe produkty.

— Szkoda, ale rozumiem. Tylko następnym razem już się państwo nie wymigają.

— Mieliśmy skończyć z tym paniowaniem — przypomniała Martyna.

Dopełnili tradycji i wśród śmiechu przeszli na „ty”.

Trzeba przyznać, że bawili się doskonale. Ani przez chwilę nie brakowało tematów do rozmów, wszyscy dowcipkowali, wymieniali poglądy, dyskutowali. Czuli się swobodnie i przyjemnie w swoim towarzystwie.

— Uwielbiam taką spieczoną kielbasę. — Martyna oblizywała palce, łapczywym wzrokiem patrząc na kolejny kawałek.

— Mogę ci oddać swój kawałek — zaoferował Woliński. — Upiekę sobie kolejny.

— Serio? To poproszę! I dużo musztardy.

Tobiasz obserwował gospodarza, który wykonywał polecenia Martyny.

— Może tobie upiec jeszcze jedną kielbasę? — zwrócił się do Diany.

— Nie, dziękuję, już się najadłam.

— Naprawdę? Widziałem, że ledwie skubnęłaś kilka kęsów. Źle się czujesz?

— Wszystko w porządku, naprawdę.

— Diana, nie oszukuj — zagrał w otwarte karty. — Martyna powiedziała mi o wszystkim. Wiem o listach, o plotkach, o nachodzeniu cię...

— Nie powinna była ci mówić — zdenerwowała się Lisowska.

— Dlaczego? Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

— Tobiasz, ja wiem, dużo mi pomogłeś, ale to jest taka sprawa... to bardzo osobiste... Muszę sobie z tym poradzić sama — tłumaczyła speszona.

— Ale sama sobie nie radzisz — zauważył. — A przyjaciele są od tego, żeby pomagali.

Diana nie wyglądała na przekonaną.

— Myślisz, że jesteś taki mądry?! I że ot tak, poradzisz sobie ze świrem?! — podniosła nieco głos.

— Jakim świrem? — zainteresował się Krzysztof, który akurat podszedł do nich, żeby sprawdzić, czy niczego im nie brakuje. — O czym rozmawiacie?

— O niczym — ucięła niezbyt grzecznie Diana, chcąc już zakończyć niewygodny temat.

— Przekonujesz ją? — Martyna od razu się domyśliła, o czym była mowa. — Jak widzę, też bezskutecznie.

— Trzeba Dianę do czegoś przekonać? — zainteresował się Krzysztof. — Przypomnę tylko, że mam w tej dziedzinie sukcesy. Namówiłem ją do barteru ze mną, więc może i do czegoś innego potrafię. Oczywiście jeśli zdradzicie mi, o co chodzi.

Diana posłała Martynie błagalne spojrzenie, ale ta ani myślała się ugiąć.

— A owszem, próbuj. Bo nasza Diana ma prześladowcę. Nie daje się jednak nakłonić do ukrócenia jego zapędów do zniszczenia jej życia — wyjaśniła dziennikarka.

Woliński spoważniał.

— Martyna mówi prawdę? — zwrócił się do Diany. — Ktoś cię nęka?

— Ona nic nie powie, więc ja zdam skróconą relację — zdecydowała dziennikarka. — Zgadzasz się? — zapytała przyjaciółkę.

— Skoro już zaczęliście, to niech będzie. — Lisowska wzruszyła ramionami.

Po wysłuchaniu historii Woliński był zszokowany.

— Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś? — zapytał z troską projektantkę.

— Miałam każdego informować, że ponoszę konsekwencję największego błędu w moim życiu? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Ale tacy ludzie mogą być naprawdę niebezpieczni. — Krzysztof zmarszczył brwi. — Nie można tego lekceważyć. Znałem kiedyś takiego człowieka. Uważałem, że jest bardzo w porządku. Miły, grzeczny, wszyscy go lubili, i w biznesie nieźle mu szło. Ceniłem gościa. Aż do chwili, gdy dowiedziałem się, że żona zdecydowała się od niego odejść. Mówiono, że z powodu agresji, nadużywania alkoholu, że ją wykańczał psychicznie. Początkowo nie wierzyłem, przecież znałem go i nie wyglądał ani na terrorystę, ani na przemocowca. Gotów byłem go bronić. Dopiero kiedy ten facet rozwiesił nagie zdjęcia swojej żony na ogrodzeniu szkoły, w której ona pracowała, zrozumiałem, że to dwulicowy psychopata.

Diana z przerażeniem słuchała tej historii.

— Ale nie skrzywdził jej?

— W sensie fizycznym? Na szczęście nie. Choć podobno nie raz używał wobec niej przemocy. I nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie to, że żona podała go do sądu i dostał zakaz zbliżania się do niej.

— I może to jest rozwiązanie! — podchwyciła Martyna. — Zakaz zbliżania się i kontaktu! To musisz zrobić — podsunęła przyjaciółce.

— To realne — zgodził się z nią Krzysztof. — Tylko trzeba mieć dowody.

— A ja ich nie mam — przypomniała Diana. — Czyli wracamy do początku.

— To je zdobędziesz — wtrącił Tobiasz. — A przy okazji zadbamy o twoje bezpieczeństwo. Wymyśliłem, że trzeba jak najszybciej założyć ci alarm. Najlepiej taki, który mogłabyś też w razie niebezpieczeństwa

włączyć sama. Już nawet przejrzałem oferty w sieci i to nie jest wcale bardzo wysoki koszt.

— A zanim to zrobisz, dam ci coś na szybko — zaoferował Woliński. —
Poczekajcie chwilę.

Poszedł do domu i wrócił z gazem pieprzowym.

— Masz, noś zawsze przy sobie — nakazał.

Diana uznała, że to całkiem dobry pomysł. Schowała gaz do kieszeni kurtki i od razu poczuła się pewniej.

— Może nie trzeba tego alarmu? Czy to nie za wiele?

— Trzeba — stanowczo stwierdził Tobiasz. — I to jeszcze nie wszystko. Zainstaluję ci też kamerkę, taką malutką, przy skrzynce pocztowej. Nagramy drania, jak wrzuca te listy, i będziesz miała niezbity dowód jego poczynąń.

— Ale wymyśliłeś! — Martyna klasnęła w ręce z zachwytem. —
Widzisz, Diana, obiecałam ci, że jakoś to ogarniemy, i słowa dotrzymałam!
Wygramy z tym dupkiem!



Martyna i Tobiasz podwieźli Dianę pod dom.

— Jeśli chcesz, mogę u ciebie zostać — zaproponowała dziennikarka.

— Daj spokój, nie ma potrzeby.

Diana była wdzięczna przyjaciołom, że tak bardzo starali się ją wspierać, ale przecież nie powinni jej niańczyć. Mieli własne życie, ważne sprawy, pracę.

— Na pewno? — dopytywała przyjaciółka.

— Tak, nie bój się — zapewniła z przekonaniem.

— Postaram się jak najszybciej ogarnąć kamerkę i alarm — obiecał Tobiasz. — A tymczasem uważaj na siebie.

— W razie czego rób zdjęcia, pamiętaj! — dodała Martyna. — I psikaj gazem między oczy. Bez wahania!

Diana pokiwała głową i pomachała odjeżdżającym.

Spędziła miły wieczór wśród fajnych ludzi, dostała wsparcie i zrozumienie — czego chcieć więcej? Rażnym krokiem przemierzyła podwórko i nagle zatrzymała się w pół kroku.

Na ławce przed domem ktoś siedział. Była tego pewna. W ciemności nie mogła rozpoznać postaci, ale bez wątpienia to był żywy człowiek, a nie wytwór jej wyobraźni.

Czy ja naprawdę nie mogę normalnie żyć? — pomyślała. — Ktoś rzucił na mnie jakąś klątwę czy co? Zwykle ludzie wracają z imprezy, kładą się do

łóżka i śpią spokojnie do rana. A mnie muszą przydarzać się wciąż takie historie! — Tym razem zamiast strachu poczuła złość. — Jeśli to on, to naprawdę dostanie gazem między oczy. — Zacisnęła dłoń na pojemniku w kieszeni. — Nie będzie wciąż psuł mi każdej miłej chwili.

Ostrożnie podchodziła coraz bliżej. Krok za krokiem. Postać wciąż była nieruchoma. Dla pewności Diana wyjęła gaz. Gdy podeszła jeszcze bliżej, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Delikatnie dotknęła ramienia niespodziewanego gościa.

— Pani Wando... — wyszeptała.

Kobieta ani drgnęła.

O rany! A jeśli zamarzła? — przemknęło Dianie przez głowę, ale zaraz odrzuciła tę myśl. — Bez przesady, nie ma przecież mrozu.

— Pani Wando... — Mocniej potrząsnęła kobietą.

Żadnej reakcji. Pochyliła się, żeby sprawdzić, czy Wanda oddycha. Poczuła woń alkoholu.

— No nieźle! — powiedziała do siebie. — Starsza pani chyba przesadziła z procentami.

Zastanawiała się, co powinna zrobić. Nie mogła przecież zostawić jej tutaj, przed domem. Trzeba było ją obudzić.

— Pani Wando! — powtórzyła po raz trzeci, ale tym razem głośno i zdecydowanie. — Proszę się obudzić!

Jej głos wreszcie dotarł do śpiącej kobiety, bo poruszyła się i powoli otworzyła oczy.

— To ja, Diana. Poznaje mnie pani?

Wanda w jednej chwili oprzytomniała. Rozejrzała się dookoła i szybko podniosła z ławki.

— Dobry wieczór, pani Diano! — Głos miała rześki, nie wyglądała też na pijaną.

— Co pani tu robi o takiej późnej porze? — Lisowska uznała, że powinna poznać przyczynę obecności kobiety pod swoim domem.

— Przepraszam, że po raz kolejny panią nachodzę, ale przyjechałam tu dzisiaj znowu. Myślałam, że kupię kubek od tego pana przy parkingu,

a potem wreszcie wejść na Łysicę.

— Pan Stach nie sprzedaje już o tej porze roku.

— Ach, to dlatego go nie było. W każdym razie na Łysicę weszłam — powiedziała z dumą Wanda. — Ale potem już nie było tak dobrze.

— Co się stało? — zaniepokoiła się Diana.

— Ach nic, nic. — Kobieta machnęła ręką. — Po prostu źle wyliczyłam czas albo przeceniłam swoje możliwości, w każdym razie spóźniłam się na ostatniego busa. I nie miałam jak wrócić do domu.

Diana słuchała kobiety, ale gdy zauważyła, że ta trzęsie się z zimna, zrobiło jej się wstyd.

— Ale ze mnie gapa! Nawet nie zaprosiłam pani do środka! — Szybko otworzyła drzwi. — Proszę wchodzić. Zrobię coś ciepłego do picia i dokończy pani swoją opowieść. — Gestem wskazała wejście.

Wanda z przyjemnością przestąpiła próg nagrzanego pomieszczenia.

— Rzeczywiście, trochę zmarzłam — przyznała.

— Trochę? — mruknęła Diana, gdyż ręka Wandy, której przypadkiem dotknęła, gdy ta podawała jej kurtkę, była lodowata. — Żeby tylko się pani nie rozchorowała. Jeśli dobrze zrozumiałam, to siedziała pani na ławeczce ponad trzy godziny? — zapytała, gdy zajęła się przyrządzaniem herbaty.

— Na to wygląda. — Wanda była zawstydzona. — Nie znam tu nikogo oprócz pani, więc kiedy dłuższy czas nie udało mi się złapać okazji, uznałam, że muszę kolejny raz prosić o pomoc.

— Trudno o okazję w listopadowy wieczór — odparła Diana.

— Zwłaszcza gdy nie jest się młodą, atrakcyjną kobietą — dodała ze smutkiem Wanda.

— Proszę, tu jest herbata. Dodałam dużo cytryny.

— Dziękuję. Wypiję szybko i jeżeli pani się zgodzi, poproszę o podwiezienie do miasta. — Wanda popatrzyła na Dianę z nadzieją. — Oczywiście zwrócę za paliwo.

Gospodyni poczuła się urażona ostatnim zdaniem.

— Sądzi pani, że przyjąłabym pieniądze za pomoc?

— Przepraszam, ale naprawdę jestem już zdesperowana. Chyba plotę jakieś bzdury. Wiem, że mogłam wezwać taksówkę, ale taki kurs na pewno kosztowałby majątek, a ja... — Przerwała nagle.

— Pani Wando, spokojnie. — Diana zrozumiała, że kobieta naprawdę jest zdenerwowana. — Zaraz coś wymyślimy.

— Pani Diano, ja niczego więcej nie chcę, proszę tylko o odwiezienie do domu. Niech pani wierzy, mam świadomość, że to już kolejny raz, ale naprawdę nie zrobiłam tego umyślnie. Ostatnio miałam trudny czas, wiem, że to żadne wytłumaczenie, ale naprawdę...

— Nie musi się pani tłumaczyć — zapewniła Diana. — Odwiozłabym panią z przyjemnością. Niestety, byłam u znajomego i wypiałam kilka kieliszków nalewki. Nie mogę prowadzić.

— To co ja teraz zrobię?! — Wanda była przerażona. — Chyba pójdę do tego hotelu, który widziałam naprzeciw parkingu. Może mają wolne miejsca, jak pani myśli?

— Myślę, że nie będzie pani płacić za hotel. — Diana uśmiechnęła się przyjaźnie. — Po prostu przenocuje pani u mnie, a jutro spokojnie pojedzie do domu.

Wanda spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Proponuje mi pani nocleg? Nieznajomej osobie?

— No troszkę już się znamy. — Mrugnęła z uśmiechem. — A jeśli to pani zdaniem zbyt mało, to proszę przyjąć, że jestem nieodpowiedzialna i łatwowna. Teraz zrobię pani coś do jedzenia, a potem znajdę coś do spania, bo nie widzę, żeby miała pani walizkę — zażartowała.

Może nawet to prawda z tą łatwownością, ale przynajmniej nie będę dziś w nocy sama — uznała, krojąc pomidory. — A ta Wanda nie wygląda na morderczynię. Jest kompletnie rozbita. Miałabym jej nie pomóc? Przecież doskonale wiem, jak to jest, gdy coś cię przerasta.



Kiedy się obudziła, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Sufit był za wysoko, a ściany w innych miejscach niż zawsze.

Przecież nie jestem pijana — pomyślała w pierwszej chwili. — Owszem, pamiętam ognisko u Krzysztofa, ale przecież...

Natychmiast przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego wieczora i zrozumiała wszystko.

Spała na materacu, bo łóżko odstąpiła pani Wandzie. Nie mogła pozwolić, żeby starsza osoba spała na prowizorycznym pościeliu, a ona wygodnie. Co prawda kobieta protestowała, ale Diana postawiła na swoim.

Na pewno jeszcze śpi — pomyślała. — Wczoraj wypła coś podczas tej wycieczki na Łysicę. Czułam to wyraźnie. Zresztą nawet i bez tego musi odreagować stres.

Podniosła się ostrożnie, odnalazła kaptcie i cichutko, żeby nie obudzić gościa, podeszła do drzwi.

— Dzień dobry! — usłyszała, gdy przekraczała próg.

Aż podskoczyła. Odwróciła się i zobaczyła Wandę stojącą przy kuchence.

— Ale się wystraszyłam! Byłam pewna, że pani jeszcze śpi — zawołała.

— A to nie zauważyła pani, że nie ma mnie w łóżku? — roześmiała się kobieta.

— Zaspana jestem, nawet nie spojrzałam. — Diana przetarła oczy.

— Ja zawsze budzę się wcześniej, już tak się przyzwyczyłam — wyjaśniła starsza kobieta. — Ale proszę się nie przejmować, spałam

doskonale. Jak kamień, niczego nie słyszałam. Szczerze mówiąc, to dawno nie czułam się tak wypoczęta. Musi tu być doskonały klimat.

To pewnie zasługa czegoś mocniejszego, a nie tylko klimatu — pomyślała Diana, ale oczywiście nie powiedziała tego głośno.

— Dobrze, że pani się rozgościła. — Uśmiechnęła się do Wandy. — Ja też twardo dziś spałam, więc nie popisałam się jako gospodyni.

Tak to jest, jak człowiek poczuje się przez chwilę bezpiecznie — stwierdziła.

— Proszę sobie nie robić wyrzutów. — Wanda wbiła na rozgrzaną patelnię kilka jajek. — Przecież to pani wyświadczyła mi przysługę. Nie znam nikogo, kto przyjąłby pod dach nieznaną osobę w środku nocy. Ma pani dobre serce.

— Chyba już wczoraj mówiłam coś na temat tej nieznajomości — przypomniała Diana. — Poza tym każdy na moim miejscu z pewnością zrobiłby tak samo.

— Mimo wszystko jestem pani dłużniczką — upierała się Wanda. — Dlatego na początek spłaty tego długu przygotowałam śniadanie. Proszę siadać, już podaję.

Diana, jeszcze nie do końca rozbudzona, posłusznie usiadła przy stole. Patrzyła, jak Wanda sprawnie i szybko stawia na stole koszyk z chlebem, talerz z wędliną i serem, pokrojone w plasterki pomidory i na koniec, na środek blatu, na podstawce, patelnię z jajecznicą.

— Zaraz będzie herbata — zapowiedziała. — Już robię.

— Bez pośpiechu — powstrzymała ją Diana. — Niech pani najpierw usiądzie i zje. Zimna jajecznica jest niedobra.

Wanda zatrzymała się w pół kroku.

— A herbata?

— Popijemy za chwilę, zresztą woda się jeszcze nie zagotowała.

Kobieta wróciła do stołu i usiadła naprzeciw Diany. Patrzyła, jak ta nabiera jajecznicę wprost na kromkę chleba.

— Też pani tak lubi? — ucieszyła się. — Kiedy byłam dzieckiem, jadłam tak samo, ale matce się to nie podobało — wyznała.

— Dzisiaj tego nie zobaczy, więc może pani przypomnieć sobie tamte czasy. — Diana mrugnęła porozumiewawczo.

— Rzeczywiście, nie zobaczy. — Wanda pokiwała głową i sięgnęła po kromkę.

— A właśnie, jak się czuje pani mama? — zainteresowała się Diana. — Mam nadzieję, że już lepiej...

Jajecznicą spadła z kromki wprost na drewniany blat. Kobieta natychmiast wstała.

— Zaraz to posprzątam.

— Nie trzeba, proszę się nie przejmować. — Gospodyni była zaskoczona tą gwałtowną reakcją. — Później to zrobimy. Niech pani je, ja zrobię herbatę — oznajmiła, gdy czajnik zagwizdał. — To będzie mój wkład we wspólne śniadanie.

Kiedy postawiła kubki na stole i z powrotem zajęła swoje miejsce, Wanda popatrzyła jej w oczy.

— Moja mama nie żyje — powiedziała cicho.

— Bardzo mi przykro. — Nic lepszego nie przyszło Dianie do głowy. Czuli, że powinna powiedzieć coś więcej, ale nie znajdowała odpowiednich słów.

— Pomogła mi pani, obdarzyła zaufaniem — odezwała się po chwili Wanda. — Więc winna jestem pani szczerść. Prawdę mówiąc, nie mogę się jeszcze pogodzić z tym, co się stało. — Nerwowo zgmiotła w palcach okruch chleba. — Trudno mi odnaleźć się w nowej sytuacji. Przyjechałam tu, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Chciałam po prostu z kimś porozmawiać.

— I bardzo dobrze pani zrobiła.

— Tylko że wcześniej wypiałam kilka kieliszków wina, a ja nie jestem przyzwyczajona do alkoholu. Pewnie dlatego nie pomyślałam, że mogę nie mieć czym wrócić. — Spojrzała bezradnie na Dianę. — To był taki bezmyślny impuls, co mnie dziwi, bo zawsze byłam racjonalna.

— W pewnych sytuacjach człowiek zachowuje się inaczej niż zazwyczaj — odparła Lisowska, która doskonale wiedziała, o czym Wanda mówi.

— Jest pani bardzo miła. — Kobieta uśmiechnęła się smutno. — Ale nie jestem dumna z tego, co zrobiłam. A na dodatek pani nie było w domu i zasnąłam na tej ławce. Dlatego nie zdążyłam na busa. Wróciłam więc tutaj i znowu zasnąłam. No, teraz zna już pani całą prawdę i może pani myśleć o mnie, co chce.

— W takim razie odwzajemnię się pani taką samą szczerością. — Dianę ujęła postawa Wandy, jej gotowość do prawdy nawet kosztem tego, że może stracić w jej oczach. — Tak naprawdę to nie ma pani wobec mnie żadnego długu wdzięczności. Pani obecność była mi bardzo na rękę. Z pewnych względów ostatnio niezbyt komfortowo czuję się tu sama. Dlatego proszę uznać, że jesteśmy kwita. Ja pomogłam pani, a pani mnie. — Uśmiechnęła się do Wandy. — Najgorsze jest jednak coś innego — dodała.

— Co? — przestraszyła się kobieta.

— To, że będziemy musiały jeść zimną jajecznicę — roześmiała się.



Wanda popatrzyła na domek Diany z uznaniem.

— Spodobał mi się od chwili, gdy pierwszy raz go zobaczyłam — pochwaliła szczerze. — Nawet pomyślałam, że chciałabym w takim mieszkać. Blisko natury, spokojnie...

— Ale do ludzi czasami daleko — przyznała gospodyni.

— Do tego to akurat jestem przyzwyczajona. — Starsza kobieta uśmiechnęła się smutno. — Zresztą i tak nie ma o czym mówić, bo dla mnie już za późno na takie rewolucje.

— Mówią, że nigdy nie jest za późno na realizację marzeń — zauważyła Diana.

— No właśnie, mówią i na tym poprzestają. — Wanda poprawiła torebkę na ramieniu i wyciągnęła rękę. — Do widzenia. I jeszcze raz dziękuję za pomoc.

— Może jednak panią odwieźć do Kielc?

— Nie ma potrzeby. Jest widno, busy kursują, poradzę sobie — zapewniła. — Poza tym nigdzie mi się nie spieszy...

Odeszła powoli, a Diana odprowadziła ją wzrokiem. Współczuła kobiecie straty matki i miała nadzieję, że pomysły z zapijaniem smutku winem nie wejdą jej w nawyk.

Szkoda byłoby, bo to taka miła i inteligentna osoba — pomyślała. — Powinna odpocząć, pomyśleć o sobie, może zrealizować któreś z marzeń.

Nie miała czasu na dłuższe rozważania, bo mimo niedzieli miała za chwilę przyjąć grupę na warsztaty. Zgodziła się wyjątkowo, bo poprosiła ją o to Monika.

Zadzwoniła kilka dni wcześniej, kiedy Diana starała się dojść do równowagi. W pierwszej chwili odmówiła prośbie metodyczki, wykorzystując jako wymówkę to, że w wolne dni nie prowadzi zajęć.

— Wiem, rozumiem, ale może się zdecydujesz — namawiała Monika. — To nie muszą być jakieś bardzo poważne wykłady, a raczej dobra zabawa. Widzisz, sprawa wyszła nagle, obiecałam, że zorganizuję jakieś atrakcje, i pomyślałam o tobie.

Diana wiedziała, że jest dłużniczką Moniki, której rekomendacje bardzo pomogły jej w rozpoczęciu pracy z uczniami i zapewniły pierwsze zamówienia. Nie wypadało jej odmówić, choć nie miała ochoty na dodatkowe zlecenia. Uległa tylko dlatego, że nie wiedziała, jak się wykręcić.

— W jakim wieku to będą dzieciaki?

Monika się roześmiała.

— Bliżej im do Uniwersytetu Trzeciego Wieku niż do podstawówki — odparła. — Od tego powinnam zacząć. Chodzi o mnie i moje koleżanki z pracy. Chcemy się spotkać tak prywatnie, a tradycyjne pogaduchy w kawiarniach już nam się znudziły. Wymyśliłyśmy sobie wycieczkę i chcemy fajnie spędzić czas. To co? Przyjmiesz nas?

To zmieniało sytuację. Pokazanie swojej pracowni i zajęć całemu gronu metodyczek było okazją do rozpropagowania oferty Wrzosowej Polany. Diana wiedziała, że mimo złego samopoczucia nie może odpuścić takiej okazji.

— Skoro to twoje koleżanki, to zapraszam — powiedziała. — Będziecie moimi gośćmi.

— Mowy nie ma! Płacimy jak wszyscy. Będziemy o jedenastej, pasuje ci?

I w ten właśnie sposób grupa dziesięciu kobiet zawitała do stodoły Diany.

Lisowska trochę się obawiała, czy zainteresuje dorosłych swoją pasją, czy będzie dość profesjonalna i czy spodoba im się lepienie z gliny. Jej obawy okazały się zupełnie niepotrzebne. Panie metodyczki, choć były w różnym wieku, to wszystkie miały młode serca i otwarte umysły. Z zainteresowaniem słuchały uwag i z wielkim zaangażowaniem lepiły swoje miseczki i kubki. A ile przy tym było śmiechu, ile wesołych przekomarzań, dowcipów, a nawet pisków radości!

Świetna ekipa — oceniła Diana. — I wyglądają na zadowolone, więc chyba dobrze się spisałam.

— Postaram się wypalić wszystko jak najszybciej i przekażę przez Monikę — obiecała, gdy wszystkie zakończyły pracę.

Podziękowały chórem, naśladując uczniów.

— Dawno się tak dobrze nie bawiłam!

— Każdy powinien spróbować tego lepienia. To doskonale relaksuje!

— Trzeba przyznać, że pięknie to pani urządziła. Bardzo urokliwe miejsce i świetne zajęcia!

Diana przyjmowała komplementy z dumą i nadzieją, że opowiedzą o wrażeniach innym.

— Dobra robota — szepnęła jej na pożegnanie Monika. — Zobaczysz, ile teraz będziesz miała nowych zleceń.

Diana poczekała, aż wsiądą do samochodów i odjadą. Zamknęła bramę i poczuła, że jest zmęczona.

Zjem coś i poczytam — zdecydowała. — A wieczorem może usiądę przy kole.

Odwróciła się, żeby pójść do domu, i znieruchomiała na widok stojącego za nią mężczyzny.

— Witam panią! — powiedział złośliwie.

Diana nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Nie mam przy sobie gazu — pomyślała z przerażeniem. — Jak się obronię?

— Podejrzywałem, że wciąż robisz na mnie wrażenie, ale żeby aż takie...

— Pokręcił głową. — Cóż, powtarzałem ci wiele razy, że mnie się nie

zapomina, ale nie chciałaś wierzyć. — Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Ależ bezczelny! Słowa pełne pychy tak oburzyły Dianę, że zapomniała o strachu.

— Co tu robisz?! Jakim prawem wszedłeś na moje podwórko?!

— Brama była otwarta — wzruszył ramionami. — To jak zaproszenie...

— Nikt cię tu nie zapraszał. Natychmiast wyjdź i wynoś się! — wskazała drogę za ogrodzeniem.

— Powoli, powoli. — Mateo w ogóle nie przejął się jej zdenerwowaniem. — Czy ty się trochę nie zagalopowałaś? Sądzisz, że możesz mi rozkazywać?

Kobieta sięgnęła do kieszeni, w której zawsze miała telefon. Niestety, uświadomiła sobie, że został w domu. Postanowiła blefować.

— Jeżeli nie wyjdiesz, zadzwonię na policję — zagroziła.

— Już się boję! — roześmiał się drwiąco. — Poza tym zastanów się, bo jeśli chodzi o policję, to ty możesz mieć większe kłopoty niż ja.

— Słucham?!

— Moja dziewczyna się żali, że do niej wydzwaniasz. — Zrobił zatroskaną minę. — Ona rozumie, że nie potrafisz się pogodzić z naszym rozstaniem, ale boi się ciebie. Chciała od razu to zgłosić, ale ze względu na naszą dawną relację poprosiłem, żeby się wstrzymała, i obiecałem, że z tobą porozmawiam. Dlatego tu jestem.

Diana słuchała i nie mogła wyjść ze zdumienia.

— Co ty pleciesz?! Przecież to stek bzdur! Raz dzwoniłam, bo chciałam się z tobą skontaktować.

— Właśnie — westchnął teatralnie. — Nie możesz się pogodzić z tym, że jestem w nowym związku.

— Nie, to się nie dzieje naprawdę! — Lisowska pokręciła głową. — Mateo, przecież ty wiesz, jak było. Dlaczego kłamiesz?

— Podobno też mówiłaś o mnie okropne rzeczy. Radzę ci przestać, bo pomówienia także są karalne. Naprawdę nie chciałbym...

— Nie będę tego słuchać!

— Jak sobie chcesz. Tylko tak sobie patrzę, jak się tu urządziłaś, i widzę, że jakąś działalność prowadzisz. Ciekawe, co na to urząd skarbowy...

— Wszystko jest legalne, nic mi nie zrobisz!

— Słyszałem, że handlujesz kubkami z jakimś staruchem. Też legalnie, mam nadzieję — zakpił Mateo.

Diana zbladła.

On narobi kłopotów panu Stachowi — pomyślała z przerażeniem.

Były partner od razu dostrzegł jej poruszenie.

— Naprawdę myślałaś, że ujdzie ci płazem to, co zrobiłaś? Sądziłaś, że pozwolę na to? O nie, mnie się tak nie traktuje. — Pogroził jej palcem. — Dopilnuję, żebyś poniosła za to karę.

— Wynocha! — krzyknęła ostatkiem sił.

— Jeszcze się rzucasz? Uważaj! I pamiętaj, że mieszkasz tu sama, a to nie jest bezpieczne. Pilnuj swojego domku i siebie, żeby nie stało się coś złego. Takie drewniane chałupy podobno błyskawicznie płoną, a nie wiadomo, kto nocami kręci się po okolicy, prawda? — Widząc przerażenie Diany, uśmiechnął się triumfalnie.

— Proszę natychmiast się wynosić! — Stanowczy głos rozbrzmiał tuż za plecami Diany.

Lisowska odwróciła się i zobaczyła Wandę, która szybkim krokiem zmierzała w ich stronę. W ręku trzymała szczotkę na długim kiju i wymachiwała nią niczym pałką.

— Słyszałam wszystko, co pan mówił! To są groźby karalne i z ochotą opowiem o tym w sądzie.

Stanęła między Dianą a mężczyzną i wbiła w niego twarde spojrzenie.

— Kim pani jest? — zdziwił się Mateo.

— Nie pana sprawa — odparła groźnie. — Mieszkam tutaj i może być pan pewien, że Diana nie jest sama. A ja się pana nie boję. — Pogroziła szczotką. — Nie słyszał pan, co Diana powiedziała?! To ja powtórzę. Wynocha stąd! Bo zadzwonię po policję i opowiem o tym wtargnięciu.

Mateo niechętnie zrobił krok w tył.

— Szybciej! Jazda stąd! — popędziła go Wanda. — I żebym cię tu więcej nie widziała! Bo pożałujesz! Won! Bo kijem zdziękę w łeb!

Mężczyzna popukał się palcem w czoło, ale odwrócił się i poszedł do furtki.

Obie kobiety stały w miejscu, dopóki nie zniknął z pola widzenia. Dopiero wtedy Wanda głęboko westchnęła i przyłożyła dłoń do piersi.

— Ufff! Udało się! — powiedziała uradowana. — Ale ciśnienie to mi skoczyło!

Diana zmierzyła kobietę wzrokiem, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, Wanda wybuchnęła śmiechem.

— Pewnie wyglądam jak czarownica, co? — Wskazała na szczotkę. — Tylko to było przed domem, więc nie grymasiłam i ruszyłam z odsieczą.

— A co właściwie pani tu robi? — zdziwiła się Diana.

— Zorientowałam się na przystanku, że zostawiłam tutaj telefon — wyjaśniła kobieta. — Wróciłam, ale pani była zajęta tam, w stodole. Nie chciałam przeszkadzać, więc znowu usiadłam na ławce i czekałam, aż pani skończy. Mówiłam, że nigdzie mi się nie spieszy.

— Jak to dobrze, że pani wróciła — westchnęła z ulgą Diana.

— Tak, najpierw pomyślałam, że to pech, ale teraz widzę, że raczej szczęśliwy zbieg okoliczności — potwierdziła Wanda. Popatrzyła uważnie na młodą kobietę i dostrzegła, że trzęsą jej się ręce. — Chodźmy do domu — powiedziała spokojnie, ale stanowczo. — Zrobię pani herbaty. I poczekam, aż się pani uspokoi. Nigdzie mi się przecież nie spieszy.

Ujęła Dianę za łokieć i poprowadziła do drzwi.



Martyna siedziała na blacie kuchennej szafki i machała nogami. — Jak tam? Udało się wybrać najlepszą kiełbasę? — zagadnęła Tobiasza, który właśnie wrócił na chwilę do domu.

Po spotkaniu z szefem musieli jeszcze załatwić jakieś sprawy w lokalu i dopiero teraz przyszedł się przebrać. Znalazł jeszcze chwilę na rozmowę z Martyną i przygotowywał sobie kawę.

— A żebyś wiedziała. I nie kiełbasę, ale salami. Prawdziwe, włoskie, z górnej półki. Nie masz pojęcia, jak ono zmienia smak pizzy!

— Nie mam — przyznała. — I dziwię się, że ktoś chce o tym rozmawiać w niedzielę bladym świtem.

Sama, choć było już popołudnie, odsypiała wczorajszą imprezę i wstała dopiero niedawno. Nawet jeszcze nie zdążyła się ubrać.

— Po prostu gość, który ma dostęp do najlepszych włoskich dystrybutorów, wylatywał dziś z kraju przed południem. Cudem przekonałem go do tego spotkania, ale warto było wstać, zapewniam cię. Będziemy mieli najlepszą pizzę w mieście — opowiadał z radością Tobiasz.

Martyna, choć czyniła mężczyźnie drobne złośliwości, rozumiała go. Sama gotowa była na wiele poświęceń dla swojej pasji.

— A ty jakie masz plany? — zainteresował się. — Zaczynasz podbój świata od dziś czy dopiero od poniedziałku?

Dziennikarka wyjęła mu z ręki filiżankę i upiła z niej łyk kawy.

— Od poniedziałku — odpowiedziała. — I na razie ograniczam się do województwa.

— Dlaczego? — udał zdziwienie.

— Żarty żartami, ale wiesz doskonale, że najważniejsze jest teraz osiągnięcie stabilizacji na dłuższy czas. Jeden odcinek z zyskiem to za mało. Dopiero kiedy będę wiedziała, że mamy pewny zarobek na co najmniej rok, pomyślę spokojnie o rozwoju — tłumaczyła.

— Rozsądnie — pochwalił, odbierając swój napój.

— Do tego potrzeba mi jeszcze jednego dużego sponsora albo kilku mniejszych, ale stałych. I wymyśliłam sobie, że uderzę do wydziału promocji. W końcu co my innego robimy, jak nie promocję naszego regionu? — zadała retoryczne pytanie. — A oni mają na to pieniądze, więc powinni się włączyć. Podpisze się jakąś umowę, dodamy odpowiednie logo, informację do każdego odcinka. My zarobimy, oni wykonają swoje zadanie i wszyscy będą zadowoleni.

— Pomysł nie jest zły — przyznał Tobiasz. — Choć obawiam się, że łatwo nie będzie.

— Niby dlaczego? — Martyna była pełna wiary w powodzenie swojego planu.

— Mówisz, jakbyś już zapomniała o swoich reporterskich doświadczeniach — odparł mężczyzna. — Ile razy słyszałaś o tym, że kasa z urzędów jest dzielona nie przy biurkach, lecz zupełnie gdzie indziej?

— Oj tam, oj tam! — Dziennikarka machnęła ręką. — Pamiętam różne afery, ale przecież nie wszędzie tak jest. Zresztą muszą chyba od czasu do czasu zrobić coś porządnego.

— Pewnie muszą, tylko nie wiem, czy akurat z nami. — Tobiasz nie dawał się przekonać.

— Wiesz, ja bardzo lubię, kiedy mnie wspierasz. — Martyna zrobiła obrażoną minę. — To mi niesamowicie pomaga.

— Foch? I po co? Przecież próbuję spojrzeć na sprawę obiektywnie. I nie mówię tego, żeby cię zdołować, tylko żebyś przygotowała się na różne ewentualności.

— Dobra, wiem przecież — mruknęła dziennikarka. — Jak będzie, tak będzie, ale spróbować nie zaszkodzi.

— Jasne! — poparł ją Tobiasz. — Próbuj!



Wanda nie zachęcała Diany do zwierzeń. Po prostu posadziła ją przy stole, podała herbatę i siedziała naprzeciw niej w milczeniu. Ta cisza wcale nie była męcząca, co Diana stwierdziła ze zdziwieniem. Zwykle, gdy nie zna się kogoś zbyt dobrze, a nikt nic nie mówi, robi się niezręcznie. A teraz nie.

Ta kobieta jest. Tak naturalnie — pomyślała Diana. — Nie narzuca swojej obecności, ale też nie lekceważy. Jest. Obok, ale blisko. Gotowa, żeby wysłuchać, jednak nie nachalna. Spokojna.

Przypomniała sobie, jak inna była Wanda kilkanaście minut wcześniej: waleczna, stanowcza, ze szczotką w dłoni.

— Ależ go pani wystraszyła! — parsknęła śmiechem na to wspomnienie. — Uciekł z podkulonym ogonem. Gratuluję! Ja nie byłam w stanie się go pozbyć.

Nie mogła przestać chichotać i mogłoby się wydawać, że cały stres minął bezpowrotnie. Wanda jednak wiedziała, że to nie był szczery śmiech, ale nerwowe odreagowanie, konieczność wyrzucenia emocji.

— Bo chyba trudno być stanowczym, gdy się jest straszonym — odparła. — Przepraszam, nie chcę się wtrącać, ale z tego, co zrozumiałam, ten człowiek panią nachodzi i próbuje zastraszyć, tak?

Diana spoważniała i pokiwała głową.

— Nie można się poddawać takim ludziom. I pokazywać, że się ich boi. Kiedy to poczują, nie przestaną — zaczęła ostrożnie Wanda.

— Wszyscy mi to powtarzają — odparła rozżalona Diana. — I sama niby też to wiem, ale jakoś nie potrafię tego zrealizować w praktyce. Beznadziejna jestem!

— Ależ skąd! — zaprotestowała Wanda. — Jest pani dzielną kobietą! Słyszałam przecież, jak pani próbuje się bronić. A swoją drogą, co za niemiły typ! — Wykrzywiła usta. — Czego on od pani chce?

— Cóż, prawda jest taka, że to mój były partner — przyznała niechętnie Diana. — Ale na swoje usprawiedliwienie powiem, że gdy go poznałam, zachowywał się zupełnie inaczej. Chodzący ideał po prostu.

— Trudno uwierzyć po tym, co przed chwilą widziałam.

— Mnie z kolei było trudno uwierzyć, gdy zaczęłam poznawać jego prawdziwe oblicze. Długo trwało, zanim przejrzałam na oczy. Nie ma pani pojęcia, jak mnie omotał...

Wanda słuchała spokojnie i nie komentowała, nie oceniała. Chyba to właśnie skłoniło Dianę do dalszych zwierzeń. Kolejna osoba poznała smutną historię jej związku i to, co się wydarzyło, gdy postanowiła uwolnić się od toksycznego Mateo.

— Pewnie ma mnie pani teraz za naiwną idiotkę, która dała się wziąć na słodkie słówka i pozwoliła wykorzystać — zakończyła opowieść. — Sama tak czasem o sobie myślę. Ale ja naprawdę się starałam i chciałam stworzyć szczęśliwy związek. I wierzyłam w jego miłość. — Pociągnęła nosem.

— Co ty opowiadasz, dziewczyno! — zabrała wreszcie głos Wanda. — Od naszego pierwszego spotkania uważam cię za niesamowitą osobę. Podziwiam twoją zaradność i odwagę. Bo to nie takie oczywiste, że młoda kobieta sama sobie radzi, ma własny domek w pięknej okolicy i jest zupełnie niezależna — wyliczała z zapalem. — A teraz, kiedy jeszcze obdarzyłaś mnie zaufaniem i opowiedziałaś całą tę historię, mój podziw jest jeszcze większy. Nigdy, przenigdy nie powinnaś myśleć o sobie źle!

Diana szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Nie spodziewała się po Wandzie tak emocjonalnego wybuchu.

— Nie patrz tak na mnie. — Starsza kobieta nawet nie zauważyła, że zaczęła zwracać się do rozmówczyni po imieniu. — Przecież nie mam

powodu, żeby kłamać. Sama twierdzisz, że prawie się nie znamy.

— Właściwie tak...

— Za chwilę mogę wstać i odejść stąd na zawsze. Niby po co miałabym mówić coś, w co nie wierzę? — przekonywała.

— Jasne, rozumiem. — Lisowska pokiwała głową. — I oczywiście wierzę, że jest pani szczerą.

— Bo jestem. A ty jesteś silną kobietą i zrobiłaś to, na co większość nie potrafi się zdobyć przez całe życie.

— Może... — odparła w zamyśleniu projektantka. — Kłopot w tym, że mnie samej trudno w siebie wierzyć. Nie czuję tej siły, a ostatnio bardzo w nią wątpię. Zachowuję się jak wystraszone dziecko, histerycznie, czasami nieracjonalnie i sama do siebie mam o to pretensje. Boję się własnego cienia, a życie tutaj, które miało być spokojne i szczęśliwe, stało się pełne strachu i niepewności.

Wanda słuchała uważnie, ze zmarszczonym czołem.

— Nie dziwię się — odpowiedziała. — Ten mężczyzna zrobił z twojego życia piekło.

— Rozumie to pani?

— Oczywiście. Ciągły stan gotowości, nieoczekiwane nieprzyjemności, wieczne napięcie... — wyliczała. — To potrafi wykończyć. A najgorzej jest wtedy, gdy nie możesz nikomu o tym powiedzieć, bo obawiasz się oceny. Niezbyt pochlebnej — westchnęła przeciągle.

— Tak, tak właśnie jest!

Jak ona dobrze mnie rozumie — pomyślała Diana. — Dokładnie tak się czuję.

— Na dodatek wciąż się boję, że on wróci, a ja będę sama — pożaliła się. — Zresztą sama pani wie. Gdyby mi pani dziś nie pomogła... Będę mieć alarm, ale to dopiero za kilka dni. A do tej pory? Siedzę tu zupełnie sama i świruję z niepokoju.

Wanda spojrzała badawczo na Dianę.

— Mam pewien pomysł — powiedziała powoli. — Jeżeli się zgodzisz i nie będzie ci przeszkadzało towarzystwo starszej pani, to mogłabym

z tobą zamieszkać na te kilka dni, zanim założą alarm i poczujesz się bezpieczniej. Oczywiście możesz odmówić, nie...

— Naprawdę mogłaby pani tu zostać? — Ta propozycja wydała się Dianie zbawieniem. — Mówi pani poważnie?

— Bardzo poważnie. — Wanda pokiwała głową. — Co prawda to najbardziej szalona rzecz, jaką zrobię w życiu, ale co mi tam! — Uśmiechnęła się. — Mówiłam przecież, że zawsze chciałam mieszkać w takim domku, więc miałabym okazję sprawdzić, czy na dłuższą metę naprawdę mi się to spodoba. No, ale wszystko zależy od ciebie.

— Przecież pani wie, że się zgodzę. Naprawdę nie chcę być teraz sama.

— Ale jest jeden warunek. — Starsza pani podniosła palec, żeby podkreślić ważność tych słów.

— Jaki?

— Musimy pojechać do mnie po kilka rzeczy. Nie będę spała w tej twojej koszulce, jest za krótka i boję się, że w nocy kołdra się zsunie, będę świeciła tym, co powinno zostać przykryte.

Diana parsknęła śmiechem.

— Oczywiście, rozumiem. W takim razie jedźmy od razu!



Spotkanie w urzędzie wyznaczono Martynie na ósmą rano. Co prawda dziennikarka uważała, że to jakaś zbójcka pora, ale nalegała na spotkanie z kierowniczką wydziału, a ta podobno miała czas tylko o tej godzinie.

Naprawdę za samo to poświęcenie powinna zgodzić się na moją propozycję — złościła się, jadąc windą na trzecie piętro. — A na dodatek jeszcze dziś taka paskudna pogoda.

Rzeczywiście, listopadowy poranek przywitał mieszkańców Kielc deszczem. Szare chmury zasnuły niebo, zimne krople padały gęsto, a na ulicach i chodnikach tworzyły się kałuże. Ci, którzy musieli iść pieszo, szczerze zapinali płaszcze i kurtki, a ci w samochodach włączali ogrzewanie. Wrony i gołębie siedziały nastroszone i zmoknięte na gołych gałęziach. Nawet parasole przechodniów były głównie szare i czarne, jakby nikt nie miał odwagi przeciwstawić się ponurej kolorystyce narzuconej przez naturę.

Martyna nie zmokła, bo udało jej się znaleźć miejsce parkingowe prawie przed wejściem do urzędu, ale nawet ona nie włożyła dzisiaj na siebie nic kolorowego. Miała co prawda ochotę na przekór ponurej aurze ubrać się w pomarańczowy sweter, ale skoro czekała ją oficjalna rozmowa, uznała, że lepiej postawić na neutralny wygląd i pokazać szacunek dla stanowiska rozmówcy. Przynajmniej pozornie, gdyż Wrońska wyznawała zasadę, że szanuje się ludzi za to, jacy są, a nie za to, na jakim stołku siedzą. Cóż,

czasami trzeba się dostosować, więc zrezygnowała z pomarańczowego swetra na rzecz grafitowej koszuli i czarnych cygaretek. Zdecydowała się także na duży srebrny wisior, aby zaznaczyć swoją indywidualność, bo wszystko w niej buntowało się przeciwko mdłej stylizacji. Ciężkie buty, jej znak rozpoznawczy, dopełniły wizerunku.

Urzędniczka przyjęła ją uprzejmie, ale chłodno.

— O czym chciała pani ze mną porozmawiać? — zapytała.

Nie zaproponowała kawy ani nawet szklanki wody. Nie zaprosiła też dziennikarki do stolika pod oknem, lecz wskazała na krzesło po drugiej stronie swojego biurka.

— Mam propozycję promocji naszego regionu — zaczęła bez zbędnych wstępów Martyna, choć czuła, że ten początek nie zwiastuje powodzenia. — Przygotowałam materiały, ale chciałabym też pokrótce nakreślić szczegóły.

Podawała kobiecie teczkę z materiałami, a ta wzięła ją i odłożyła na bok, nawet nie otwierając. Dziennikarka nie skomentowała tego, po prostu zaczęła opowiadać o serii reportaży i o dotychczasowych osiągnięciach.

Urzędniczka słuchała z kamienną twarzą.

— Sama pani widzi, że wygląda to obiecująco — podsumowała swój monolog Martyna, widząc, że nie ma sensu przedłużać prezentacji. — Proszę się zastanowić, czekam na odpowiedź. Myślę, że moje doświadczenie jest dodatkowym atutem. Przez wiele lat byłam...

— Wiem, kim pani była — przerwała jej kierowniczka wydziału kultury. — I wiem także, dlaczego pani już nie jest.

Ach, więc o to chodzi!

— Cóż, to żadna tajemnica. — Wrońska nie miała w zwyczaju od razu się poddawać. — Ale to nie do końca było tak, jak wyglądało. W każdym razie tamta sytuacja nie ma tu nic do rzeczy. Doświadczenie w reportażu pozostaje i to ono jest gwarancją profesjonalnych materiałów.

Twarz urzędniczki nawet nie drgnęła.

— Nie podważam pani doświadczenia — powiedziała, patrząc Martynie w oczy. — Ale sprawa, wiadoma sprawa, jest ogólnie znana i nie sądzę, aby

była dobrą reklamą dla naszego regionu. Jestem też przekonana, że podobnego zdania będzie wiele osób. W tej sytuacji nie jesteśmy zainteresowani współpracą z panią.

Wrońska poczuła, jakby dostała w twarz.

— Chce mi pani powiedzieć, że nie dostanę dofinansowania z powodów politycznych?!

— Nic takiego nie powiedziałam — zaprzeczyła kobieta. — Rozmawiamy o pani dotychczasowym doświadczeniu zawodowym, o którym zresztą sama pani wspomniała.

— Naprawdę?! — Wściekła Martyna poderwała się z krzesła. — Chciałam odwalić za was kawał roboty, ale widzę, że na układy nie ma rady — warknęła.

I opuściła gabinet.

Nie przewidziałam, że macki tego drania sięgają tak daleko — zżymała się, wracając do domu. — I że naprawdę będzie blokował mi wszystko, co w zasięgu jego możliwości. Mściwa menda!



Dianę obudziło stukanie deszczu o parapet. Powoli otworzyła oczy, przeciągnęła się i... o mało nie spadła na podłogę.

No tak! — przypomniała sobie. — Przecież śpię na polowym łóżku.

Myślami wróciła do poprzedniego popołudnia, kiedy to zawiozła Wandę do jej mieszkania. Kobieta zaprosiła ją na górę, więc Diana mogła się przekonać, że jej chwilowa współlokatorka mieszkała skromnie, ale gustownie. Meble i dodatki nie były w jej stylu, musiała jednak przyznać, że wszędzie panował nienaganny porządek, a pomieszczenia były przytulne.

— Od lat myślę o remoncie, ale ciągle nie było na niego czasu — wyjaśniła Wanda. — Poza tym mama była bardzo przywiązana do swoich mebli i nie lubiła zmian. Wiem, że trochę trąci tu myszką...

— Ja powiedziałabym, że jest klimatycznie — odparła Diana, co gospodyni przyjęła z wyraźną wdzięcznością.

— Szybciotko się spakuję — obiecała.

— Proszę się nie spieszyć, mamy czas — uspokoiła ją Lisowska.

Wanda była gotowa w ciągu czterdziestu minut. Wyniosła do przedpokoju niewielką torbę podróżną, a potem na chwilę znikła za drzwiami jednego z pokoiów. Wyniosła stamtąd coś dość dużego w płóciennym pokrowcu w kwiaty.

— To łóżko polowe — wyjaśniła. — Czasami, gdy mama miała gorszy czas, musiałam być całą noc przy niej. Wtedy z niego korzystałam. A teraz

będzie jak znalazł.

Kiedy już zamykały drzwi, Wanda coś sobie przypomniała.

— Proszę mi dać jeszcze chwileczkę.

— To ja zniosę wszystko do samochodu, a pani mnie dogoni — zaproponowała Diana.

Gdy Wanda dołączyła do niej po chwili, w ręku trzymała szklanę.

— Wiem, że to relikwyt poprzedniej epoki. — Uśmiechnęła się. — Ale tak jestem do niej przyzwyczajona, że z niczego innego kawa i herbata mi nie smakują.

Wróciły do Wrzosowej Polany i wieczór spędziły na rozmowie o pracy Diany i jej pasjach. Wanda z zaciekawieniem obejrzała pracownię i kilka projektów ogrodów. Potem upierała się, że będzie spała na przywiezionym łóżku, ale Diana stanowczo odrzuciła ten pomysł. Po krótkiej wymianie argumentów przekonała gościa i przeniosła swoją pościel na prowizoryczne posłanie.

Muszę się jakoś powstrzymać od tego kręcenia się w nocy, bo naprawdę mogę mieć nieoczekiwanie twarde lądowanie — pomyślała. — No ale przecież pani Wanda nie może spać na czymś takim. Czuję się fatalnie ze świadomością, że ja rozkładam się na miękkim materacu, a starsza osoba koczuje na wąskim płóciennym łóżku.

Tym razem Wanda też obudziła się przed gospodynią, bo jej posłanie było puste, a pościel równo zaścielona.

Diana owinęła się w szlafrok i poszła do kuchni.

— O! Wstałaś! — ucieszyła się na jej widok kobieta. — Zaczynałam się denerwować, czy nie przesadziłaś z tymi ziołami.

— Zabrzmiało tak, jakbym wczoraj całą noc paliła jakieś zakazane substancje — roześmiała się Diana. — A to przecież był tylko dziurawiec.

Znalazła wieczorem resztkę w płóciennym woreczku i zaparzyła sobie, żeby szybciej się uspokoić. Wanda była sceptyczna, ale młodsza kobieta zapewniła ją, że już piła napar i nic złego się nie działo.

— Nigdy nic nie wiadomo. — Teraz też Wanda nie ukrywała lekkiej niechęci do wieczornego napitku. Postawiła na stole koszyk z chlebem

i oznajmiła: — Śniadanie gotowe.

— Może pani być spokojna. To od naszej miejscowej zielarki — wyjaśniła Diana, siadając do stołu. — Zna się na tym. Ludzie często proszą ją o pomoc, chociaż zamiast docenić, nazywają czarownicą.

— Tak ostro bym tego nie ujmowała, ale takie niby naturalne terapie mogą przynieść więcej szkody niż pożytku. Jeśli jest się chorym, trzeba iść do lekarza.

— Zgadzam się z panią, ale zioła mogą przecież pomóc przy drobnych dolegliwościach. Pomóc zasnąć, jak mnie, czy zmniejszyć ból brzucha... A Greta naprawdę się na tym zna — stanęła w obronie znajomej.

Wanda nie odpowiedziała. Widać było, że nadal nie zgadza się z Dianą.

— Byłam rano w sklepie — zmieniła temat. — Kupiłam świeże pieczywo, jeszcze ciepłe było, gdy przyniosłam. Wzięłam jeszcze kilka rzeczy, bo pozwoliłam sobie zajrzeć do lodówki i zobaczyłam, że nie ma wszystkiego, czego potrzebuję do zrobienia obiadu.

Diana odłożyła widelec na brzeg talerza.

— Pani Wando, ale naprawdę nie musi pani tego wszystkiego robić. Nie zaprosiłam pani po to, żeby mi pani gotowała. Proszę pójść na spacer, odpoczywać...

— Ja też muszę jeść — odparła kobieta. — Więc co to za różnica, czy ugotuję dla siebie, czy na dwie osoby? A ty masz te swoje zajęcia. Poza tym nie chcę siedzieć i rozmyślać, wolę się czymś zająć.

Dianie było trochę głupio, że gość przejmie jej obowiązki, ale zrozumiała, że Wanda naprawdę chce mieć coś do roboty, żeby odsunąć smutne myśli o śmierci matki.

— Dobrze, tylko niech pani się nie przemęcza — poprosiła. — I będziemy gotować na zmianę, żeby było sprawiedliwie.



— Nie sądzisz, że to jest bezczelność?! — zawołała wzburzona Martyna, chodząc w tę i z powrotem po pokoju.

Czekała na powrót Tobiasza z pracy, zresztą i tak nie mogłaby zasnąć. Przez cały dzień była wściekła, tak wściekła, że gdyby ktoś wszedł jej w drogę, to nie chciałaby być w jego skórze. Opowiedziała mężczyźnie o rozmowie w urzędzie.

— Przecież ona wyraźnie dała mi do zrozumienia, że mam przez sprawę Kownackiego wilczy bilet w tym mieście!

— Mogłaś się tego spodziewać — skomentował rzeczowo Tobiasz. — Doskonale wiesz, że facet ma znajomości i wpływy.

— Ale że aż tak będzie się mścił? Przecież minęło już kilka miesięcy.

— Podejrzewam, że nie masz co liczyć na to, że odpuści. Tacy jak on tego nie robią.

— Dobra, niech będzie. Ale czy ja coś od niego chcę? To publiczne pieniądze, a nie Kownackiego — zaperzyła się Martyna.

Tobiasz spojrział na nią z rozbawieniem.

— Teraz to gadasz tak, jakbyś żyła w innym świecie. Powiedz, ale tak szczerze: serio myślisz to, co mówisz? Nie wiesz, jak jest?

— Może i wiem. Ale to mi się nie podoba — fuknęła i stanęła z założonymi na piersiach rękami. — Dawniej też mi się nie podobało, ale nie dotykało mnie bezpośrednio. A teraz zaczynam rozumieć tych, którzy

nie mogą się dopchać do publicznych środków, mimo że mają dobre projekty.

— Świata nie zmienisz. — Mężczyzna wzruszył ramionami. — Daj sobie z tym spokój, szkoda twoich nerwów.

— Ani mi się śni! Nie podaruję!

— I co masz zamiar zrobić?

— To chyba oczywiste. Nagram krótki wstęp przed kolejnym odcinkiem. Opowiem o tej pani z urzędu i o tym, że jest na usługach polityka. Wszyscy to obejrzą, zrobi się afera i może jakieś służby wreszcie się tym zajmą.

Tobiasz pokręcił głową.

— Znowu cię ponosi — uspokajał Wrońską. — Usiądź, przestań się nakręcać i przemyśl to na spokojnie.

Martyna niechętnie zajęła miejsce w fotelu.

— Ja ci niczego nie zabronię — tłumaczył jej mężczyzna. — Możesz nakręcić filmik i powiedzieć, co chcesz. Ale na mój rozum służby zamiast sprawą, zajmą się tobą. Ta urzędniczka powie, że nic ci nie sugerowała, zresztą nazwisko Kownackiego nie padło. Poda cię do sądu za zniesławienie, a to ci ani życia, ani pracy nie ułatwi.

Miał rację, wiedziała to, nawet bez jego wyjaśnień. Nie miała dowodów, nie mogła rzucać oskarżeń. Przemawiały przez nią złość, rozczarowanie i frustracja.

— Dobra, już nie tłumacz mi jak idiotce — poprosiła zrezygnowana. — Musiałam po prostu się wygadać, i tyle.

Tobiasz wstał, podszedł do niej i poklepał ją po ramieniu. Podniosła na niego wzrok.

— Mam to tak zostawić?

— Nie masz wyjścia. Uważam, że najlepiej zrobisz, jeśli skupisz się na pracy, zamiast rozpamiętywać chwilowe rozczarowanie. Twój sukces będzie największym prztyczkiem w nos, jaki możesz dać Kownackiemu. Pokaż, że masz gdzieś jego układy, że jesteś ponad tym.

Dziennikarka pokiwała głową.

— Masz rację, tak zrobię. Dzięki, że mnie wysłuchałeś. — Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Od tego jestem. A teraz idę spać, bo padam na twarz. Dobrze, że jutro mam wolne.

— Nie pracujesz?

— Szef zarządził, że ten młody, który przyszedł niedawno do pracy, musi spróbować poradzić sobie sam. We wtorki nie ma dużego ruchu, więc powinien dać radę. Wiesz, ja pracuję od kilku tygodni prawie codziennie, trzeba to jakoś unormować. — Ziewnął szeroko. — Mam nadzieję, że nie zawali.

— Słuchaj, to skoro masz wolne, może odwiedzimy Dianę? — zaproponowała Martyna. — Mamy już ten odcinek o Jagodnie do montażu, może zerknęłaby i oceniła? W końcu zna to miejsce i ludzi lepiej niż ja.

— Bardzo chętnie, ale dopiero gdy się wyśpię. A ty zadzwoń do niej i powiedz, że przyjedziemy.

— Nie będę dzwonić, zrobimy jej niespodziankę.



Wanda popatrzyła z zadowoleniem na swoje dzieło. Kuchnia lśniła. Blaty błyszcząły, stół był wyczyszczony, deski podłogi jasne. Pachniało świeżością, a na żadnej półce i w żadnej szafce nawet najbardziej wymagające oko nie znalazłoby ani odrobiny kurzu.

Teraz pora na pokój — zdecydowała. — Z myciem okien trzeba poczekać na ładniejszą pogodę.

Przepłukała ścierki, nalała do miednicy czystą wodę i dodała do niej kilka kropel płynu do mycia naczyń. Założyła żółte gumowe rękawice i tak wyposażona wkroczyła do sypialni.

Postanowiła zrobić Dianie niespodziankę. Wiedziała, że warsztaty potrwać kilka godzin i przez ten czas gospodyni nie pojawi się w domu.

Nie będzie mogła mi przeszkodzić, a gdy wróci, wszystko będzie gotowe — cieszyła się kobieta.

Tak, wiedziała, że nie musi, że nikt tego od niej nie wymaga i że miała odpoczywać. Ale co zrobić, skoro nie mogła. Gdy tylko zostawała sama, od razu dopadały ją niewesołe myśli. Zastanawiała się wciąż, czy pobyt matki w domu opieki to była rzeczywiście dobra decyzja. I czy zrobiła wszystko, a może mogła coś więcej? A jeśli nawet udawało jej się nie myśleć o matce, to dla odmiany zastanawiała się nad swoją przyszłością. I już sama nie wiedziała, co gorsze. Powrót do przeszłości był bolesny, ale perspektyw także wesołych nie miała. Przynajmniej na razie nie mogła ich dostrzec.

Poza tym nie była przyzwyczajona do bezczynności. Nie potrafiła siedzieć i niczego nie robić. Wciąż miała wrażenie, że o czymś zapomniała, czegoś nie dopilnowała. Męczyło ją to bardziej niż działanie. Dlatego pomimo napomnień Diany wyszukiwała sobie zajęcia.

Zaczęła wycierać kurze i poczuła, że z kuchni dobiega już woń grochówki na wędzonce. Niechętnie musiała przyznać, że trochę przesadziła z ilością, ale garnek był duży i jakoś tak wyszło.

Trudno, najważniejsze, żeby smakowało — postanowiła się nie przejmować. — Może Diana nie ma nic przeciwko jedzeniu tego samego dania przez dwa albo trzy dni. W końcu to nie mama, która lubiła tylko świeże potrawy.

Na drugie danie zaplanowała schabowe z pieczonymi ziemniakami i surówką z kiszonej kapusty. Chętnie przygotowałyby swoje popisowe zrazy, ale w miejscowym sklepie nie było mięsa, a do marketu nie miała jak dojechać. Za to w zamrażalniku znalazła schab, więc menu ułożyło się samo. A na deser galaretka — niezbyt wyszukany, ale nic innego nie miała pod ręką. Dokupiła tylko ananasy w puszcze i włożyła na dno kubków, do których wlała wiśniowy płyn i odstawiła do stężenia.

Żeby w domu nie było porządných pucharków? — westchnęła. — Cóż, Diana dopiero zaczyna życie na swoim, z czasem na pewno uzupełni zastawę i dodatki. Właściwie jedzenie deseru z kubków też ma jakiś urok i nawet pasuje do wiejskich klimatów.

Przerwała rozmyślania, bo zobaczyła, że ze stodoły wychodzi grupa uczniów i śmiejąc się, zmierza w stronę bramy.

Udało mi się zdążyć — ucieszyła się, wyciskając mopa. — Zanim Diana ich pożegna, poskładam te ściery i umyję wiadro.

Szybko uwinęła się z ostatnimi czynnościami i gdy Lisowska weszła do domu, Wanda stawiała na stole talerze z grochówką.

Gospodyni rozejrzała się po swoim domu. Od razu zauważyła, czym zajmowała się Wanda w czasie jej nieobecności.

— I jak? — Kobieta czekała na ocenę swoich starań.

— Słów mi brak — odparła Lisowska. — Bo nie wiem, od czego zacząć: od podziękowań, pochwał czy od powiedzenia pani, że jest mi naprawdę głupio.

— Właściwie wszystko już powiedziałaś — stwierdziła uśmiechnięta Wanda. — Cieszę się, że ci się podoba, a głupio nie musisz się czuć. Wcale nie było aż tak brudno — zażartowała.

Rozbroiła tym Dianę i młoda kobieta machnęła ręką.

— Pocięszam się tylko tym, że chyba nie bardzo ma już pani co wymyślić.

— Została jeszcze łazienka i weranda — zauważyła Wanda. — Ale to jutro.

— Mowy nie ma! Zabraniam!

Usiadły do stołu i zaczęły jeść. Nie dane im było jednak spokojnie rozkoszować się smakiem aromatycznej zupy, bo rozległo się głośne pukanie do drzwi.

— Nie bój się. — Wanda od razu przejęła inicjatywę. — Jedz, ja otworzę. Poszła na werandę i Diana usłyszała po chwili dochodzące stamtąd głosy.

— Ci ludzie mówią, że są twoimi przyjaciółmi. — Wanda stanęła w progu kuchni, wskazując głową na stojących za nią.

— Martyna! Tobiasz! — ucieszyła się Lisowska. — Co za niespodzianka!

— Czyli przyjaciele — zrozumiała Wanda. — W takim razie dobrze państwo trafili — zwróciła się do gości. — Proszę siadać, zaraz podam talerze. Mam nadzieję, że lubią państwo grochówkę?

— Ja lubię — Tobiasz naturalnie przyjął obecność kobiety i zajął miejsce przy stole.

Martyna zaprezentowała inną postawę.

— Widzę, że i u ciebie sporo niespodzianek. — Znacząco spojrzała na kobietę przy kuchence, a potem pytająco na Wandę.

— Poznajcie panią Wandę — przedstawiła Diana. — Zgodziła się dotrzymać mi towarzystwa przez kilka dni i obroniła przed Mateo.

— Jak to: obroniła? — zainteresował się mężczyzna.

— Bez przesady — zaprotestowała Wanda i podała mu talerz pełen po brzegi. — Po prostu powiedziałam mu do słuchu.

— I pogoniła go szczotką — roześmiała się Diana. — Żebyście to widzieli! Nie wiedział, co ma zrobić. Zmył się jak niepyszny!

— Skąd ty ją wzięłaś? — zapytała szeptem Martyna, gdy kobieta znów wróciła do kuchenki.

— Długa historia.

— Ale czy ty ją znasz? Wiesz, kim jest? — Dziennikarka nie dawała za wygraną. — Mówiła, jak długo tu będzie?

Diana spojrzała na nią poważnym wzrokiem.

— Ciebie też nie znałam, a nie pytałam o nic — przypomniała.

— Fakt. — Wrońskiej zrobiło się głupio. — OK, przepraszam.

— Nie ma sprawy. Pani Wanda jest w porządku.

— Domyślam się, że to mnie dotyczą te szeptki. — Kobieta stanęła obok Martyny i postawiła przed nią zupę. — Zapewniam panią, że nie zrobię Dianie nic złego. A jeśli pani sobie życzy, mogę pokazać dowód osobisty.

— Nie, nie trzeba — zaprotestowała dziennikarka. — Jeśli Diana pani ufa, to ja też. Po prostu jest moją przyjaciółką i...

— To bardzo budujące, że ma się przyjaciół, którzy tak się troszczą. — Wanda się uśmiechnęła. — Jedzcie państwo, póki gorące.

— A ja uważam, że ktoś, kto gotuje tak pachnącą grochówkę, musi być dobrym człowiekiem. — Tobiasz rozładował atmosferę. — Muszę już spróbować, bo mi zaraz ślina będzie kapała na stół.

Wszyscy się roześmiali.

— To ja dokończę prezentację. — Diana przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni. — Pani Wando, to Martyna i Tobiasz, moi przyjaciele.

— Bardzo mi miło. A będzie jeszcze milej, jeśli wreszcie zjemy obiad. Ty od rana niczego nie miałaś w ustach — dodała z naganą. — Tak nie można, to niezdrowo.

Deser zjedli na werandzie.

— Ale tam jest zimno — protestowała Diana.

— Nie szkodzi, możemy założyć kurtki — podsunęła Martyna. — Chcę posiedzieć i popatrzeć na te widoki.

— Jakie widoki?! W listopadzie?! Wszystko mokre, zamglone, a o tej porze to już w ogóle niewiele widać, przecież już ciemno.

— Daj spokój i jakieś kocyki przynieś. — Dziennikarka nie zamierzała zmienić zdania. — A że ciemno, to nie szkodzi. Będzie lepiej oglądać.

— A co będziemy oglądać? — zainteresowała się Wanda.

Dobrze się czuła w towarzystwie tych ludzi. Byli tacy bezpośredni i mili. Nie sądziła, że tak szybko znajdzie z nimi wspólny język. Była przecież dużo starsza. Tymczasem oni przyjęli ją zupełnie naturalnie, słuchali, chwalili jej kuchnię. Nie robili problemu z konieczności podzielenia dwóch schabowych na połowy, żeby starczyło dla wszystkich, żartowali.

Wanda nie sądziła, że ludzie mogą w ten sposób żyć — na luzie, bez napięcia. Po prostu cieszyć się swoim towarzystwem i z niczego nie robić problemu. Chyba po raz pierwszy w życiu tak się czuła.

— Przywieźliśmy nowy odcinek naszego serialu i zależy nam na opinii Diany — odparła Martyna.

Lisowska wyjaśniła, czym zajmują się jej przyjaciele.

— To bardzo ciekawe — oceniła Wanda.

Usiedli na wiklinowych fotelach, Tobiasz rozłożył laptopa i włączył materiał.

— To jeszcze surowa wersja — zastrzegł. — Po montażu będzie o wiele lepiej.

— Chciałabym, żebyś powiedziała, czy coś jeszcze dodać, co uwypuklić, Diana — dodała dziennikarka. — A może uznasz, że coś lepiej wyciąć.

Projektantka była troszkę zaskoczona, bo wcześniej nie prosili jej o opinię przed umieszczeniem filmu w sieci.

— Nie wiedziałam, że jestem waszą recenzentką. Kiedy to się stało?

— W chwili, gdy postanowiłam zrobić odcinek o Jagodnie — odpowiedziała Wrońska z uśmiechem. — To co? Wypowiesz się?

— O Jagodnie?! Ależ się cieszę! Oczywiście, że postaram się coś konstruktywnego powiedzieć. — Diana klasnęła w dłonie. — Chociaż

ciężko mi będzie o obiektywizm. Wiecie, że dla mnie Jagodno to najcudowniejsze miejsce na świecie. No, teraz to może drugie po Wrzosowej Polanie — dodała i mrugnęła porozumiewawczo.

— A co to jest Jagodno? — zapytała Wanda.

— To miejsce, gdzie każda kobieta w potrzebie znajdzie pomoc i wsparcie. — Diana uśmiechnęła się na wspomnienie dworku w lesie. — Są tam Tamara i Marzena, są hrabianki Leszczyńskie, a niedaleko, w białym domku, mieszka babcia Róża, która robi konfitury z fiołków.

— Brzmi jak jakaś bajka — zauważyła Wanda, otulając nogi kocem. — Trudno uwierzyć, że takie miejsca istnieją.

— Owszem, istnieją — zapewniła Martyna. — Byłam osobiście, sprawdziłam, a Tobiasz nakręcił. Zaraz pani zobaczy.

Mężczyzna włączył nagranie.

Cała czwórka z uwagą słuchała opowieści Tamary o idei Stacji Jagodno, zachęt Marzenki, która opisywała walory okolicy, oglądali klimatyczne zdjęcia zalewu, leśnych dróg, sosnowych korzeni... A potem była jeszcze hrabianka Zuzanna stukająca laską o podłogę, delikatna hrabianka Julia w koronkowej bluzce, dworkowe pokoje, ogień płonący w kominku, galeria kobiecych portretów, Łukasz rąbiący drewno, różana altana, mała Różyczka biegnąca do białego domku, a na koniec babcia Róża zapraszająca do Jagodna.

Diana poczuła, że na widok staruszki zwilgotniały jej oczy. Tak wiele zawdzięczała jej dobroci i mądrości.

— A wiecie, że Kocia mam od babci Róży? — powiedziała drżącym głosem.

Wandzie wystarczyło jedno spojrzenie na Dianę, żeby zrozumieć, że babcia Róża jest dla niej bardzo ważną osobą. Nie dziwiło jej to, bo sama była pod wrażeniem tego, co zobaczyła.

— Naprawdę wspaniałe miejsce — powiedziała, gdy Tobiasz wyłączył komputer. — Dobrze, że państwo zrobiliście o tym film, ludzie powinni się o nich dowiedzieć.

— Tak, powinni. Każdy, kto tam trafi, wraca odmieniony — dodała Diana z przekonaniem.

— To co? Z grubsza jest dobrze? — Dziennikarka była ciekawa ich opinii.

— Ja nie mam żadnych uwag — zapewniła Diana.

— Mnie się bardzo podobały te ujęcia przyrody — dodała Wanda, co wywołało uśmiech zadowolenia na twarzy Tobiasza. — Dzięki nim jeszcze lepiej czuje się klimat tamtego miejsca. Piękni ludzie i piękna przyroda — podsumowała.

— Wygląda na to, że dobrze się spisaliśmy — ucieszyła się Wrońska. — W takim razie trzeba montować i pokazać światu.

— To może teraz wrócimy do kuchni? — zaproponowała Wanda. — Zrobię herbatę na rozgrzanie.

— Nic z tego — sprzeciwiła się Diana. — Herbatę robię ja.

— Dla mnie kawa — zastrzegła Martyna.

— O tej porze? — Wanda zmarszczyła brwi. — To niezdrowo, no i będzie pani trudno zasnąć.

— Oj, czuję, że zaraz nastąpi starcie dwóch twardych charakterów — oświadczył scenicznym szeptem Tobiasz. — Chodź, Diana, uciekajmy, zanim zaczniesz się rzucanie piorunami.

— Albo machanie szczotką — zaśmiała się młoda kobieta.



Diana ustawiła budzik na szóstą rano. Chciała wstać przed swoim gościem i przygotować śniadanie. Wanda, odkąd u niej mieszkała, wykonywała wszystkie domowe obowiązki i Lisowska zaczynała czuć się z tym źle. Nie żeby nie cieszyła się z tego, że nie musi myśleć o przygotowaniu jedzenia, sprzątaniu czy zakupach, ale przecież nie powinna pozwalać, aby gość zajmował się wszystkim.

Niestety, okazało się, że jej plan się nie powiódł. Chociaż wstała natychmiast, gdy usłyszała melodyjkę, od razu zrozumiała, że Wanda już była w kuchni. Tak nie może być! Diana zaciągnęła mocno pasek szlafroka i w bojowym nastroju wyszła z sypialni.

— Dzień dobry!

Wanda siedziała przy stole, a przed nią stała szklanka z fusami po kawie. Żadnych kanapek, żadnej patelni na kuchence, żadnych zapachów świadczących o przygotowywaniu jedzenia. Diana od razu zrozumiała, że coś musiało się stać.

— Pani Wando, dlaczego tak wcześnie pani wstała? — zapytała ostrożnie.

Cała waleczność gdzieś znikła, bo starsza kobieta siedziała lekko zgarbiona, bez uśmiechu, jakby uszła z niej cała energia.

— Źle się pani czuje? — zaniepokoiła się Lisowska.

Wanda westchnęła.

— Miałam ciężką noc — odparła. — Śniła mi się mama. A potem już wcale nie mogłam zasnąć. Nie chciałam cię budzić, więc siedzę sobie tutaj...

— To może ja zrobię coś do zjedzenia? — zaproponowała Diana.

Nie bardzo wiedziała, jak pocieszyć swojego gościa.

— Dziękuję, nie jestem głodna. Mogłabyś mi zrobić jeszcze jedną kawę? — poprosiła.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł — zafrasowała się młoda kobieta. — Tak na czczo... Już jedną pani wypiła.

— A co to za różnica? — Wanda wzruszyła ramionami.

Diana mimo wszystko postanowiła nie podawać jej dodatkowej porcji kofeiny. Zrobiła szybko kanapkę z szynką i pomidorem.

— Niech pani zje chociaż trochę. Sama mi pani mówiła, że trzeba jeść.

— Tak, ale miałam na myśli sytuację, gdy ma się dla kogo żyć. — Wanda podniosła na nią wzrok i Diana dostrzegła smutek w jej oczach. — Ja już mogę sobie pozwolić i na to, żeby pić dużo kawy, i na to, żeby nie jeść, jeśli nie mam ochoty. To się nazywa wolność, prawda?

— Co też pani mówi! — Diana uznała, że musi podnieść na duchu starszą panią. — Przed panią jeszcze wiele lat, a żyje się przecież dla siebie.

Wanda milczała. Dopiero kiedy Lisowska usiadła przy stole z kubkiem herbaty, kobieta powiedziała:

— Myślałam o tym Jagodnie. To niesamowite, że są takie miejsca. Tam nikt nie jest sam, zawsze można liczyć na wsparcie. Szkoda, że cały świat taki nie jest. — Wzięła swoją szklankę i dołała do kawowych fusów gorącej wody. Upiła łyk i skrzywiła się lekko. — Jednak dolewka to nie to — stwierdziła.

Popatrzyła na Dianę, która starała się wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć, żeby pocieszyć kobietę.

— Widzę, że cię zasmuciłam. Ale nie przejmuj się, nic mi nie będzie. Zaraz się pozbieram, przecież trzeba obiad zrobić.

Lisowska nie protestowała, bo czuła, że to nie jest dobry moment na rozmowę o domowych obowiązkach. Miała wrażenie, że ten obiad jest dla

Wandy czymś w rodzaju koła ratunkowego, którego ta się chwyta, żeby nie utonąć we własnych myślach i smutku.

Nie wygląda to dobrze — stwierdziła.

I wtedy wpadła na pewien pomysł.

— Pani Wando, ja muszę coś załatwić — powiedziała. — Wyjdę na godzinę, dobrze?

— Oczywiście, idź — odparła Wanda. — Wszystkim się tu zajmę.



Zapukała nieśmiało.

— Proszę! — usłyszała i nacisnęła klamkę.

W sieni pachniało ziołami, a w kuchni ten zapach był jeszcze silniejszy.

— Przyszłam po dziurawiec — poinformowała Gretę od progu, bo nie miała czasu na zbędne wstępy.

— Już ci mówiłam, że to nie zlikwiduje przyczyny.

Zielarka stała przy kuchni i drewnianą łyżką mieszała coś w dużym garnku. To z niego rozchodziła się mocna woń roślinnego naparu.

— Poza tym już chyba nie boisz się tak bardzo, skoro nie jesteś sama.

No tak, zapomniałam, że ona wie wszystko — pomyślała Diana.

— Rzeczywiście, nie jestem — przyznała. — I ten dziurawiec to nie dla mnie, ale właśnie dla niej.

— A skąd ty możesz wiedzieć, że jej pomoże?

— Martynie pomógł. Mnie trochę też.

Siwowłosa kobieta spróbowała naparu i z zadowoleniem pokiwała głową.

— Gotowe. Jest w sam raz — oceniła i odsunęła garnek z ognia.

Diana nie wiedziała, co ma robić. Czy zmianę tematu miała uznać za odmowę? Powinna wyjść?

Tymczasem Greta dorzuciła kilka kawałków drewna do paleniska i odeszła od kuchni.

— To ci się bardzo chwali, że chcesz pomóc. — Podeszła do Diany i popatrzyła jej w oczy. — Ale żeby leczyć, trzeba najpierw postawić

diagnozę. Nie dla każdego jest dobre to samo.

— Pani Wanda straciła matkę — poinformowała ją projektantka. — Bardzo niedawno. Wydaje mi się, że nie potrafi sobie poradzić z żałobą. Chyba ogromnie tęskni.

— Tak, śmierć bliskich wiele zmienia. — Zielarka spojrzała gdzieś ponad głową rozmówczynie. — Po niej już nic nie jest takie samo.

— Ale przecież trzeba dalej żyć — przypomniała Lisowska. — A pani Wanda to dobra i miła osoba. Chyba była bardzo związana z matką i teraz wciąż rozpamiętuje przeszłość. I rozpacza.

— Zerwane więzi, szczególnie te silne, mogą rodzić rozpacz albo ulgę. Różnie to bywa. I nie wiadomo, co gorsze i trudniejsze. Trzeba czasu, żeby odróżnić jedno od drugiego. I zaakceptować. Na to dziurawiec nie pomoże — orzekła siwowłosa kobieta.

— To niech mi pani da coś innego — poprosiła Diana. — Na pewno pani wie, co będzie najlepsze.

— Jeszcze nie wiem.

— A kiedy pani będzie wiedzieć? Ona potrzebuje pomocy.

— Pomoc nadejdzie w odpowiednim czasie — odparła Greta. — Niczego nie da się przyspieszyć. Wszystko nadchodzi we właściwej chwili, tylko ludzie tego nie rozumieją. Chcieliby szybko, natychmiast. Tak się nie da...

— To znaczy, że nie dostanę ziół? — Diana była rozczarowana.

— Teraz nie — potwierdziła zielarka. — Ale nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. I nie złość się, szkoda na to energii. Idź do swojego gościa i po prostu żyjcie. Bliskość drugiego człowieka to też lekarstwo. Przecież dobrze o tym wiesz. — Uśmiechnęła się lekko.

Lisowskiej nie pozostało nic innego, jak pożegnać się i odejść. Wracała do domu z poczuciem, że zawiodła się na Grecie.



Martyna nie była osobą, która się poddaje. Jeżeli miała cel, dążyła do niego uparcie.

Rozmowa z kierowniczką w urzędzie naprawdę bardzo ją zdenerwowała. Na szczęście pozbierała się już po aferze z Kownackim, która była dla Wrońskiej wielką zawodową i osobistą porażką. Przypłaciła to załamaniem, ale wyszła z tego silniejsza i teraz postanowiła to udowodnić.

Tak, własna satysfakcja była ważna, lecz dziennikarka musiała przyznać, że mocno motywowała ją też chęć pokazania politykowi, że nie uda mu się jej zniszczyć.

Założenie własnego kanału telewizyjnego i realizacja reportażu o regionie świętokrzyskim dotychczas wydawały się wystarczające, ale słowa urzędniczki pokazały jej, że to wciąż za mało.

Kownacki musi zobaczyć, że mnie nie powstrzyma — rozmyślała przed zaśnięciem. — Musi do niego dotrzeć, że nie wszyscy ugną się pod presją jego koneksji.

Doskonale wiedziała, że polityk ma wielu popleczników, którzy za cenę utrzymania z nim dobrych układów gotowi są zrobić wiele. Ale ktoś taki ma także wielu wrogów — tego Wrońska była pewna. Musiała tylko ich znaleźć.

I tym właśnie się zajęła. Od rana siedziała z iPhone'em przy uchu i prowadziła rozmowy. Zaczęła od wyszukania spraw, w których przewijało się nazwisko polityka. Kilka z nich pamiętała, inne wyszukała w sieci.

Wypisała wszystko i gryząc końcówkę długopisu, zastanawiała się, od kogo ze znajomych może uzyskać więcej informacji.

Powstała całkiem spora lista nazwisk, co bardzo ucieszyło Martynę. Już wiedziała, że ma duże pole do popisu. Jej dziennikarska natura dostała pożywkę i Wrońska od razu przystąpiła do działania. Wiedziała, że nie spocznie, dopóki nie uzyska satysfakcjonującego ją efektu.

— Cześć, kochana! Powiesz mi, jak to było z tą sprawą drogi przez osiedle?

Znajomej ze spółdzielni mieszkaniowej nie trzeba było namawiać do zwierzeń. Martyna słuchała, nie przerywając. Na zakończenie nie omieszkała jeszcze zadać kilku pytań.

— Więc mówisz, że to Kownacki zadziałał przy tym przetargu?

— Dowodów nie ma, ale wszyscy wiedzą, że maczał w tym palce. Żebyś widziała, jaki wściekły był ten prezes firmy budowlanej. No ale cóż było robić? A droga już się sypie i nie ma kto naprawiać, bo ci, co wygrali, zniknęli z rynku i szukaj wiatru w polu.

— A pamiętasz, jak się nazywa ten prezes, którego zrobili w konia?

— Niestety, nie. Ale nazwę firmy pamiętam.

— To dawaj!

Dziennikarka zapisała wszystko skrzątnie. Podziękowała i wybrała kolejny numer z listy.

— Przypomniało mi się dzisiaj, że kiedyś mówiłaś mi o takiej fermie nerek, przez którą ludzie we wsi mają inwazję szczurów. Kolega w innym województwie ma podobny problem i pomyślałam, że zapytam, jak to się u was skończyło. Udało się coś zadziałać?

— A gdzie tam! Farma jak stała, tak stoi. Ludzie już nie wiedzą, co robić, bo im szczury do domów wchodzą.

— To dlaczego tak jest? Nie można jakichś biegłych ściągnąć? Do sądu właściciela podać? Może media uruchomicie? — Martyna wiedziała, że tymi pytaniami sprowokuje kolegę do opowiedzenia o szczegółach.

— Media?! — roześmiał się gorzko jej rozmówca. — Przecież jest tajemnicą poliszynela, że Kownacki ma udział w tej fermie. A sama wiesz,

że teraz żadne media go nie ruszą. Boją się po tej twojej sprawie.

— Wcale się nie dziwię. — Martyna postanowiła nie wdawać się w szczegóły tamtego wydarzenia. — Tylko jak ludzie mogą tam żyć? Przecież to dramat!

— Tak, dramat. A na dodatek większość straciła pracę. Wiesz, obok miała zakład produkcyjny ta firma produkująca soki z jabłek. Zamknęli i przenieśli, bo im te szczury wszystko zjadały i sanepid groził karami.

— Która firma? — Martyna od razu podchwyciła trop. — Ach, ta! Dobra, dzięki. Widzę, że ciężka sprawa z tymi fermami. Przekażę koledze, ale chyba się nie ucieszy...

Zanim Tobiasz wrócił z pizzerii, miała już kolejną listę. Z dumą pomachała nią mężczyźnie przed nosem.

— A to co?

— To spis wrogów Kownackiego.

— Serio? Dałaś ogłoszenie i sami się zgłosili? — zażartował.

— Kurczę, że też na to nie wpadłam! — Pokręciła głową. — Tyle czasu straciłam, a można było tak prosto i bez wysiłku...

— Tak się dzieje, kiedy nie pytasz mnie o radę. — Tobiasz nalał sobie wody i oparł się o kuchenny parapet. — Dobra, a teraz serio. Rozumiem, że to część jakiegoś większego planu?

— Owszem — przytaknęła radośnie. — To plan zagrania na nosie Kownackiemu, a przy okazji lista naszych potencjalnych i prawie pewnych reklamodawców.

— Uważasz, że dadzą kasę, żeby zrobić mu na złość?

— Jestem o tym przekonana. W każdym wypadku gość mocno nadepnął im na odcisk, pozbawił możliwości zarobienia dużej kasy, i to w zakulisowy sposób. Oczywiście niczego mu nie można udowodnić, ale wszyscy wiedzą, jak jest. Na pewno zgrzytają zębami z bezsilności.

Tobiasz z uznaniem pokiwał głową.

— Brzmi to całkiem sensownie. Muszę przyznać, że nieźle to wykombinowałaś. Nic tak nie nakręca większości ludzi jak chęć zemsty.

— I wrogowie naszego wroga staną się naszymi przyjaciółmi — roześmiała się Martyna. — Czy to nie piękne?

— Pięknym bym tego nie nazwał, raczej sprytnym — sprostował.

— Że też musisz być taki zasadniczy — zdenerwowała się dziennikarka. — Przecież nie robię nic nielegalnego. Ani nieuczciwego. Czy to moja wina, że taki jest świat? Chciałam normalnie, sam wiesz, ale skoro się nie da...

— Dobra, dobra, spokojnie, Martyna. Masz rację. Tylko żal, że nie da się, jak to nazwałeś, normalnie.

— Też mi się to nie podoba, ale cóż. — Wzruszyła ramionami. — Teraz jeszcze ostatni telefon na dziś i mogę iść spokojnie spać. — Po tych słowach wybrała numer i odezwała się do słuchawki: — Cześć, Krzysztof! Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

— Ależ skąd! Nie kładę się przed północą — odpowiedział Woliński. — Miło cię słyszeć.

— Czyli oboje jesteśmy nocnymi markami — roześmiała się Wrońska. — Co u ciebie?

— Wszystko dobrze, ale jakoś nie wierzę, że dzwonisz po jedenastej, żeby zapytać o moje samopoczucie.

— Dobry jesteś! Od razu mnie rozgryzłeś — skomplementowała go dziennikarka.

Tobiasz spojrział na nią spod oka.

— Dziękuję — powiedział Krzysztof. — A teraz mów, czego potrzebujesz.

— Skoro tak stawiasz sprawę, to powiem wprost.

Krótko streściła spotkanie w urzędzie, a potem swój pomysł na pozyskanie reklamodawców.

— Mam już listę, ale potrzebuję dostać się do tych ludzi. Przydałyby mi się rekomendacje, rozumiesz?

— Tak jak z tym prezesem, u którego ostatnio byłaś? — przypomniał Woliński.

— Dokładnie. I zastanawiam się, czy znasz kogoś z mojej listy i czy ewentualnie mógłbyś...

— Mógłbym. Tylko może nie dziś i nie teraz?

— Jasne!

— Co powiesz na jutro o trzynastej? U mnie w firmie. Zerknę na tę listę i zobaczymy, co da się zrobić.

— Bardzo ci dziękuję! Jesteś niesamowity!

— Bez przesady. Do zobaczenia jutro.

Martyna odłożyła telefon i spojrzała triumfalnie na Tobiasza.

— Widzisz, jutro sprawy ruszą z kopyta!

Mężczyzna wstał i rzucił jej uważne spojrzenie.

— No co?! — zdenerwowała się.

— Nic. Tylko dawno nie widziałem, żebyś się do kogoś tak wdzięczyła — odparł. — Idę spać, dobranoc.



Diana przez cały dzień uważnie, choć dyskretnie przyglądała się Wandzie. Starła się wyczuć nastrój kobiety, ale nie było to łatwe zadanie. Z pozoru wszystko wróciło do normy.

— Czy dzisiaj masz warsztaty? — zapytała starsza pani, gdy Diana wróciła do domu.

— Dziś nie. W ogóle już w tym tygodniu nie mam żadnej grupy. Sezon wycieczek się kończy, więc pewnie będę miała do wiosny sporo wolnego czasu. W listopadzie jeszcze pięć klas, w grudniu, na początku miesiąca, trzy mikołajkowe zajęcia, a potem nic.

— Może to i dobrze. Będziesz miała czas, żeby odpocząć — powiedziała kobieta, ale jakoś tak dziwnie to zabrzmiało, jakby uważała ten odpoczynek bardziej za karę niż coś miłego.

Pewnie znowu myśli o opiece nad matką — domyślała się Diana.

— A dlaczego pani pytała o dzisiaj? — postanowiła zagadnąć.

— Właściwie odkąd tu jestem, mam ochotę zrobić zrazy. Nieskromnie powiem, że wychodzą mi bardzo dobre i chciałabym, żebyś ich spróbowała.

— Nie widzę przeszkód.

— Ale ja widzę. Nie mam wołowiny.

— I to ma być przeszkoda? — roześmiała się Diana. — Jeśli tylko mój samochodek zapali, możemy od razu jechać do marketu. Co prawda, noce już zimne, ale sprzedający zapewniał, że akumulator jest nowy i nie będzie problemu.

Na szczęście nie kłamał i po kwadransie wyruszyły na zakupy.

Oczywiście nie skończyło się na mięsie. Diana wypełniła duży koszyk po brzegi. Konsultowała swoje wybory z Wandą, która z uwagą czytała etykiety każdego produktu.

— To bardzo ważne dla zdrowia — pouczała. — Teraz we wszystkim pełno chemii, same polepszacze, emulgatory, sztuczne barwniki. Warto poświęcić więcej czasu, czasami trochę drożej zapłacić, ale mieć pewność, że sobie nie szkodzisz. Ja zawsze kupuję tylko sprawdzone produkty.

Przypomniała sobie, jak w pośpiechu przelatowała wzrokiem składniki, gdy chciała kupić coś nowego. Musiała jak najszybciej wracać do domu, więc zazwyczaj brała to, co już знаła, bo żal jej było każdej minuty. Mimo to dbała o jakość zakupów, ponieważ chciała, żeby matka dostawała zdrowe jedzenie.

Teraz mogła poświęcić więcej czasu na studiowanie składu produktów, a Diana nie okazywała zniecierpliwienia.

Nawet nie wiedziałam, że kupuję tyle niezdrowych rzeczy — stwierdziła, widząc, ile produktów Wanda z niesmakiem odkłada na półki. — Będę na to bardziej uważać.

Wróciły zadowolone, z siatkami pełnymi różności.

— Chciałabym oddać ci połowę tego, co zapłaciłaś — upierała się Wanda, rozpakowując warzywa.

— Mowy nie ma! Przez ostatnie dni pani chodziła do sklepu i płaciła. Teraz moja kolej.

— Ale siedzę tutaj i za darmo korzystam ze światła, z wody — wyliczała.

— I wysprzątała pani cały dom — przypomniała jej Diana. — Nie mówiąc o tym, że dzięki pani czuję się bezpieczniej. Chyba można uznać, że jesteśmy kwita, co?

— No dobrze, niech będzie — skapitulowała Wanda.

Ugotowała obiad i zrazy faktycznie były wyśmienite. Uśmiechnęła się, słysząc pochwałę, potem nie pozwoliła Dianie pozmywać i gdy tylko skończyła, zabrała się za polerowanie relingów przy kaflowej kuchni.

Młoda kobieta przyglądała się jej działaniom i zastanawiała, o co chodzi z tym ciągłym wynajdowaniem sobie zajęcia. I dlaczego Wanda wciąż stara się wszystko robić za nią. Jakby uważała, że jeśli nie będzie jej usługiwać, to okaże się niepotrzebna.

Przecież mogłaby spacerować czy choćby posiedzieć i poczytać. Albo pooglądać telewizję. Mówiłam jej, że mnie to nie przeszkadza, chociaż sama rzadko włączam odbiorniki — rozmyślała, obserwując miarowe ruchy ściereczki w ręku Wandy.

Wieczorem postanowiła przejąć inicjatywę. Zarządziła odpoczynek i leniuchowanie. Skłoniła Wandę do obejrzenia komedii, a sama położyła się na połowym łóżku i czytała książkę. Zrobiło się domowo, przytulnie i spokojnie.

— Spodziewasz się kogoś? — zapytała Wanda, gdy relaks przerwało pukanie do drzwi.

Diana przecząco pokręciła głową. Na szczęście w obecności Wandy spokojniej przyjęła możliwość nieoczekiwanych odwiedzin.

— Może to ci twoi przyjaciele? — podsunęła starsza pani.

— Na pewno nie. Martyna już krzyczałaby, żeby otwierać. Poza tym gdy Tobiasz założył kamerkę przy skrzynce na listy, powiedzieli, że teraz jestem bezpieczna, bo jest pani, mam gaz, więc przyjadą dopiero, gdy coś się nagra. Pamięta pani?

— W takim razie sprawdzę, kogo niesie o tej porze — zdecydowała Wanda i podniosła się z fotela. Wyszła z sypialni, a po chwili wróciła, prowadząc za sobą kobietę z siwym warkoczem. — Ta pani mówi, że ją znasz. — Spojrzała pytająco na Dianę.

— Tak, oczywiście! — Młoda kobieta poderwała się na równe nogi. — Dobry wieczór, pani Greto!

— Niestety, nie mogę powiedzieć tego samego. — Zielarka miała poważną minę.

Wanda chłodno, ale z zainteresowaniem przyglądała się nieznanemu. Widać było, że przybyła nie zrobiła na niej zbyt dobrego wrażenia.

Najwyraźniej szeroka, długa spódnica i czarny płaszcz z narzuconą na niego kolorową wełnianą chustą nie zyskały jej aprobaty.

— Czy coś się stało? — Dianę zaniepokoiły słowa zielarki.

— Przychodzę prosić o pomoc.

— Niech pani siada.

— Nie, dziękuję. Ja tylko na chwilę. Nie mam telefonu, a muszę wezwać lekarza.

— Źle się pani czuje? Może zrobić herbaty?

— Nie chodzi o mnie, tylko o Stacha — wyjaśniła krótko Greta. — Zajrzałam do niego, bo długo się nie pokazywał. I nie jest z nim dobrze. Widzę, że ziołami nie poradzę. Zadzwonisz po kogoś?

— Tak, oczywiście! — Diana rozejrzała się za telefonem.

Zastanawiała się, gdzie o tej porze szukać pomocy lekarskiej. Czy wzywać pogotowie? A może są w pobliżu jakieś przychodnie dyżurujące? Tylko czy lekarz zgodzi się na wizytę domową? I jak to się w ogóle załatwia?

— Nie trzeba nigdzie dzwonić — usłyszały nagle.

Greta i Diana odwróciły się i zobaczyły, że w drzwiach pokoju stoi Wanda ubrana w buty i kurtkę.

— Jestem lekarką — powiedziała spokojnie, a wzrok miała poważny i skupiony. — Proszę mnie zaprowadzić do chorego — zwróciła się do Grety.

Ta skinęła głową bez zbędnych pytań.

— Chwilę! Ja też pójdę! — zawołała Diana.

— Lepiej nie — zatrzymała ją zielarka. — Stach nie lubi gości. Nie byłby zadowolony, że sprowadzam tyle osób do jego domu.

— Poczekaj tutaj — zarządziła Wanda takim tonem, że Diana nie odważyła się sprzeciwić. — Tak będzie lepiej.

Wyszły, a Lisowska patrzyła przez okno, jak znikają w ciemności.



Szły leśną ścieżką — Greta przodem, a Wanda za nią. — Czy naprawdę nie ma tu innej drogi? — zirytowała się lekarka, gdy po raz kolejny potknęła się o wystający korzeń.

— Jest. Ale unikam chodzenia przez Świętą Katarzynę — rzuciła Greta przez ramię.

Nie wyjaśniła dlaczego, ale Wandy właściwie nie zdziwiła ta odpowiedź.

Wygląda mi na odludka — pomyślała. — I ten dziwaczny strój. Rozumiem oryginalność, ale kto teraz nosi chustę na głowie? Chyba nawet na najgłębszych wsiach staruszki już tego nie robią.

Zerkała na siwy warkocz, którego koniec wystawał spod chusty i podskakiwał na szczupłych plecach przy każdym kroku jej przewodniczki.

I ja mam kompleksy, bo nie miałam czasu ufarbować odrostów? — zauważyła z niesmakiem. — A ta kobieta chyba nigdy nie była u fryzjera. I jeszcze uczesanie jak u nastolatki, a przecież jest mniej więcej w moim wieku. Dziwaczka! — podsumowała swoje rozważania.

Już dawno przestała orientować się w terenie i nie miała pojęcia, gdzie jest i dokąd idzie. Jakby ta Greta specjalnie chciała, żeby Wanda nie trafiła sama do miejsca, gdzie ją zaprowadzi.

Droga do celu trwała może dziesięć minut, a może pół godziny, kto to wie. Las nocą rządził się swoimi prawami i nawet czas zdawał się tu biec inaczej. Gdzieś w koronach drzew łopotały skrzydła spłoszonych ptaków, a w krzakach słychać było łamiące się gałęzie. Wreszcie dotarły do drzwi

niewielkiego domu. Greta weszła bez pukania i gestem zaprosiła Wandę do środka.

— Wróciłam — oznajmiła, wchodząc do izby.

Nikt nie odpowiedział.

Wanda stanęła w drzwiach pomieszczenia i rozejrzała się dookoła, mrużąc oczy, które musiały przyzwyczać się do światła.

W izbie, która służyła jednocześnie za kuchnię i sypialnię, nie było bogato, ale panował porządek. W kominku palił się ogień, a Greta podeszła i dorzuciła kilka grubych polan.

— Kiedy tu weszłam, było całkiem zimno — powiedziała do Wandy. — Musiał nie wstawać od jakiegoś czasu.

Wanda weszła dalej, kierując się do stojącego pod ścianą łóżka.

— Kto tu jest? — odezwał się męski głos. — Greto, kogo przyprowadziłaś?

Wanda zrobiła jeszcze kilka kroków, zastanawiając się, co za chwilę zobaczy.

Dostrzegła szerokie łóżko, którego nogi i wezgłowie zrobione były z szerokich desek, a na nich wyrzeźbiono liściaste wzory. Jednak nie to teraz interesowało Wandę. Z ulgą zauważyła, że pościel była czysta, choć mocno sprana. Pod grubą pierzyną w powłoczce z wyblakłymi makami leżał potężny mężczyzna z siwą brodą. Pamiętała go doskonale, ale wtedy, na parkingu, wydawał się okazem zdrowia.

Przyjrzała się pooranej zmarszczkami twarzy, próbując określić wiek pacjenta, ale nie potrafiła tego zrobić. Na pomarszczonych policzkach widać było jeszcze letnią opaleniznę, choć uwagę przykuwała bladość wybijająca się przez brązową skórę. Mężczyzna miał zamknięte oczy, a usta wykrzywiał mu ból.

— Greto! — powiedział. — Greto! To ty?

— Dobry wieczór! Nazywam się Wanda Kowal i jestem lekarzem.

Siwobrody natychmiast otworzył oczy.

— Jest tu Greta? — Jego głos zabrzmiał mocniej, ale widać było, że kosztuje go to wiele wysiłku.

— Jestem. — Kobieta z warkoczem podeszła bliżej i stanęła obok Wandy.

— Zabierz ją stąd. Natychmiast! — rozkazał.

— Stachu, nie zrobię tego. Wiesz, że potrzebujesz pomocy.

— Ty mi pomożesz.

— Mówiłam, że nie dam rady.

— Wyrzuć ją! Nie chcę! — upierał się Stach.

Wanda poczuła, że powinna się włączyć.

— Panie Stanisławie, niech się pan nie zachowuje jak dziecko — powiedziała. — Przecież nie zrobię panu nic złego. A pani Greta ma rację: potrzebuje pan pomocy.

Chory zamknął oczy, a ona uznała, że nie będzie czekała na pozwolenie. Dotknęła dłonią jego czoła. Było rozpalone.

— Ma wysoką gorączkę. Jest tu termometr? — Spojrzała na swoją towarzyszkę.

— Nie ma.

— Dawno pan tak leży? — zwróciła się do chorego.

Stach nie odpowiedział.

— Coś pana boli?

Cisza.

— Jego biodro jest w złym stanie — wyjaśniła zielarka. — Od dawna narzeka, ale nie chciał iść do lekarza. Dawałam mu maść, żeby złagodzić ból.

— Zaraz to zobaczę. Ale przede wszystkim należy się zająć gorączką. Trudno powiedzieć, czy to przeziębienie, czy stan zapalny. Tak czy inaczej, należy dawać coś na obniżenie temperatury — tłumaczyła lekarka.

— Mam zioła — powiedziała Greta, ale Wanda spojrzała na nią z dezaprobatą.

— Teraz zobaczę to biodro — zdecydowała. — Tylko najpierw muszę umyć ręce.

Poszła do dużego żeliwnego zlewozmywaka i po chwili wróciła do łóżka pacjenta. Gdy zamierzała odchylić kołdrę, starzec chwycił mocno jej brzeg.

— Niech się pan ze mną nie siłuje — rozkazała stanowczo. — Proszę natychmiast puścić.

Ponieważ nie posłuchał, odkryła po prostu dolną część pościeli.

— Panie Stachu, ja naprawdę widziałam już męskie nogi — powiedziała bez emocji. — Im szybciej pana zbadam, tym szybciej dam panu spokój.

Poddał się i pozwolił Wandzie na oględziny. Kobieta zadawała krótkie i fachowe pytania, słuchała niechętnych odpowiedzi, nie okazując przy tym żadnych emocji.

— Panie Stachu, proszę mnie posłuchać — powiedziała, gdy skończyła. — Nie mam nawet stetoskopu, żeby pana zbadać, ale wydaje mi się, że to jednak mocno zaawansowany stan zapalny. Najlepszym rozwiązaniem byłaby hospitalizacja i pilna operacja stawu biodrowego.

— Nie dam się stąd ruszyć! — oznajmił stanowczo Stach. — Może pani już iść.

Wanda patrzyła na mężczyznę chłodno i profesjonalnie.

— Nikt pana nie zmusi, to prawda. A ja owszem, pójdę. Ale przyjdę znowu jutro z lekami. Do tej pory proszę dużo pić, bo jest pan odwodniony. — Odwróciła się do Grety i poinstruowała: — Można też robić chłodne okłady. I chyba powinniśmy porozmawiać.

Zielarka pokiwała głową.

— Zaraz panią odprowadzę, tylko najpierw dam mu coś do picia. Poczekaj pani?

— Oczywiście.

Wanda stanęła w pobliżu drzwi i obserwowała, jak siwowłosa kobieta napełniła wodą metalowy kubek, a potem usiadła na brzegu łóżka. Delikatnie uniosła głowę mężczyzny i pomogła mu się napić. Ostrożnie ułożyła Stacha, okryła go kołdrą i wygładziła materiał.

— Teraz wyjdę, Stachu, ale niedługo będę z powrotem — powiedziała cicho. — Postaraj się zasnąć.

Na twarzy starca pojawił się delikatny uśmiech, ale zaraz znowu wykrzywiła się z bólu.

Greta posłała Wandzie pełne niepokoju spojrzenie, ale ta tylko wzruszyła ramionami. Zielarka jeszcze raz spojrzała na mężczyznę i sięgnęła po swój płaszcz.

— Możemy już iść — powiedziała.



Diana niespokojnie chodziła od okna do okna.

Kiedy wróci pani Wanda? I co powie? Czy przyniesie dobre wieści? Na żadne z tych pytań nie było odpowiedzi, chociaż powtarzała je w myślach wielokrotnie.

Co z panem Stachem? Czy to coś poważnego?

Przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie. Widziała, że utykał, proponowała podwiezienie, ale nie upierała się, gdy odmówił.

Nie powinnam była odpuszczać — robiła sobie wyrzuty. — Trzeba był porozmawiać, dowiedzieć się o zdrowie.

Tak, łatwo teraz tak myśleć, ale przecież wiedziała doskonale, że pan Stach niewiele mówił o sobie i na pewno nie wyciągnęłaby z niego nic poza zdawkowymi i wymijającymi odpowiedziami.

Prędzej dałby do zrozumienia, żebym zajęła się swoimi sprawami — doszła do wniosku, choć to wcale nie przyniosło jej ulgi.

Czy to noga była przyczyną, że Greta zdecydowała się wezwać lekarza? A może coś zupełnie innego?

Zdawała sobie sprawę z tego, że pan Stach ma już swoje lata i zapewne miał wiele dolegliwości. O żadnej nie miała pojęcia.

Czy się leczył? Na co? Jak się czuł, gdy całymi dniami siedział na krzeselku przy płocie parkingu? Nigdy go o to nie zapytała.

Był uosobieniem stałości, niezmienności. Niczym skała, której nic nie pokona. Jego obecność wydawała się naturalna i nawet nie przyszło jej do

głowy, że kiedykolwiek mogłoby się to zmienić.

Na nic nie narzekał. Siedział i pykał fajeczkę albo rzeźbił te swoje świątki — wspominała, wpatrując się w mrok. — Taki spokojny, opanowany.

Dobrze pamiętała ich pierwsze spotkania, rozmowy, które dały jej tyle do myślenia. I to, że zachęcił ją do sprzedaży kubków. Przecież właśnie dzięki temu zyskała większą pewność co do swoich umiejętności.

Dlaczego ja nawet nie wiem, gdzie on mieszka? Nigdy się tym nie zainteresowałam. A kiedy powiedział, że znika na całą zimę, nie zaproponowałam, że go odwiedzę, że pomogę w potrzebie — wyrzucała sobie Diana. — Może gdybym do niego zaglądała, to mogłabym zareagować wcześniej?

Ale przecież odwiedzała go Greta. Musiała wiedzieć, że stan pana Stacha się pogarsza. Dlaczego nic nie robiła? A może to się stało nagle? Może jakiś wypadek? Albo serce?

Diana rozważała różne scenariusze, choć wiedziała, że odpowiedź przyjdzie dopiero wraz z powrotem pani Wandy. Czas jednak mijał, a lekarka nie wracała. To dobrze czy źle? Czy nie przyszła za późno? A może właśnie ratuje mu życie?

Powinnam była jednak pójść z nimi. — Lisowska była zła na siebie, że posłuchała kobiet. — Przynajmniej wiedziałabym, co się dzieje. A gdyby trzeba gdzieś pobiec, to przecież jestem młodsza, sprawniejsza. I mam samochód.

Cóż, teraz było za późno. Nie wiedziałyby nawet, dokąd ma iść. Była skazana na czekanie i nic nie mogła na to poradzić. Przyszło jej do głowy, że bez pana Stacha nie wyobrażała sobie Świętej Katarzyny. Nie, to na pewno się nie stanie. Pani Wanda pomoże, pan Stach wróci do zdrowia i wiosną znowu siądzie na swoim stałym miejscu.

A ja przyniosę mu dużo kubków do sprzedania — pomyślała z przekonaniem, jakby jej postanowienie miało moc sprawczą i mogło zdecydować o tym, co się stanie.

Żeby jakoś się uspokoić, poszła do pracowni. Włączyła koło i usiadła przy nim. Objęła dłońmi kawałek gliny i przymknęła oczy. Starła się

przypomnieć sobie wszystko, co usłyszała od pana Stacha, wszystkie mądre słowa, które pomagały jej zrozumieć siebie, świat i ludzi. Delikatnie nadawała glinie kształt, starając się jednocześnie wyczuć jej naturę i to, czym chciała się stać. Materiał poddawał się dłoniom, przesuwanym się w górę i w dół. Po chwili Diana poczuła, że osiągnęła stan, w którym tworzyło jej się najlepiej. Nie otwierając oczu, kształtowała naczynie, aż stało się wyczuwalną całością.

Popatrzyła na swoje dzieło. Sięgnęła jeszcze po odrobinę gliny i utoczyła z niej dość gruby wałek, który przymocowała z boku i nadała mu zaokrąglony kształt. Uśmiechnęła się lekko, patrząc na duży kubek z solidnym uchem.

W sam raz do silnej męskiej ręki — pomyślała. — Jest dokładnie taki jak pan Stach: potężny, budzący respekt, ale też solidny i dający pewność, że nie pęknie tak łatwo.

Żeby całkowicie wykończyć naczynie, wzięła do ręki ostro ścięty patyczek i narysowała na kubku kilka prostych wzorów. Tu nie było miejsca na odciski kwiatów. Pozostało jeszcze wypalenie, więc Diana od razu włączyła piec. W tym momencie nie myślała o oszczędności i ekonomicznym korzystaniu z urządzenia. Kubek „Stach” zasługiwał na specjalne traktowanie. Jakby w ten sposób Diana chciała przekazać wszystkie emocje, które czuła do starca, jakby zaklinała rzeczywistość. Delikatnie, z wielką troską, wstawiła naczynie do pieca i zamknęła drzwiczki.

Musi być dobrze — pomyślała. — I co za szczęście, że pani Wanda jest lekarzem i że akurat tutaj była!

„Pomoc nadejdzie w odpowiednim czasie” — przypomniała sobie nagle, co powiedziała zielarka podczas ich ostatniego spotkania. — „Niczego nie da się przyspieszyć. Wszystko nadchodzi we właściwej chwili”. Oby miała rację i jej słowa okazały się prorocze — westchnęła Diana.

Kiedy pani Wanda wróci? I dlaczego to tak długo trwa?

Znowu rozpoczęła wędrówkę między oknami. Wiedziała, że już nie usiadzie, dopóki nie usłyszy skrzywienia otwieranych drzwi.



Greta przystanęła kilka kroków od domu Stacha i odwróciła się w stronę Wandy.

— I co z nim?

— Przecież pani widzi — odparła lekarka. — Nie wygląda to dobrze, niestety.

— Ale czy... — Zielarka odruchowo mocniej ściągnęła chustę otulającą głowę i ramiona.

— Czy chce pani o tym rozmawiać tutaj? Może najpierw dojdziemy do Wrzosowej Polany i tam usiądziemy spokojnie? — zaproponowała Wanda.

Siwowłosa kobieta opuściła głowę.

— Pani Greto, to naprawdę nie jest czas na zastanawianie się — oświadczyła zdecydowanie Wanda. — Sądziłam, że jest pani rozsądniejsza niż pani znajomy.

Zielarka podniosła wzrok i odparła cicho:

— W takim razie chodźmy do mnie. Tak będzie lepiej.

Wanda zrozumiała, że kobieta nie chce, aby Diana była świadkiem ich rozmowy.

— Dobrze, niech pani prowadzi, bo w tych ciemnościach niewiele widzę.

I znowu ruszyły ścieżką przez las.

Kolejna chatka na uboczu już nie zaskoczyła Wandy.

Można się było tego spodziewać — pomyślała na widok czarnego kota i pęków ziół wiszących pod sufitem. — Swoją drogą, Diana chyba

rzeczywiście bywa naiwna. Nie zastanawia się, z kim zawiera znajomości, i bierze wszystko za dobrą monetę. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby powiedziała, że wierzy w te zioła i magię.

Nie skomentowała jednak głośno niczego i usiadła na wskazanym przez Gretę krześle.

— Napij się pani czegoś? — zapytała gospodyni.

— Nie, dziękuję.

— A jednak zrobię. — Zielarka we własnym domu odzyskała właściwą sobie pewność i spokój. Postawiła duży czajnik na kuchennej płycie i zajęła miejsce przy stole. — Teraz mi pani powie, co ze Stachem?

Wanda zdjęła czapkę i przeczesła palcami włosy.

— Właściwie to nie wiem, co mam pani powiedzieć. Oczekuje pani diagnozy, a ja nie mam ani żadnych wyników badań, ani historii chorób, ani zdjęcia rentgenowskiego. Nie udało mi się osłuchać pacjenta czy choćby zmierzyć mu temperatury — wyliczała chłodno. — Już nie wspomnę o postawie chorego.

— Rzeczywiście, Stach nie jest przychylnie nastawiony do służby zdrowia.

— Jak to pani ładnie ujęła — stwierdziła cierpko lekarka. — Moim zdaniem on zachowuje się kompletnie irracjonalnie i nierozsądnie. A wracając do pani pytania: nie jestem jasnowidzką czy... czarownicą — dokończyła, zerkając z dezaprobatą na moździerz i słoiki z ziołami.

Greta spokojnie przyjęła aluzję.

— Każdy żyje, jak chce — powiedziała tylko.

— Oczywiście — odparła ironicznie Wanda. — Ale kiedy to może zaszkodzić innym, to chyba już nie jest w porządku? Słyszałam, że dawała mu pani jakąś maść, a potem zaproponowała pani zioła na zbicie temperatury, tak?

— Tak. To nic szkodliwego. Natura pomaga, nie szkodzi — zauważyła spokojnie zielarka.

Wandę zirytował upór kobiety.

— W takim razie dlaczego szukała pani lekarza? Czyżby okazało się, że czary-mary nie wystarczyły?

Zielarka podniosła się i wyprostowała. Popatrzyła z góry na swoją rozmówczynię, ale w jej oczach nie było złości.

— Myślę, że źle pani interpretuje sytuację. Nie mam zamiaru się pani tłumaczyć. Pomagam, jak potrafię, lecz nie jestem tak zadufana w swoje umiejętności i wiedzę, żeby nie wiedzieć, kiedy moje zioła nie wystarczają. Niestety, nie mam wpływu na wybory innych. Nawet jeśli bardzo tego chciałabym. Uznaję, chociaż to bywa bardzo trudne, prawo do decydowania o własnym losie. I czasami, jak pani mogła dziś zobaczyć, nie udaje mi się to.

— I bardzo dobrze. Jeżeli ktoś robi źle, nie powinno się go w tym wspierać. Nawet wbrew jego woli.

— Tak pani uważa? A gdzie jest ta granica i kto ją wyznacza? Do jakiego momentu człowiek może sam decydować, a kiedy mamy prawo go do czegoś zmusić? I skąd wiadomo, że to my mamy rację?

Wanda szukała odpowiedzi na pytania zielarki — i nie potrafiła znaleźć.

— Kiedy chodzi o życie, na pewno mamy prawo interweniować — powiedziała wreszcie.

Zielarka z powrotem usiadła.

— Też tak pomyślałam. Dlatego przyszłam do Diany. — Spojrzała rozmówczyni w oczy. — Ale i tak nie wiem, czy powinnam była tak robić. On tego nie chce. Pragnie odchodzić na własnych warunkach. Czy mogę mu tego odmawiać? Nie chce być dla nikogo ciężarem. — Greta ukryła twarz w dłoniach, a siwe kosmyki opadły na pomarszczone ręce.

Wanda za wszelką cenę starała się ocenić sytuację profesjonalnie. W tej chwili była lekarką, rozmawiały o chorym, więc powinna kierować się obiektywizmem i oceną faktów, a nie emocjami.

— Pani Greto, porozmawiajmy rzeczowo — poprosiła. — Pan Stach prawdopodobnie potrzebuje operacji, a przedtem też kompleksowych badań. I trzeba go do tego namówić.

— Nie zgodzi się — wyszeptała Greta.

— W takim razie zgłoszę to i zabiorą go siłą.

Zielarka gwałtownie podniosła głowę.

— Nie zrobi pani tego.

— Zrobię. To mój obowiązek.

— On prędzej ze sobą skończy, niż pozwoli się zabrać z domu. Będzie go pani miała na sumieniu.

— O moje sumienie się pani martwi? A o swoje nie? Lepiej, żeby ten człowiek się męczył i cierpiał? Pani Greto, jest duża szansa na to, że on po operacji będzie normalnie funkcjonował. Wróci tu i pożyje pewnie jeszcze wiele lat. Czy to naprawdę nie jest lepsze rozwiązanie? — przekonywała ją Wanda.

Zielarka popatrzyła jej prosto w oczy.

— Tak, ale nie wiem, czy uda się je zrealizować.

— Jeżeli się postaramy, to na pewno. Człowiek zawsze w końcu się ugnie, jeśli nie ma innego wyjścia. Nawet jeżeli mu się to nie podoba — powiedziała z przekonaniem lekarka. — I zrozumie, że to z troski o niego. Dla jego dobra.

— Pani coś o tym wie, prawda? — zagadnęła nagle zielarka, patrząc uważnie na kobietę.

Lekarkę zaskoczyło to pytanie.

— O czym?

— O tym uginaniu się. I o tym, że można złamać człowieka, usprawiedliwiając to jego dobrem i troską.

Wanda poczuła, jakby jakaś drzazga poruszyła się w jej sercu i zakłuła boleśnie.

— Wydawało mi się, że rozmawiamy o panu Stachu — odparła szybko.

— Zawsze pod słowami kryją się rzeczy niewypowiedziane. — Zielarka uśmiechnęła się smutno. — I czasami to one są ważniejsze.

— Wolałabym rozmawiać rzeczowo. O faktach.

— Bo o emocjach jest trudniej. Fakty są suche, beznamienne, rzeczowa rozmowa sprowadza je jedynie do ciągu zdarzeń i czynności. A emocje? Te boją, wymykają się rozumowi i zasadom... — Greta wstała i podeszła do

kuchennego blatu. Nasypała do kubka ziół i zalała gotującą się wodą, po czym postawiła napar przed lekarką i powiedziała: — To lebioda. W sam raz dla pani.

Wanda zerknęła na kubek z dużą rezerwą.

— To ciekawe zioło. Odkaza, uspokaja i oczyszcza z toksyn. Pomaga pozbyć się tego, co nas zatruwa od środka — wyjaśniła jej zielarka.

Druga kobieta głośno przełknęła ślinę. Drzazga w sercu znowu dała o sobie znać.

— Ale lebioda ma też swoją ciemną stronę. Może być trująca i nawet zabić. Tak, tak. — Greta pokiwała głową. — Wszystko zależy od tego, co z nią zrobimy, kto ją nam poda i w jakim celu.

Wanda słuchała w milczeniu.

— Cenię lebiodę, bo z nią jest jak ze wszystkim w życiu. Czy pomaga, czy zatruwa: wszystko zależy od sposobu użycia. To co? Napije się pani?

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Wanda wolnym ruchem sięgnęła po kubek i upiła kilka łyków. Greta uśmiechnęła się lekko.

— Czas na mnie — powiedziała lekarka. — Diana na pewno już się niepokoi.

— Odprowadzę panią.

W drodze nie zamieniły ani słowa. Dopiero przed Wrzosową Polaną Wanda przystanęła i zwróciła się do zielarki:

— Wrócę jutro z lekarstwami, a tymczasem proszę podać choremu te zioła na gorączkę — powiedziała.

— Dziękuję — odparła Greta.

— To ja dziękuję. Dobranoc.

Popatrzyły sobie raz jeszcze w oczy i każda poszła w swoją stronę.



— I co z panem Stachem? — dopytywała gorączkowo Diana.

Wanda powoli zdjęła buty, zawiesiła kurtkę na wieszaku i weszła do kuchni.

— Niech pani coś powie! — niecierpliwiła się Lisowska. — Ja tu od zmysłów odchodzę, tak długo pani nie było...

Kobieta usiadła i zaczęła rozcierać obolałe stopy. Nie miała pojęcia, ile kilometrów przeszła tego wieczora, ale wędrówka po leśnych ścieżkach dała jej się we znaki.

— Czy mogłabyś mi zrobić herbaty? — poprosiła.

Diana westchnęła głośno, ale posłusznie poszła nastawić wodę.

— Z panem Stachem nie jest dobrze — usłyszała za plecami głos Wandy. Odwróciła się gwałtownie.

— Ale to nie znaczy, że...? — Nie umiała wypowiedzieć tego słowa.

— W tym momencie nie ma zagrożenia życia. Ale bezwzględnie należy jak najszybciej wdrożyć leczenie.

— Co za szczęście! — ucieszyła się Lisowska. — W takim razie tak trzeba zrobić. I pan Stach wyzdrowieje, prawda?

— Zrobimy wszystko, żeby tak było.

Wanda wyciągnęła nogi przed siebie i zatopiła się we własnych myślach. Ten wieczór był pełen niespodziewanych wydarzeń i nieoczekiwanych wniosków. I wiele ją nauczyło, czuła to, chociaż jeszcze nie do końca wszystko zrozumiała.

Potrzebuję czasu, żeby poukładać to sobie w głowie — stwierdziła. — Nie wiem, czy jestem gotowa, żeby całkiem się na to otworzyć. Nie wiem, czy to zniosę...

— Ależ mnie pani zaskoczyła! — Głos Diany wyrwał ją z zamyślenia. — Dlaczego nie powiedziała pani, że jest lekarką?

Młoda kobieta postawiła na stole kubek i szklanę z herbatą.

— A po co? — odpowiedziała pytaniem na pytanie Wanda. — To przecież nie ma żadnego znaczenia.

— Dzisiaj miało — zauważyła Diana.

— Dlatego dzisiaj powiedziałam.

— Na szczęście! Jak to dobrze, że tu pani była! — Przesunęła szklanę w stronę Wandy. — Wie pani, Greta niechętnie prosi o pomoc. W ogóle rzadko się pokazuje. Ludzie nazywają ją czarownicą. Tymczasem to bardzo mądra kobieta. I ma dobre serce. Tylko postanowiła żyć po swojemu.

— Tak, miałam okazję się o tym przekonać. A ten pan Stach? Kim jest?

— Prawdę mówiąc, to niewiele o nim wiem. Zajmuje się rzeźbieniem i sprzedaje swoje prace na parkingu. Ale to pani wie.

— A coś więcej? To emeryt? Ma jakąś rodzinę? Ubezpieczenie?

— Pojęcia nie mam. — Diana rozłożyła bezradnie ręce. — Niewiele o sobie mówi. Nie pytała pani Grety? Ona chyba się z nim przyjaźni. Może wie coś więcej.

— Zapytam. — Wanda potarła czoło dłonią. Była zmęczona.

Diana zauważyła to.

— Ja tu panią zagaduję, a pani pewnie ledwie na nogach stoi — zreflektowała się. — Proszę się położyć. Musi pani odpocząć.

— Nie martw się, jestem przyzwyczajona — uspokoiła ją Wanda. — Ale masz rację, pora iść spać, dość wrażeń jak na jeden wieczór.

Tak naprawdę wiedziała, że nie zaśnie prędko. Musiała przemyśleć kilka spraw. W spokoju i samotności.

— W takim razie pani pierwsza do łazienki — zdecydowała Diana.

Po trzech kwadransach we Wrzosowej Polanie zgaskły światła.



Diana była zaskoczona tą nagłą decyzją.

— Pani Wando, ale dlaczego? Coś się stało? Żle tu pani?

Kobieta ze spokojem przyjęła pytania.

— Bardzo mi tu dobrze, nic się nie stało. Po prostu muszę załatwić kilka spraw.

— Tak nagle?

— Diano, mieszkam już u ciebie całkiem długo. — Lekarka przekroiła bułkę i posmarowała ją masłem. — Nie powiem, odpowiada mi to i czuję się jak w domu, ale mam przecież mieszkanie i muszę się nim zająć. Opłacić rachunki, posprzątać po... — Zawahała się. — Uporządkować wszystko.

Młoda kobieta oczywiście rozumiała, chociaż z żalem przyjmowała postanowienie pani Wandy. Przyzwyczaiała się do jej obecności i chociaż od początku wiedziała, że to tymczasowe, trudno jej było pogodzić się z tym, że zostanie sama.

— Nie mogę pani zatrzymywać. — Starła się, żeby jej głos brzmiał pogodnie, choć czuła w sercu smutek. — Ale proszę pamiętać, że w każdej chwili może pani wrócić.

— Dziękuję, miło to słyszeć.

— To co? Zjemy razem obiad i odwiozę panią — zaproponowała Diana.

— Chciałabym jechać jak najszybciej. Już jestem spakowana.

— Naprawdę? Cóż, skoro pani tak zdecydowała...

Gdy posprzątały po śniadaniu i Wanda zaczęła ubierać się do wyjścia, Diana znikła na chwilę w pracowni. Wróciła stamtąd z jednym ze swoich kubków.

— Taki chyba się pani podobał. — Podała kobiecie naczynie. — Z liśćmi paproci.

— Tak, rzeczywiście, taki miałam zamiar kupić.

— W takim razie proszę go wziąć. To prezent ode mnie. W podziękowaniu, że pomogła mi pani wrócić do równowagi.

— Bardzo dziękuję. — Wanda była wzruszona.

— I jeszcze jedno. — Diana dotknęła ręki lekarki. — Mam do pani prośbę...

— Słucham?

— Czy mogłaby pani zostawić tutaj swoją szklanę? Schowam ją do szafki, dopilnuję, żeby się nie stłukła. Będzie na panią czekała i zawsze, gdy mnie pani odwiedzi, zaparzę w niej dla pani kawę. Taką z fusami.

Lekarka bez słowa pochyliła się i wyjęła z torby szklanę owiniętą w papierowe ręczniki.

— Weź ją — powiedziała. — Zostawiam z przyjemnością. Tym bardziej że zamierzam nauczyć się pić z kubka. Przynajmniej od czasu do czasu.

Roześmiały się, choć był to śmiech z lekką nutką smutku, jaki zawsze towarzyszy rozstaniom.

— W drogę? — zapytała Wanda.

— Wyjątkowo nie miałabym nic przeciwko temu, żeby samochód nie zapalił.



Wracając z Kielc, Diana zastanawiała się, jak teraz będą wyglądały jej wieczory. Nie obawiała się samotności, ale miło było mieć się do kogo odezwać, podzielić wrażeniem z lektury czy po prostu razem zjeść kolację.

Nawet Kocio polubił panią Wandę — pomyślała. — Raz nawet zdradził mnie i spał z nią w łóżku.

Tak, nawet powrót do swojego szerokiego posłania z wygodnym materacem nie cieszył zupełnie i do końca.

Przyzwyczaję się — pocieszała się. — A pani Wanda na pewno będzie mnie odwiedzała. Poza tym mam sporo zaległych rzeczy do zrobienia. Choćby to podsumowanie budżetu, bo nadal nie wiem, czy stać mnie będzie na remont dachu stodoły.

Przez całą drogę wymyślała kolejne rzeczy do zrobienia i okazało się, że zajęcia jej nie zabraknie.

Napiszę prośby o kolejne referencje, zaktualizuję ofertę o nowe zdjęcia — zapisywała w pamięci kolejne punkty planu. — Przypomnę się Baranowskiej, może znajdzie dla mnie jakieś nowe projekty. Podobno deweloperka znowu ruszyła, więc ktoś musi planować zielen wokół nowych bloków. Do tego ogłoszenia dla osób prywatnych, niektórzy przecież planują ogrody zimą, żeby zacząć realizację latem.

Do tego dołożyła jeszcze zaległe lektury i pracę w swoim warsztacie.

Będę robiła kubki, żeby pan Stach miał co sprzedawać wiosną. — To postanowienie miało szczególną wagę, bo wiązało się z wiarą, że starzec szybko wróci do zdrowia.

Dojechała do domu już w całkiem dobrym nastroju i pełna zapału do działania. Zatrzymała auto, żeby otworzyć bramę, i wtedy zobaczyła wystający ze skrzynki na listy brzeg białej kartki. Nie mogła uwierzyć, że to prawda.

Podeszła bliżej, rozglądając się dookoła. Wyjęła papier i rozłożyła go.

NIE MYŚL, ŻE UCIEKNIESZ PRZED KARĄ.

Zmięta anonim i szybkim krokiem poszła do domu. Od razu za progiem wybrała numer Martyny.

— On nadal mnie obserwuje — zaczęła bez powitania.

— Ten psychopata? — upewniła się koleżanka.

— A kto inny? Znowu miałam list w skrzynce.

— A byłam pewna, że obecność pani Wandy go zniechęci — zdenerwowała się dziennikarka. — Tymczasem on nie odpuszcza. Ale nie łam się, nie jesteś sama.

— Otóż jestem! Pani Wanda dziś wyjechała. Odwiozłam ją do domu. Właśnie wróciłam i znalazłam list.

— Oooo! To znaczy, że rzeczywiście musi cię obserwować. — Martyna przejęła się tą informacją. — Zobaczył, że twoja towarzyszka wyjeżdża, pewnie wychodziłyście z jakimś bagażem, więc zrozumiał, że nie wróci, i od razu przeszedł do działania.

— Przecież to jest chore!

— To wiemy już dawno. Powiem ci, że poczytałam ostatnio z ciekawości trochę o takich toksycznych typach i piszą, że oni właśnie lubią tak o sobie co jakiś czas przypominać. Rozumiesz, trzymają swoją ofiarę w szachu.

— Bardzo ci dziękuję za pocieszenie. Tylko mnie to już dawno nie bawi. Ileż można!

— A można. Dopóki nie zrobisz czegoś konkretnego. Bo na razie to, sorry za szczerość, ale w żaden sposób się mu nie przeciwstawiasz. Przeciwnie: załamujesz się, boisz, zawalasz własne życie. A to zapewnia mu to, czego chce, i karmi chore ego.

— Naprawdę sądzisz, że dzwonię do ciebie, żeby to właśnie usłyszeć?

— Ależ nie! Wiem, że dzwonicz, żebym cię pocieszyła. Bardzo chętnie, oczywiście, ale przyjaciółki są też po to, żeby czasem powiedzieć mniej przyjemne rzeczy.

— Ale akurat teraz?

— Tak, to świetny moment. Jeszcze nie wpadłaś w kolejny dół, więc jest szansa, że do ciebie dotrze, a może nawet wreszcie sprowokuje cię do działania. Trzeba gościa dopaść i dać mu nauczkę. Długo jeszcze zamierzasz się bać?

Diana była zła na Martynę. Po jej słowach poczuła się tak, jakby to, co robił Mateo, działało się na jej własne życzenie. Tak można było zrozumieć słowa koleżanki.

— Dziękuję za twoją opinię, przemyślę to sobie, gdy będę wieczorem zastanawiać się, czy Mateo podpali mi dom. To właśnie ostatnio sugerował. Ale co tam, nie ma się czego bać — dodała ironicznie. — Jeszcze raz dziękuję ci za wsparcie. Cześć! — I rozłączyła się.

Ale wbrew swojej złości wiedziała, że dziennikarka miała rację. Jej słowa trafiły do Diany, zanim owładnął nią strach.

Nie mogę przecież wciąż szukać kogoś, kto zapewni mi poczucie bezpieczeństwa — pomyślała, zgniatając jeszcze mocniej papierową kulkę, którą trzymała w dłoni. — Trzeba zrobić coś konkretnego. Może zamiast się zamartwiać, zacznę od lektury. Martyna mówiła, że jest dużo na ten temat. Poznam swojego wroga i nauczę się z nim walczyć. W końcu chciałam znaleźć sobie jakieś zajęcie, to będę je miała.

Po raz pierwszy Lisowska poczuła chęć stawienia czoła sytuacji, a nie tylko ucieczki.



— Tobiasz?

— A kto ma być, skoro to do mnie dzwonicz?

— Dobra, chciałam się upewnić, bo tak tam głośno, że ledwie cię słyszę.

— W pracy jestem, lokal pełny...

— Rozumiem, że bardzo zajęty jesteś?

— Co za przenikliwość! Mów szybko, o co chodzi. To pilne? Ważne?

Martyna, co prawda, miała inny plan, ale zorientowała się, że nie ma szans, żeby Tobiasz urwał się z pracy, więc szybko zdecydowała.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że jadę do Diany i będę u niej nocowała.

— A co się stało? — Mężczyzna od razu poznał po tonie jej głosu, że nie chodzi o towarzyską wizytę.

— Wariat znowu w natarciu, Diana dostała kolejny anonim — odparła krótko. — A pani Wanda już wyjechała.

— Skoro tak, to jedź. Będziemy w kontakcie.

— Dobrze. Napiszę ci wieczorem co i jak.

Wrońska poszła zapakować piżamę i szczoteczkę do zębów. Po namyśle dołożyła do torby jeszcze butelkę prosecco.



Po powrocie do Kielc Wanda zaczęła od prania. Zapełniła pralkę nie tylko rzeczami, które przywiozła, ale dołożyła jeszcze to, co zostawiła przed wyjazdem. Kiedy przekładała ubrania z wiklinowego kosza do pralki, natrafiła na koszulę nocną w niebieskie kwiatki. Wzięła ją do ręki i przysiadła na brzegu wanny.

Mama nie lubiła tej koszuli — pomyślała. — Nie założyła jej, dopóki jeszcze cokolwiek kojarzyła. Mówiła, że ten wzorek jest pretensjonalny, a materiał zbyt szorstki. Ale potem jakoś jej nie drapał.

Doskonale pamiętała, że kupiła ją matce w prezencie pod choinkę. Niby prosty zakup, ale Wanda poświęciła mu dużo czasu. Niebieskie kwiatuszki uznała za urocze i pasujące do koloru oczu obdarowanej. Starannie sprawdzała miękkość flaneli i szerokość rękawów, bo matka nie lubiła, gdy coś uciskało pod pachami.

Tak, byłam przecież dorosła, nie musiała udawać, że jej się podoba — pomyślała, gładząc materiał. — Mogła być ze mną szczerą.

Dlaczego w takim razie ona poczuła się wtedy jak dziecko? Jak mała dziewczynka, która bardzo się starała, ale nikt tego nie docenił? Bo znowu nie spełniła oczekiwań, więc nic dziwnego, że nie zasłużyła na pochwałę. Widocznie nie była wystarczająco dobra i nic dziwnego, że matka się zdenerwowała.

Wanda poczuła, że ma łzy w oczach. Kilkoma stanowczymi ruchami zwinęła koszulę w kłębek, poszła do kuchni i wyrzuciła ją do kosza. To nie

wystarczyło, więc ubrała się i wyniosła od razu worek do śmietnika. W drodze powrotnej spotkała sąsiadkę.

— Gdzie to się pani podziewała? Jakaś wycieczka? — zapytała kobieta. — Widziałam, że wraca pani z torbą podróżną i jakimś dużym bagażem.

— Że też ludzie zawsze wszystko muszą wiedzieć! — zirytowała się Wanda. — Czy ona całe dni siedzi w oknie i obserwuje?

— Tak, wyjechałam na kilka dni — odparła, pomijając szczegóły.

— I bardzo dobrze — pochwaliła sąsiadka. — Należało się pani. Przez tyle lat tylko przy mamie i dla mamy. — Pokiwała współczująco głową. — Nawet ostatnio z mężem rozmawiałam, że pani Kowalowa to się nażyła, oj, nażyła... Widać dobra kobieta była, skoro los okazał się dla niej taki łaskawy. Długie życie, dobre dziecko, to czego więcej...

— Przepraszam, miło się gawędzi, ale bardzo się spieszę — przerwała jej w pół zdania Wanda. — Do widzenia, proszę pozdrowić męża.

Wiedziała, że nie zachowała się grzecznie, ale naprawdę nie mogła słuchać o matce. Ledwie się powstrzymała, żeby nie wykrzyknąć tej kobiecie prawdy prosto w twarz.

Co ona winna? — pomyślała, starając się uspokoić oddech. — Nie mogę się na niej wyładowywać.

Czuła jednak, że od czasu rozmowy z Gretą wszystko, co przez lata usilnie tłumiała i upychała w głowie, teraz buzuje i domaga się ujścia. I wiedziała, że coś musi z tym zrobić.

Inaczej to mnie zabije. — Z niepokojem złapała się za nadgarstek. — Nawet tabletki nie pomogą.

Na razie łyknęła lekarstwo i wreszcie włączyła pranie. A potem poszła do pokoju matki. Szafa nadal była otwarta, więc Wanda od razu zaczęła wyciągać wiszące w niej ubrania. Powoli, metodycznie, układała na podłodze sterty bluzek, spódnic, sukienek i swetrów. Kiedy drążki i półki były już puste, poczuła zmęczenie.

Muszę odpocząć — zdecydowała. — A jutro pójdę do kościoła i zapytam, kto może przyjechać i to wszystko zabrać. Na pewno znają jakieś potrzebujące osoby. Może będą bardziej z tych rzeczy zadowolone niż ona.

Przysiadła na łóżku i popatrzyła na pokój, który był taki sam, odkąd pamiętała. Każdy bibelot, każdy obrazek — wszystko musiało być na swoim miejscu. Wanda dbała o to nawet wtedy, gdy matka już nie potrafiła nazwać żadnej z tych rzeczy.

„To samo potrafi uzdrawiać, ale potrafi też otruć” — przypomniała sobie słowa Greta.

Pomyślała o panu Stachu, który gotów był umrzeć, byle nie stać się dla nikogo ciężarem. Walczył z bólem i samotnością, a jednak nie chciał obarczać nikogo swoją chorobą.

Jak różnie można traktować ludzi, jak różnie patrzeć na świat... — pomyślała. — Jak to się dzieje, że jedni chcą być jak najdłużej samodzielni, starają się nie obciążać nawet przyjaciół, a inni oczekują ciągłej obsługi i uważają najbliższych za swoich niewolników?

Z niechęcią popatrzyła na święty obrazek wiszący nad łóżkiem. Sama dawno przestała chodzić na mszę, wieczorami była zbyt zmęczona, żeby się modlić, ale matka chyba najdłużej pamiętała słowa modlitw i powtarzała je każdego wieczora.

I co z tego? — Wzruszyła ramionami. — Słowa, tylko słowa, a za nimi nic. Greta miała rację. Najważniejsze jest to, co niewypowiedziane. To jest prawda.

Poczuła, że dłużej nie wytrzyma w tym pomieszczeniu. Miała wrażenie, że zaczyna się dusić. Wyszła szybko, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Wywiesiła pranie, zrobiła sobie kawę i usiadła w salonie.

Tyle lat, tyle lat... — powtarzała w myślach. — A właściwie całe życie. I co? Co teraz? Nie cofnę czasu, nie będę znowu młoda. Nikt mi nie zwróci przeszłości. Pomyśleć, że nigdy nie usłyszałam ani jednego dobrego słowa. Żadnej pochwały, żadnego podziękowania. Jakby to wszystko jej się należało. A ja wciąż nie byłam wystarczająco dobra.

Znowu przypomniała sobie o panu Stachu. Ten niczego nie oczekiwał, nie uważał, że cokolwiek mu przysługuje.

Dlatego powinien dostać wszystko, czego potrzebuje — uznała. — I ja o to zadbam.

Wyjęła z torebki niewielki notes w granatowej okładce, który od wielu lat zawsze nosiła przy sobie. Miała w nim zapisane wszystkie ważne numery. Zamierzała z kilku z nich skorzystać.

— Dzień dobry, mówi Wanda Kowal. Czy mogłabym rozmawiać z doktorem Ręboszem? Tak, to ważne. Poczekam.

Po tej rozmowie odbyła jeszcze kilka innych. Nie minęła godzina, a wszystko było gotowe i zaplanowane. Pozostało jedynie przekonać pana Stacha. I Wanda wiedziała, że to może być najtrudniejsze.

Ale nie zamierzam go złamać — obiecała sobie. — Postaram się po raz pierwszy w życiu kierować się emocjami, nie faktami. Zobaczymy, czy jest tak, jak powiedziała Greta: że one mają większą moc.



Kobiety powoli sączyły prosecco.

— Wolałabym dziurawiec — wyznała Diana. — Ale Greta nie chciała mi go dać. Powiedziała, że pomógł tobie, ale mnie nie pomoże.

Była lekko wstawiona, alkohol trochę przytłumił niepokój.

— I miała rację — zgodziła się ze zdaniem zielarki Martyna. — Bo tobie trzeba czegoś innego.

— Taka jesteś mądra, to powiedz mi czego.

— A tego to nie wiem, ale wydaje mi się, że tracisz poczucie sprawczości.

— Cóż to za mądry termin? Gdzie to wyczytałaś?

— Wiadomo, w sieci — roześmiała się dziennikarka. — Ale trafiło do mnie. I pasuje tu jak ulał.

— Wyjaśnij — zażądała Diana.

— Z grubsza mówiąc, chodzi o to, że oddałaś komuś możliwość kierowania swoim życiem. I od tej osoby zależy twój nastrój. To ona decyduje, czy jest ci dobrze, czy źle i jak długo. Rozumiesz?

— Doskonale. I nawet wiem, jaką osobę masz na myśli. — Lisowska się skrzywiła.

— Nie rób min. Dobrze wiesz, że to prawda. Musisz, absolutnie musisz odzyskać kontrolę — podkreśliła przyjaciółka. — Inaczej ciągle będziesz wpadać w doły i stracisz sens. A pamiętasz, jak mówiłaś, że będziesz tu szczęśliwa? I co? Jesteś?

— Ostatnio nie bardzo — przyznała Diana.

— A dlaczego? Masz fajny dom, zarobiłaś sporo kasy, realizujesz marzenia, rozwijasz biznes, który łączysz z pasją. Mam wyliczać dalej?

Diana wzruszyła ramionami.

— Jak mam się z tego cieszyć, skoro wciąż jestem zastraszana i nękana?

— No to wreszcie coś z tym zrób. Nie czekaj biernie. Sama mówiłaś, że czytałaś już o toksykach i psychopatach, więc co nieco wiesz.

— Wiem, że trudno się z tego wyrwać. Że to niszczy psychikę i pozbawia siły.

— „Trudno” nie oznacza „niemożliwe” — zauważyła Martyna i napełniła opróżnione kieliszki. — A ty przecież już raz się wyrwałaś. I całkiem nieźle ci poszło. A wtedy byłaś całkiem sama, prawda? Teraz masz przyjaciół, którzy ci pomogą, a to chyba całkiem dobry początek.

Diana uśmiechnęła się i objęła przyjaciółkę.

— Kochana jesteś. I masz do mnie wielką cierpliwość.

— Ty do mnie też kiedyś miałaś. A z tego, co pamiętam, byłam wtedy o wiele mniej miła niż ty.

— Martyna, naprawdę chciałabym to zakończyć — zapewniła Lisowska.

— Ale zrozum, że nie bardzo jest jak. On dobrowolnie nie zrezygnuje, sama widzisz, co się dzieje. Postawił sobie za cel zniszczenie mnie i konsekwentnie go realizuje. A przy tym jest sprytny i nic na niego tak naprawdę nie mam. Może z wyjątkiem rozmowy, którą słyszała pani Wanda, ale to słowo przeciwko słowu i on z łatwością się tego wyprze.

— Ale nagrania się nie wyprze!

Kobiety aż podskoczyły na dźwięk męskiego głosu.

— Swoją drogą, to chyba jednak czujecie się bardzo bezpiecznie, skoro nie zamykacie drzwi. — Tobiasz popatrzył z dezaprobatą na pustą butelkę po alkoholu.

— No co?! Musiałyśmy jakoś uspokoić skołatane nerwy — usprawiedliwiała się Martyna. — A otwarte drzwi to moja wina. Poszłam zamknąć okiennice i wracając, musiałam zapomnieć, że trzeba przekręcić jeszcze klucz.

Mężczyzna pokręcił głową.

— To ja tu pędzę w zimną listopadową noc, bo damy w potrzebie, a widzę, że mogłem sobie siedzieć przy ciepłym piecu i kręcić pizzę.

— Nie mów, że na rowerze przyjechałeś?!

— Bez przesady. Aż tak nie oszalałem. Co innego dojazd do pracy, a co innego kilkanaście kilometrów. Kolega dał się przekupić i za salami z oliwkami podwiózł mnie pod samą furtkę.

— Szkoda, że dla nas nie przywiozłeś. — Dziennikarka przywołała na twarz smutną minę. — Nie jestem wielbicielką, ale powiem ci, że on robi naprawdę dobre te włoskie placki — zwróciła się do Diany.

— Jak zwykle zbyt pochopnie mnie oceniasz. I oczywiście masz o mnie jak najgorsze zdanie. Ale muszę cię rozczarować. Pizza czeka w kuchni. I to ta najlepsza, z siedmioma składnikami.

Wrońska aż pisnęła z radości.

— A więc mamy imprezę na całego! — Zeskoczyła z łóżka i pociągnęła za sobą Dianę. — Chodź, kobieto. Może jeszcze jest ciepła.

Usiedli przy stole i zjedli przywiezione przez Tobiasza danie.

— Rzeczywiście bardzo dobra — pochwaliła Diana, oblizując palce z oliwy. — Szkoda, że nie dowozicie do Świętej Katarzyny.

— Jak to nie dowożą? — roześmiała się Martyna. — A co właściwie jesz? Jak będziesz miała ochotę, to dzwonicz do Tobiasza i masz.

Diana popatrzyła na mężczyznę, który siedział z poważną miną.

— Chyba nie widzę entuzjazmu — zauważyła.

— Ej, Tobiasz, co ty? Obraziłeś się? — Dziennikarka sięgnęła po ostatni kawałek placka. — Przecież to żarty!

— Właśnie widzę — odparł. — I tak się zastanawiam, czy wy próbujecie mnie nabrać, czy naprawdę wcale was to nie interesuje...

— Ale co? — zacięła się Wrońska. — O czym ty teraz mówisz?

— Serio nie wiesz? Przecież kiedy wszedłem, rozmawialiście o dowodach na tego, jak mu tam...

— Mateo — podpowiedziała Diana.

— Raczej o ich braku — uściśliła dziennikarka.

— I co ja powiedziałem?

— Że nie zamknęłyśmy drzwi.

— A wcześniej? — zniecierpliwiał się mężczyzna.

Martyna wydeła usta, a Diana pokręciła głową na znak, że nie ma pojęcia.

— Powiedziałem, że mamy nagranie — przypomniał Tobiasz. — Kiedy powiedziałaś, że przyszedł list, od razu skojarzyłem, że tego, kto go wrzucił, nagrała kamera. I zanim wszedłem, wyjąłem z niej kartę pamięci.

— Zupełnie zapomniałam o kamerze! — Martyna uderzyła się dłonią w czoło. — No to mamy drania! Diana, dawaj laptopa!

Ta natychmiast wykonała polecenie. Tobiasz włożył kartę do czytnika i zamknął szufladkę, a kobiety w napięciu wpatrywały się w ekran.

— Ona reaguje na ruch, więc nie trzeba będzie niczego przewijać — wyjaśnił. — Powinniśmy od razu zobaczyć gada.

Kliknął i uruchomił nagranie.

Diana czuła, że drży. Była pewna, że za chwilę zobaczy twarz Mateo.

— No to go mamy... — wyszeptała przejęta Martyna, gdy obraz ruszył.

Ktoś zbliżył się do skrzynki, dłoń w rękawiczce uchyliła klapkę, postać pochyliła się i...

— To niemożliwe! — krzyknęła Diana.

W kadrze wyraźnie widać było twarz... Anny, nauczycielki.



Wanda obudziła się jak zwykle wcześniej rano.

Tego chyba nigdy już się nie oduczę — stwierdziła. — Czy kiedyś uda mi się pospać chociaż do dziewiątej, a potem jeszcze leżeć w łóżku i cieszyć się beztróskim leniuchowaniem?

Akurat tego poranka się spieszyła, więc pobudka przed szóstą była jej bardzo na rękę. Miała do załatwienia ważną sprawę. Misję, jak to określiła — to słowo wydało jej się odpowiednie, podkreślało wagę przedsięwzięcia.

Zacząła od zmierzenia sobie ciśnienia, bo miała ochotę na kawę, ale wczorajszy epizod i konieczność sięgnięcia po dodatkową tabletkę skłaniały ją do ostrożności.

Ciekawe, że we Wrzosowej Polanie nie miałam takich problemów — zauważyła, miarowo naciskając pompkę ciśnieniomierza.

Na szczęście wynik był do zaakceptowania i po śniadaniu poza codzienną porcją lekarstw nie musiała niczego dokładać.

Kawka może być — ucieszyła się. — Zobaczymy, jak będzie smakować w nowym kubku.

Wyjęła prezent od Diany i przez chwilę się zastanawiała, jaką porcję zmielonych ziaren powinna do niego wsypać. Zwykle odmierzała dokładnie dwie pełne łyżeczki i zalewała je wrzątkiem do wyznaczonej wieloletnim przyzwyczajeniem wysokości szklanki. W końcu machnęła ręką.

Jak eksperyment, to eksperyment — zdecydowała i po prostu dwa razy zanurzyła łyżeczkę w puszcze z kawą, nie zastanawiając się, czy to

dokładnie tyle, ile każdego dnia. A potem napełniła kubek wrzącą wodą i poczekała kilka minut, aż napar nabierze mocy.

Spróbowała ostrożnie, żeby nie poparzyć warg. Spodziewała się, że kawa może być zbyt mocna lub przeciwnie — słaba, ale o dziwo, nie zauważyła różnicy. Co prawda naczynie miało grubszy brzeg i to trochę przeszkadzało Wandzie przyzwyczajonej do cienkiego szkła szklanki, ale pierwsze wrażenie nie było złe.

Nie rozumiem, dlaczego tak upierałam się przy tej szklance — pomyślała i od razu znalazła odpowiedź: to nie ona się upierała. Nie jej wybór kierował codziennym rytuałem. — Co w moim życiu tak naprawdę jest moje? — westchnęła ze smutkiem. — Jak długo zajmie mi szukanie własnych preferencji? Czy wystarczy mi na to czasu?

Czuła, jakby jakaś skorupa, którą została oblepiona, zaczynała pękać. Trochę się tego bała, bo twardy pancerz gwarantował utrzymanie siły. Nie wiedziała jeszcze, co jest gdzieś tam, w środku, wyczuwała, że może być tak jak z mężem — w grubej muszli tkwi miękkie i bezbronne stworzenie, które łatwo uszkodzić, a nawet zabić. Jednakże bardzo chciała pozwolić tej dawno zapomnianej części siebie wyjrzeć, zobaczyć coś więcej i wreszcie doświadczyć wolności. Nawet gdyby przyszło za to zapłacić.

Pora jechać — zdecydowała. — Muszę jak najszybciej porozmawiać z moim pacjentem.

Przed wyjściem umyła jeszcze kubek i złożyła pranie. Nie lubiła zostawiać bałaganu. Ona nie lubiła...?

Wyszła z mieszkania i odetchnęła głęboko, jakby dopiero za drzwiami mogła naprawdę zaczerpnąć powietrza. Było zimno, ale deszcz nie padał, a pomiędzy chmur od czasu do czasu wyglądało słońce. Jak na połowę listopada pogoda była całkiem przyjemna. O ile oczywiście miało się ciepły szalik, rękawiczki i czapkę.

Z dojazdem do Świętej Katarzyny Wanda nie miała problemu. Po drodze wstąpiła jeszcze do apteki, a już na miejscu zajrzała do sklepu. Chciała kupić cytryny i pomarańcze, a przy okazji zapytać o drogę do domu pana

Stacha. Szła tam poprzednio w ciemnościach, przez las, i nie miała pojęcia, gdzie tak naprawdę jest chatka mężczyzny.

— Stary Stach? — zdziwiła się sprzedawczyni. — Na pewno jego pani szuka?

— Tego, który sprzedaje rzeźby na parkingu obok klasztoru — sprecyzowała lekarka.

— Tak, wiem, każdy go tu zna. Ale żeby do niego chodzić? — Ekspedientka wyduła pogardliwie wargi. — To przecież dziwak. I gości chyba nie lubi. Ja bym się na pani miejscu tam nie pchała.

Ale nie jesteś na moim miejscu — pomyślała Wanda.

— Jednak spróbuję. — Zmusiła się do uśmiechu. — To jak trafić do jego domu?

— Trzeba iść w prawo, do końca ulicy, a potem dalej w lewo aż na koniec miejscowości. To kawałek drogi — wyjaśniła kobieta za ladą. — Tylko nie wiem, czy go pani zastanie. On czasem tu zachodzi po tytoń, ale od jakiegoś czasu go nie widuję. Może gdzieś wyjechał, kto go tam wie...

Co za ludzie! Starszy samotny człowiek nie wychodzi od dłuższego czasu z domu i nikt się nie zainteresuje, co się z nim dzieje — zezłościła się Wanda.

Zabrała zakupy i ruszyła do chatki Stacha.

Rzeczywiście, trochę trwało, zanim doszła do celu, ale rozpoznała domek bez problemu. Stała przed drzwiami, przełożyła siatkę do drugiej ręki, poprawiła torebkę na ramieniu i zapukała. Nikt nie odpowiedział.

Może śpi — uznała. — Albo nie ma siły odpowiedzieć.

Wiedziała, że w ciągu doby stan Stacha mógł się pogorszyć, ale liczyła na to, że gdyby tak było, Greta skontaktowałaby się z nią za pośrednictwem Diany.

Tak czy inaczej, nie będę przecież stała przed drzwiami — zdecydowała i nacisnęła dużą klamkę.

Na szczęście nie było zamknięte, więc weszła do ciemnej sieni, a potem do pokoju.

W kominku dopalały się resztki drewna, ale w pomieszczeniu nadal utrzymywało się ciepło. Na stole Wanda zobaczyła przykryty ściereczką chleb i słoik z miodem. Wiedziała, że to Greta zadbała, aby Stach miał coś do zjedzenia.

— Dzień dobry! — powiedziała głośno, zerkając w stronę łóżka.

Na dźwięk jej głosu mężczyzna otworzył oczy i uniósł się lekko na posłaniu.

— Kim pani jest?

— Wanda Kowal, jestem lekarką. — Zbliżyła się tak, żeby chory mógł ją zobaczyć.

— Nie wzywałem lekarza. — Mężczyzna głos miał mocniejszy niż podczas nocnej rozmowy.

Wygląda na to, że zioła Greta pomogły obniżyć gorączkę — stwierdziła Wanda. — Chociaż sądząc po rozpalonych policzkach, jeszcze nie jest dobrze.

— Nie zapraszałem pani — powtórzył Stach. — Proszę stąd iść.

Stała tuż obok łóżka.

— Byłam u pana wczorajszej nocy. — Wanda nie zwracała uwagi na jego słowa. — Przyproceedziła mnie pani Greta. Badałam pana i rozmawialiśmy.

— Nie pamiętam. — Zmarszczył brwi.

— Miał pan bardzo wysoką temperaturę, to pewnie dlatego — wyjaśniła. — Umówiliśmy się, że przyniosę lekarstwa, więc jestem.

Obserwował, jak wyklada na drewnianą szafkę pudełeczka, skrzywił się, gdy zobaczył pomarańcze.

— Ja takich rzeczy nie jadam — powiedział. — I nie prosiłem o nie. Może to pani zabrać.

— Ale powinien pan. — Kobieta nie zważała na protesty. — Mają dużo witaminy C, a tego panu potrzeba. Zaraz obiorę jedną.

Rozejrzała się po izbie, znalazła talerz i nożyk. Przystawiła jedno krzesło do łóżka, usiadła i zaczęła zdejmować skórkę z owocu.

— Cieszę się, że dziś jest pan silniejszy — powiedziała. — Będziemy mogli ustalić konkrety dotyczące leczenia.

— Już czuję się dobrze — zapewnił Stach. — Dzień, dwa i wstanę. Żadnego leczenia nie potrzeba — dodał stanowczo.

— Nie zgodzę się z panem. — Lekarka pokręciła głową. — Jestem przekonana, że pan nie wstanie. A jeśli nawet, to na krótko. Chciałabym pana osłuchać, żeby mieć pewność, że to nie infekcja górnych dróg oddechowych, ale i tak jestem prawie pewna, że ma pan mocny stan zapalny.

Podawała mu talerz z częstkami pomarańczy, ale odwrócił głowę. Położyła go więc na kołdrze.

— Pana biodro jest w fatalnym stanie — kontynuowała. — I pan o tym wie. Ale powinien pan też wiedzieć, że można je naprawić. Wszystko już załatwiłam. Umówiłam zabieg na czwartek, chociaż łatwo nie było, bo musi pan wiedzieć, że ludzie czekają po kilka miesięcy, a nawet dłużej. W każdym razie wszystko ustalone. We wtorek przyjedzie transport medyczny i zabierze pana do szpitala.

Stach usiadł gwałtownie i aż jęknął z bólu.

— Nigdzie nie pojadę! — zagrzmiał. — I nie prosiłem o żadne załatwianie!

— I po co te nerwy? — westchnęła Wanda. — Znam pana pogląd na sprawy leczenia, powiedziała mi o tym pani Greta.

— Ona to rozumie.

— Tak, rozumie, ale bardzo się o pana martwi. Jesteście przyjaciółmi, prawda?

— Coś w tym rodzaju — przyznał niechętnie mężczyzna.

— W takim razie powinien pan chyba przestać być takim egoistą i pomyśleć nie tylko o sobie, ale też o niej.

— Właśnie myślę — burknął.

— Nie wydaje mi się — zaprotestowała lekarka. — Greta szanuje pana wybory, ale z pewnością wolałaby, aby pan żył jeszcze długo i cieszył się jej towarzystwem. Nie będzie jej łatwo patrzeć, jak zмага się pan z bólem i odchodzi w męczarniach. To chce jej pan podarować w imię przyjaźni?

Stach przez chwilę milczał, a Wanda go nie ponaglała. Pozwoliła mu zastanowić się nad tym, co usłyszał.

Jest mądry, zdecyduje dobrze — tego była pewna.

— Nie chcę, żeby Greta zajmowała się starym, niedołącznym dziadem — powiedział w końcu.

— Ja też nie chcę. I dlatego załatwiłam ten zabieg. Tydzień po nim powinien pan być z powrotem w domu — wyjaśniała ze spokojem. — Co prawda, później trochę czasu zajmie rehabilitacja, ale widząc pana upór i determinację, mogę zaryzykować stwierdzenie, że pójdzie szybko.

Mężczyzna spojrzał na nią badawczo.

— Będę normalnie chodził?

— Może z laską — odparła. — Ale nawet jeżeli, to tylko doda panu charyzmy. I będzie pasowało do wizerunku. — Uśmiechnęła się.

Kąciki ust starca lekko się uniosły.

— Trzeba przyznać, że uparta z pani kobieta — powiedział.

— Jestem uparta, kiedy uznaję, że warto.

Pokiwał głową.

— Dobrze, zgadzam się.

Lekarka poczuła, że kamień spadł jej z serca. Udało się! Trzeba będzie podzielić się tą nowiną z Gretą.

Jakby na zawołanie zielarka pojawiła się w drzwiach. Stała zaskoczona widokiem Wandy siedzącej przy łóżku.

— Dzień dobry, pani Greto! Właśnie ustaliłam z panem Stachem, że we wtorek będzie gotowy na przejazd do szpitala.

W oczach Grety pojawiło się niedowierzenie.

— Tak, to prawda — potwierdził mężczyzna. — Chyba ta baba jakiś urok na mnie rzuciła, że się zgodziłem. Ale trudno, niech mnie pokroją, skoro inaczej się nie da.

Lekarka puściła mimo uszu określenie, jakim obdarzył ją Stach, uznając je za żart. Najważniejsze było, że osiągnęła cel. Wstała i skierowała się do wyjścia.

— Na mnie już czas. Przyjadę we wtorek razem z transportem medycznym i pojedę z panem Stachem. Dopilnuję, żeby wszystko było w porządku. Proszę zjeść tę pomarańczę — zwróciła się do pacjenta, który posłusznie sięgnął po cząstkę owocu.

— Odprowadzę panią do furtki — powiedziała Greta.

Wyszły przed dom.

— Proszę podawać mu leki, które zostawiłam, zgodnie z dawkami, które zapisałam na opakowaniu — poinstruowała zielarkę. — I niech pani spakuje rzeczy do szpitala. Do zobaczenia!

Greta chwyciła ją za ramię.

— Nie wiem, jak pani tego dokonała, ale dziękuję.

— Nie ma za co — odparła Wanda. — Zadaniem lekarza jest pomagać.

— Jeśli mogłabym coś dla pani zrobić...

— Niczego nie potrzebuję. Ale proszę się opiekować Dianą. To wspaniała młoda kobieta, która potrzebuje wsparcia. Dobrze, że ma obok takich ludzi jak pani i pan Stach.

Zielarka popatrzyła Wandzie w oczy.

— Niech pani nie ucieka — powiedziała cicho. — Przecież dobrze pani wie, dokąd powinna teraz iść. Potrzebujecie tego obie.



Diana stanowczo odrzuciła propozycję Martyny.

— Nie będziesz mnie dłużej niańczyć — oświadczyła. — Masz swoje sprawy, sama mówiłaś, że Krzysztof umówił ci spotkania z tymi prezesami. Musisz się przygotować, jechać...

— Ale jeśli tego potrzebujesz, mogę zanocować u ciebie przez kilka dni — ponowiła propozycję dziennikarka. — Rano będę wyjeżdżać, a wieczorem przyjeżdżać.

— O ile wiem, mamy jeszcze w barku kilka butelek prosecco — zażartował Tobiasz.

— Ty jak coś powiesz! — oburzyła się Wrońska. — Przecież nie będę piła, skoro mam jeździć. Poza tym to była jednorazowa spontaniczna akcja — nawiązała do wczorajszego wieczora. — Kilka kieliszków od czasu do czasu jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

— Mówiłam, że lepszy byłby dziurawiec — wtrąciła Diana. — Teraz Tobiasz będzie nas miał za jakieś szalone imprezowiczki.

— Nie zmieniaj tematu — upomniała ją przyjaciółka. — To co? Przyjechać wieczorem?

— Powiedziałam już, że nie ma takiej potrzeby.

Wczorajsze odkrycie, kto podrzuca anonimy, mocno wstrząsnęło Dianą. Nie spodziewała się, że to Anna. Co prawda, wiedziała, że kobieta jej nie znosi i że zachowuje się dziwnie, ale nie sądziła, że posunie się do czegoś takiego.

— Wygląda na to, że Mateo rzeczywiście odpuścił. A ja ten cały strach miałam w głowie... — podsumowała sytuację. — I zaczęłam się nakręcać, a to jest najgorsze.

— Teraz przynajmniej wiesz, kto próbuje cię zastraszyć — zauważyła Martyna.

— Tak czy inaczej, pomysł z kamerką okazał się skuteczny — dodał Tobiasz.

— Masz rację — potwierdziła Diana. — Przynajmniej wszystko poukładało mi się w głowie.

— Co nie zmienia faktu, że dostajesz anonimy — przypomniała dziennikarka. — A to nie jest w porządku.

— Już nie anonimy — wtrącił Tobiasz.

— Hej! Ona nie wie, że my wiemy. Więc nadal, patrząc z jej perspektywy, podrzuca ci niepodpisane groźby. — Wrońska zerknęła na Dianę. — Myślisz, że na tym poprzestanie, czy nadal obawiasz się o swoje bezpieczeństwo?

— Wydaje mi się, że to czysta złośliwość — oceniła Diana. — Ona z jakiegoś powodu nie lubi tego domu i przenosi to uczucie na mnie. Nie sądzę, żeby chciała zrobić coś więcej. W końcu mieszka tu od lat i mogła już dawno działać, gdyby chciała.

— Zamierzasz coś z tym zrobić? — zainteresował się Tobiasz.

— Jeszcze nie wiem, muszę się zastanowić.

— Zgrałem ci filmik na laptopa. A kartę włożę z powrotem do kamery. Niech sobie nagrywa, tak na wszelki wypadek.

— Ma rację, ostrożności nigdy za wiele — poparła go Martyna. — A ty masz jakąś szczególną zdolność przyciągania świrów, Diana — stwierdziła ze śmiechem.

— Ty jesteś tego najlepszym dowodem — odcięła się przyjaciółka.

— Dobra, my tu sobie żartujemy, a ja powinienem niedługo być w lokalu — zauważył Tobiasz. — Chciałbym pojechać trochę wcześniej, bo po nocy na tym twardym materacu chyba będę mniej wydajny niż zwykle. — Roztarł bolące plecy.

— Nie mów, że z ciebie taki staruszek! — zadrwiła dziennikarka. —
A podczas podróży to zawsze nocowałeś w pięciogwiazdkowych hotelach?
— To było dawno — zbył ją mężczyzna. — A dzisiaj pora się zbierać.

Wstali od stołu. Diana wzięła karton po pizzie i postawiła go obok kosza na śmieci.

— Daj to, zabierzemy ze sobą. — Tobiasz wyciągnął rękę. — Nie będziesz upychać, wywalę to u nas pod blokiem.

Podowała mu pudełko.

— Dzięki. Za to i za pomoc — powiedziała. — Jak będziecie mieli wolne, to wpadnijcie. Jeżeli uprzedzicie, to może nawet coś ugotuję.

— A jak nie uprzedzimy, to Tobiasz przywiezie wiadomo co. — Martyna mrugnęła porozumiewawczo.

Ucałowała przyjaciółkę i pobiegła za Tobiaszem, który już szedł w stronę samochodu.

— Myślisz, że sobie poradzi? — zapytała go, gdy ruszyli wąską uliczką.

— Jestem pewien, że tak. Ma słabsze chwile, ale to dzielna dziewczyna. Nie podda się.



Rozległo się pukanie.

Czyżby Martyna i Tobiasz czegoś zapomnieli? — pomyślała Diana i rozejrzała się po kuchni, ale nie zobaczyła niczego, co należałoby do przyjaciół.

Pukanie się powtórzyło, więc poszła otworzyć.

— Ale niespodzianka! — ucieszyła się na widok gościa.

— Przychodzę z nowinami.

— Proszę, niech pani wchodzi. Kawy?

— A nie, dziękuję, już rano piłam — odmówiła z uśmiechem Wanda. — Herbatka wystarczy.

— Już robię, a pani niech siada.

Lekarka zajęła miejsce przy stole.

— Byłam u pana Stacha — oznajmiła.

— I co z nim? Już dobrze? — zatroskała się Lisowska.

— Niezbyt, ale będzie dobrze.

Teraz już nie było powodu, żeby ukrywać prawdę przed Dianą, więc Wanda postanowiła rozmawiać z nią bez niedomówień. Opowiedziała o stanie mężczyzny i o jego oporze przed leczeniem.

— Obawiałam się, że może się nie udać, ale w końcu jakoś udało mi się go przekonać — zakończyła relację.

— To dobrze! — Diana odetchnęła z ulgą. — Nie rozumiem, dlaczego nie chciał iść do szpitala.

— Ty nie rozumiesz? — Lekarka uśmiechnęła się lekko.

— No tak. Przecież chciała pani mu pomóc.

— Są ludzie, którzy odmawiają pomocy, bronią się przed nią. Nie chcą sprawiać innym kłopotu. Wolą męczyć się sami, byle nikt nie musiał się nimi opiekować. Przecież znasz to doskonale, prawda?

Diana spoważniała. Zrozumiała, co chce jej przekazać Wanda.

— Różnie bywa. Czasami po prostu nie są przyzwyczajeni do opieki — odparła, powoli dobierając słowa. — Może nigdy tego nie doświadczyli? Może zawsze musieli radzić sobie sami? A kiedy nawet próbowali zaryzykować, to przeżywali rozczarowanie.

Wanda wyciągnęła rękę ponad blatem stołu i chwyciła dłoń Diany.

— A wiesz, że opieka nad kimś nie musi być ciężarem czy przykrym obowiązkiem? Może tak być, ja o tym wiem, ale nie musi. Bo kiedy masz obok dobrą osobę, pomoc daje poczucie, że jest się potrzebnym. Nie po to, żeby robić coś za kogoś, ale aby dać to, co ma się w sercu.

Diana przełknęła łzę.

— Czy myślisz, że mogłabyś jeszcze raz zaryzykować? — zapytała lekarka. — Bo ja jestem gotowa spróbować.

Młoda kobieta podeszła do Wandy i przytuliła się do niej, tak po prostu. Przez chwilę trwały w uścisku.

— To chyba znowu musimy pojechać do Kielc po pani rzeczy? — wyszeptała Diana.

— Ale szklanka już jest. — Lekarka się uśmiechnęła.



Wieczorem, przy kolacji, Diana opowiedziała Wandzie o wynikach działań Tobiasza i pokazała jej film z kamery.

— Ty znasz tę kobietę? Wiesz o niej coś więcej?

Wanda była zaskoczona, bo podobnie jak Diana sądziła, że autorem listów jest Mateo.

— Tylko to, co sama powiedziała. Nic poza tym, że uczy w miejscowej szkole. Co zresztą mnie dziwi, bo widziałam jej zachowanie wobec pewnej dziewczynki i nie nazwałabym tego pedagogicznym podejściem.

Lekarka zastanowiła się przez chwilę.

— Może warto byłoby się czegoś dowiedzieć o tej Annie, popytać mieszkańców? Na pewno tu wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. U mnie w bloku wystarczy jedna sąsiadka, żeby nikt nie mógł mieć tajemnic.

— Też o tym myślałam, ale mam wrażenie, że ludzie są tu raczej zamknięci — podzieliła się swoimi odczuciami Diana. — Nie chcę powiedzieć, że niemili, skąd! Są życzliwi dla turystów, odpowiadają na pozdrowienia, nawet się uśmiechają. Ale niechętnie odpowiadają na pytania i niełatwo się do nich zbliżyć.

— Cóż, zapewne znają się od lat, a obcych mają w sezonie po dziurki w nosie. — Wanda była wyrozumiała. — Zapewne trzeba czasu, żeby zdobyć ich zaufanie.

— Też mi się tak wydaje. A ja wciąż jestem tu nowa. Przecież zamieszkałam we Wrzosowej Polanie zaledwie pięć miesięcy temu.

Diana sięgnęła po jedno z kruchych ciasteczek, które Wanda upiekła po przyjeździe z Kielc.

— Poza tym ten dom ma jakąś tajemniczą historię — dodała. — Nikt nie chce wprost powiedzieć, o co chodzi, ale chyba ma związek z poprzednim właścicielem. To też sprawia, że mieszkańcy zachowują wobec mnie dystans, przynajmniej takie mam wrażenie. Zresztą ta Anna także okazywała mi swoją antypatię właśnie z tego powodu. Wyzywała mnie od czarownic, zresztą podobnie jak Gretę.

— Zabobony! — mruknęła Wanda. — Że też ludzie w dwudziestym pierwszym wieku jeszcze wierzą w takie bzdury!

— Nic na to nie poradzę. Miała pani okazję poznać Gretę, więc wie pani, jaka ona jest. Nic wspólnego z czarami nie ma. Niestety, znajomość z nią też nie przysparza mi przyjaciół. A wrogów, jak widać, i owszem.

Lekarka wysłuchiwała Diany z uwagą.

— Myślisz, że ta nauczycielka pisze bzdury dlatego, że kontaktujesz się z panią Gretą?

— Uważam, że to wszystko się łączy. Ale to jej nie usprawiedliwia. Każdy kogoś lubi, a kogoś nie, jednak to nie powód, żeby grozić i zakłócać spokój.

— Widzę, że zaczynasz kierować się rozsądkiem — stwierdziła z uznaniem Wanda. — W niektórych sytuacjach to bardzo wskazane.

— Dziękuję. — Lisowska ugryzła kolejne ciasteczko. — To chyba myśl, że ciągle mam do czynienia z Mateo, tak zaciemniała mi racjonalny osąd. Ten człowiek ciągle budzi we mnie emocje — westchnęła.

— Nic dziwnego, wyrządził ci mnóstwo krzywdy. — Wanda była pełna zrozumienia dla zachowania młodej kobiety. — Ale skoro już wiesz, że to nie on, co zrobisz?

— Zastanawiałam się nad tym — przyznała Diana. — Najpierw pomyślałam, że po prostu przestanę się tym przejmować. Niech sobie pisze te listy, skoro w czymś jej to pomaga albo w jakiś sposób przynosi ulgę.

— To jest jakieś rozwiązanie, ale...

— Też mi to „ale” przyszło do głowy — przytaknęła Lisowska. — Po pierwsze: to trochę tak, jakbym jej pozwalała się bić. I nie odpowiadała na kolejne uderzenia. A po drugie: dałabym jej poczucie bezkarności, a nie wiadomo, co z tego mogłoby wyniknąć.

— Jakbyś czytała moje myśli — zgodziła się z nią lekarka. — Rozumiem, że coś postanowiłaś?

— Tak. Wybiorę się do niej i porozmawiam. Spokojnie, ale stanowczo.

Z takim właśnie postanowieniem Diana wyszła rano z domu. Nie wiedziała, o której Anna zaczyna lekcje, i nie miała pojęcia, jak długo przyjdzie jej czekać. Ciepło ubrana stanęła przy ulicy przed szkolnym ogrodzeniem i wypatrywała znajomej postaci. Mogła wejść do sekretariatu i zapytać o godziny pracy nauczycielki, ale nie chciała, żeby ktoś wiedział, że o nią wypytuje. Woląa załatwić swoją sprawę dyskretnie, bez budzenia ciekawości kolejnych osób. Obserwowała podjeżdżające pod budynek samochody, z których wysiadały dzieciaki z kolorowymi plecakami. Inne zmierzały do szkoły piechotą i miały zaczerwienione nosy i policzki. Niektórzy wesoło witali się z kolegami, inni wlekli się noga za nogą, z opuszczonymi głowami.

Tak samo jak w dorosłym życiu — pomyślała. — Jedni są popularni i dobrze im się wiedzie, a inni brną przez każdy dzień, nieszczęśliwi i smutni.

Dzieci pojawiało się coraz mniej i Diana zrozumiała, że za chwilę zadzwięczy dzwonek. A Anny nadal nie było.

Widocznie zaczyna później — doszła do wniosku. — Poczekam jeszcze pół godziny i jednak zapytam w sekretariacie. Nie będę tu przecież marzła do południa.

Na szczęście nie musiała. Właśnie nadchodziła ta, z którą chciała porozmawiać.

Anna zobaczyła ją i chciała wyminąć bez słowa, ale Diana zastąpiła jej drogę.

— Czego chcesz?! — warknęła nauczycielka.

— Chcę porozmawiać.

— Nie mamy żadnych wspólnych tematów — odpowiedziała opryskliwie kobieta.

— Owszem, mamy.

Anna siłą chciała zepchnąć Dianę z chodnika, jednak Lisowska stała twardo w miejscu.

— Spóźnię się do pracy.

— Nie zajmę pani dużo czasu.

W końcu nauczycielka z bezczelnym uśmiechem spojrzała na stojącą na jej drodze kobietę.

— Mów, tylko szybko!

— Przyszłam, żeby panią poinformować, że wiem o tym, co pani robi.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— O anonimach z groźbami, które wrzuca pani do mojej skrzynki na listy. Nie wiem, dlaczego pani to robi...

— To jakieś bzdury!

— Mam nagranie z kamery przy skrzynce. Nie wyprze się pani.

Anna groźnie zmarszczyła brwi.

— A tak, robię to! Bo dlaczego nie?! — Ze złością wyciągnęła oskarżycielsko palec. — Należy ci się! Ten miły człowiek wszystko mi opowiedział! Wiem, co mu zrobiłaś, i jaką jesteś podłą suką!

Dianę zamurowało.

— Tak, zgodziłam się mu pomóc! — wykrzykiwała dalej nauczycielka.

— Bo chciałaś go zniszczyć, a kłamałaś, że kochasz! Wiem, że mówi prawdę, widziałam to. Zresztą czego innego się po tobie spodziewać! Tylko taki diabelski pomiot mógł zamieszkać w tym domu! Ale pożałujesz tego, co zrobiłaś! Pożałujesz!

Lisowska z niedowierzaniem słuchała nauczycielki. Teraz sprawa znowu zaczęła nabierać innego wymiaru. Mateo wykorzystał stosunek Anny do niej i namówił ją na współpracę.

— Nie zamierzam słuchać pani obelg — postanowiła zakończyć rozmowę. — Uprzedzam też, że jeżeli jeszcze raz znajdę groźby

w skrzynce, pójdę z nagraniem na policję. A potem spotkamy się w sądzie i odpowie pani za to.

Zeszła z chodnika, ominęła Annę i poszła w stronę domu.

Co za intryga! — pomyślała. — Jednak Mateo nie zrezygnował. Widać nie doceniałam go. I co teraz?



We wtorek rano Diana z Wandą poszły do domu pana Stacha.

— Może nie powinnam? — wahała się Lisowska. — Pamięta pani, co powiedziała wtedy w nocy Greta? A jeżeli pan Stach będzie zły, że go nachodzę?

— Pan Stach jest mądrym człowiekiem — odparła Wanda. — Poza tym podjął trudną dla niego decyzję i chociaż na pewno się do tego nie przyzna, bo duma mu nie pozwoli, to ucieszy go każde wsparcie.

— Tak pani uważa?

— Powinien wiedzieć, że są ludzie, którzy będą na niego czekać. To dodatkowo go zmobilizuje. A dobra motywacja to podstawa szybkiego powrotu do zdrowia. Mówię ci to jako lekarz. A jako człowiek proszę, pospiesz się, bo nie znoszę się spóźniać.

— A lekarz to nie człowiek? — zażartowała Diana, rozradowana faktem, że będzie mogła pożegnać pana Stacha.

— Gdzie ta szczotka? — Wanda pogroziła palcem. — No już, ubieraj się!

Szybkim krokiem pokonały drogę do chatki Stacha. Drzwi otworzyła im Greta.

— Stach już gotowy — oznajmiła.

— Doskonale. — Wanda zerknęła na zegarek. — Transport powinien być za chwilę.

— O ile się nie spóźnią — wtrąciła Diana.

Rozglądała się dyskretnie po pomieszczeniu. Podobało jej się tutaj, chociaż brakowało dodatków. Nie było żadnych obrazków ani ozdób. Oczywiście poza drewnianymi rzeźbami ustawionymi na kilku prostych półkach.

Od razu widać, że mieszka tu samotny mężczyzna — stwierdziła.

Nieśmiało podeszła do łóżka, na którym leżał gospodarz.

— Dzień dobry, panie Stachu!

— Witaj! — odparł uroczyście. — Miło cię widzieć.

— Dobrze pan wygląda.

— Nie bardzo ci wyszedł ten komplement. — Uśmiechnął się lekko. — Jeszcze nie widziałem, żeby chory w pościeli dobrze wyglądał.

— Kiedy naprawdę — zapewniła Diana. — Owszem, schudł pan trochę, ale poza tym...

Stach pogładził brodę.

— Może dlatego, że mnie Greta wyszykowała. — Zerknął z wdzięcznością na zielarkę. — Brodę mi przystrzygła i nawet w szafie wynalazła jedyną piżamę, jaką mam. Nie myślałem, że ją kiedykolwiek założę. — Przesunął dłonią po materiale w kolorowe paski i mruknął: — Wyglądam, jakbym miał na jarmarku występować. Kto to widział, chłop w takim barwnym wdzianku!

Diana się roześmiała.

— Teraz mężczyźni noszą nawet koszule w kwiatki i spodenki w palmy. A piżama jest bardzo ładna i raczej klasyczna.

— Ja się na modzie nie znam, a wygłupiać się nie lubię. Mówiłem Grecie, ale mnie nie słuchała — narzekał pan Stach, ale widać było, że tak naprawdę jest wdzięczny swojej przyjaciółce za starania.

Wanda, która do tej pory rozmawiała o czymś szeptem z zielarką, teraz podeszła bliżej.

— I jak tam, panie Stachu? Gotowy pan do drogi?

— A czy na takie rzeczy można być gotowym? — odparł. — Mam tylko nadzieję, że ta droga nie będzie moją ostatnią.

— Co pan opowiada! — zdenerwowała się Diana.

Wanda zachowała spokój.

— A jeszcze kilka dni temu był pan gotowy na umieranie — zauważyła nieco złośliwie.

— Bo to człowiek nie może zmienić decyzji?

Lekarka popatrzyła w oczy swojemu pacjentowi.

— Czasami warto to zrobić.

W tym momencie usłyszeli odgłos nadjeżdżającego samochodu.

— To chyba transport — domyśliła się Wanda. — Gdzie torba?

Greta podała jej skórzany neseser.

— Gdyby czegoś brakowało, to proszę dać znać. — Głos miała przejęty, choć próbowała to ukryć.

— Niech się pani nie martwi, dopilnuję wszystkiego — obiecała lekarka.

Do domku weszło dwóch sanitariuszy z noszami.

— Pacjent jest gotowy do transportu — poinformowała ich Wanda. — A wy wyjdźcie przed dom, bo za dużo nas się tu zrobiło — zwróciła się do Grety i Diany.

Chciała oszczędzić Stachowi świadomości, że kobiety widziały go podczas przenosin z łóżka na nosze. Wiedziała, że nie chciałby okazywać przy nich bólu i dyskomfortu.

Po chwili obsługa karetki przeniosła mężczyznę do wnętrza pojazdu.

— Proszę zadzwonić, to po panią przyjadę — przypomniała Diana.

Greta podeszła do karetki i popatrzyła na Stacha, który leżał przypięty pasami.

— Odwiedzę cię, Stachu — powiedziała cicho.

— Nie trzeba — odparł. — Miasto i szpital to nie miejsce dla ciebie. Ja tam będę miał opiekę, a ty przyjdiesz do mnie, kiedy wrócę.

Pokiwała głową.

Wanda zajęła miejsce na rozkładanym siedzeniu przy ścianie ambulansu i zapięła pas.

— Pora jechać!

— Jeszcze chwilę! — Do samochodu podbiegła Diana. — Panie Stachu, mam coś dla pana — powiedziała ze wzruszeniem.

Sięgnęła do swojej shopperki i wyjęła z niej duży gliniany kubek. Podała go Wandzie, a ta położyła na kocu, którym przykryty był mężczyzna.

Stach zacisnął palce na grubym uszku.

— Solidny — ocenił. — W sam raz dla moich wielkich łap.

— Proszę się odsunąć, zamykam. — Sanitariusz podszedł i zatrzasnął metalowe drzwi.

Karetka ruszyła, a Diana i Greta patrzyły za nią, dopóki nie znikła za zakrętem. Zielarka zamruwała szybko oczami i odwróciła się w stronę domku Stacha.

— Niech się pani nie martwi — pocieszyła ją Diana. — Wszystko będzie dobrze, pani Wanda dopilnuje.

— Muszę zmienić pościel — oznajmiła Greta i przerzuciła na plecy siwy warkocz. — A tę zabrać do prania. I ogień wygasić, żeby się od iskry dom nie zajął.

— Pomogę pani — zaproponowała młoda kobieta.

Czuła, że może zielarka nie chce teraz rozmawiać, ale nie powinna zostać sama.



O bie kobiety tak bardzo chciały skrócić sobie czas oczekiwania na wiadomości od Wandy, że nie poprzestały na zmianie pościeli. Wiedzione kobiecym porozumieniem, które nie potrzebuje słów, zabrały się za sprzątanie całego domku. Pracowały w skupieniu, a w powietrzu czuć było atmosferę oczekiwania. Każda z nich rozmyślała o tym samym — jak pan Stach znieśie transport, jak odnajdzie się w szpitalu i co powiedzą lekarze.

Kiedy już kuchenne kafle lśniły, deski podłogi pobielwały, a każde naczynie zostało umyte i wytarte, wreszcie doczekały się telefonu.

— Możesz po mnie przyjechać — poinformowała Wanda.

— Dobrze, zaraz pójdę po samochód. Tylko to chwilę potrwa, bo jestem cały czas w domu pana Stacha — wyjaśniła Diana.

— Jak to? — zdziwiła się lekarka.

— Sprzątałyśmy z panią Gretą.

— I ona też tam jest?

— Tak, nie możemy się doczekać na informacje.

— Dobrze, w takim razie poproś panią Gretę do Wrzosowej Polany na obiad.

Diana odsunęła telefon od ucha i zwróciła się do zielarki:

— Zapraszamy na obiad.

— Dziękuję, ale nie trzeba — odparła siwowłosa. — Pójdę do siebie. Chciałabym tylko wiedzieć, co ze Stachem.

Diana z powrotem uniosła telefon.

— Pani Greta pyta, co z panem Stachem — powtórzyła.

— Słyszałam. Powiedz, że wszystko opowiem przy obiedzie. I przyjedź jak najszybciej, bo nie będę tu panu ordynatorowi miejsca w dyżurce zajmować.

Lisowska wsunęła telefon do kieszeni.

— Nic nie chciała teraz powiedzieć. Dopiero przy obiedzie. Ale wydaje mi się, że jest w porządku, bo głos miała spokojny.

Greta zacisnęła usta.

— A, i dzwoniła z gabinetu ordynatora — dodała Diana. — A skoro tak, to pan Stach na pewno będzie miał doskonałą opiekę. Protegowany szefa to zawsze priorytet — mówiła szybko, starając się przekonać zielarkę, że nie ma powodu do niepokoju. — Teraz muszę lecieć, bo zanim dojdę do domu, zanim dojadę...

— Dobrze, przyjdę na obiad — odezwała się wreszcie Greta.

— Super! Bardzo się cieszę! W takim razie do zobaczenia. Powinnyśmy wrócić za niecałe dwie godziny. O tej porze nie będzie raczej korków.



Wanda podała swoje popisowe zrazy.

— Kiedy pani zdążyła je zrobić? — zdziwiła się Diana.

— Przecież wiesz, że wcześniej wstaję — powiedziała kobieta. Postawiła półmisek na stole, obok salaterki z ziemniakami i drugiej z surówką. — Mam nadzieję, że nie jest pani wegetarianką — zwróciła się do Grety. — Bo ostatnio tyle się dzieje, że zupełnie zapomniałam o takiej ewentualności.

— Rzadko jadam mięso, to prawda — odparła zielarka. — Ale to raczej dlatego, że nie bywam zbyt często w sklepie. Staram się, żeby wystarczyło mi to, co rośnie w warzywniku i w lesie.

— Właściwie to całkiem zdrowo. — Lekarka pokiwała głową z aprobatą. — Chociaż czerwone mięso jest wskazane.

— Pani doktor, my tu czekamy na informacje, a nie na wykład o zdrowym odżywianiu — przypomniała Diana.

Starła się rozluźnić atmosferę, bo miała wrażenie, że czuje jakieś napięcie.

Greta przyszła kilka chwil po tym, gdy wróciły z Kielc. Lisowska była przekonana, że obserwowała dom z daleka i czekała na ich przyjazd. Zielarka zmieniła ubranie. Założyła białą bluzkę z szerokimi rękawami i ciemnozielony kardigan. Spódnicę też miała inną, długą, jak zawsze, z grubszego, lekko błyszczącego materiału.

Widać, że chciała być bardziej elegancka niż zwykle — pomyślała Diana.

— Dobrze już, dobrze. — Wanda zrozumiała aluzję młodej kobiety. — Nie będę was dłużej trzymać w niepewności, bo widzę, że jesteście zdenerwowane. Jeszcze z tego powodu nic nie zjecie. A wasze nerwy są zupełnie bezzasadne.

— Czyli wszystko w porządku? — popędzała Diana.

— Pan Stach ma łóżko w niewielkiej, trzyosobowej sali. Jego towarzysze są w podobnym wieku. Trochę się obawiałam, jak przyjmie towarzystwo, bo wiem, że przywykł do samotności, ale gdy wróciłam po rozmowie z ordynatorem, okazało się, że jest z tymi panami w najlepszej komitywie.

Greta z uwagą chłonęła każde słowo lekarki.

— Jeden z tych panów jest emerytowanym prawnikiem, a drugi to mechanik samochodowy i zapalony turysta. Już prowadzili dysputę o drodze na Łysicę i ledwie udało mi się im przerwać — roześmiała się Wanda.

— To świetnie, że się dogadali — ucieszyła się Lisowska.

— Też tak uważam. Nie będzie miał czasu na rozmyślenia i hospitalizacja szybciej minie.

— A co ze zdrowiem? — wtrąciła Greta.

— Cóż, dziś i jutro będą robić badania. Trzeba się upewnić, czy nie ma przeciwwskazań do zabiegu. Ale stan ogólny wydaje się dobry i o ile nie wykryją czegoś niespodziewanego, to będzie tak, jak mówiłam.

— Czyli w czwartek?

— Tak. A potem około tygodnia w szpitalu i do domu. O wszystkim będę informowana na bieżąco, więc może pani przychodzić codziennie na herbatkę i przekażę najnowsze wieści.

— Na pewno też pojedziemy odwiedzić pana Stacha — dodała Diana. — I jeśli będzie pani chciała, to oczywiście może jechać z nami.

Zielarka spojrzała na nie z wdzięcznością. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Wanda ją uprzedziła:

— No, jedzmy, bo zaraz ziemniaki będą całkiem zimne. Na deser będą kruche ciasteczka, bo aż tak wcześnie nie wstałam, żeby coś świeżego

upiec. A to i tak cud, że te ciastka jeszcze są, bo Dianę trudno od nich odgonić.

— I przez to podjadanie to za chwilę przybędzie mi tu i tam. — Lisowska zrobiła zboląłą minę.

— W niczym ci to nie zaszkodzi. — Greta uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. — A jeżeli te ciastka są tak samo dobre jak zrazy, to wcale się nie dziwię.

Wreszcie zrobiło się domowo i przyjemnie. Napięcie opadło i kobiety zajęły się jedzeniem. Po posiłku uraczyły się ciasteczkami i herbatą.

— To był prawdziwie królewski obiad, dziękuję. — Greta odchyliła się i położyła rękę na brzuchu. — Nie pamiętam już, kiedy tak bardzo się objadłam.

— Bardzo się cieszę, że smakowało. Miło jest usłyszeć, że coś robi się wystarczająco dobrze.

Zielarka posłała jej krótkie, uważne spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

Chociaż podczas obiadu rozmawiały o okolicy, wymieniały żarciki i doskonale się bawiły, to teraz zamilkły. Każda pogrążyła się w swoich myślach.

Diana zerkała na zielarkę, bo nigdy wcześniej nie widziała jej tak rozpromienionej, zajętej rozmową i swobodnej.

Można mówić, co się chce, ale każdy potrzebuje bliskości drugiego człowieka — stwierdziła. — Samotność nie jest zła, ale osamotnienie już tak. Dobrze, że dogadały się z Wandą.

Niespodziewanie ciszę przerwało skrzypienie drwi. Wszystkie trzy jak na komendę zwróciły się w tamtą stronę. Zza drewnianego skrzydła wychyliła się głowa dziewczynki w różowej czapce z pomponem.

— Dzień dobry!

— Cześć, Julka! — przywitała radośnie nieoczekiwanego gościa Diana.
— Wejdz, proszę!

Mała podeszła do stołu.

— Zrobić ci coś do picia? Przyszaś pobawić się z Kociem czy skorzystać ze swojego kubka? — Mrugnęła do dziecka.

— Nie mogę zostać. Powiedziałam mamie, że idę po zeszyt do koleżanki.

— W takim razie co cię do mnie sprowadza?

Starsze kobiety z zainteresowaniem przyglądały się dziewczynce.

— Właśnie chodzi mi o kubek — odpowiedziała Julka. — No, ten mój, to znaczy dziadka. Wie pani który?

— Oczywiście, że wiem.

— Myślałam o tym i już wiem, gdzie mogę go schować — oświadczyła dziewczynka. — Nikt się nie domyśli. Na pewno.

Nikt, czyli mama — zrozumiała Diana.

— Skoro masz dla niego pewną kryjówkę, to z przyjemnością ci go przekażę.

Wzięła kubek z półki i podała małej. Ta delikatnie i z namaszczeniem odebrała naczynie i trzymała go niczym cenny skarb.

— Przepraszam, że przeszkodziłam. — Musiała być bardzo przejęta sprawą, z którą przyszła, bo dopiero teraz przypomniała sobie o dobrych manierach.

— Nic nie szkodzi — włączyła się do rozmowy Wanda. — Miło nam cię poznać. Wiem już, że ty jesteś Julia. Ja mam na imię Wanda i przez jakiś czas będę tu mieszkała.

Dziewczynka pokiwała głową.

— A to jest pani Greta. — Diana wskazała na zielarkę.

Na dźwięk tego imienia Julka drgnęła.

— Pani jest czarownicą? — zapytała wprost, jak to dziecko.

— Niektórzy tak o mnie mówią — potwierdziła kobieta, nie odrywając oczu od dziewczynki.

— Ładnie pani wygląda. — Mała przekrzywiła głowę. — A mama mówiła, że jest pani brzydka i niedobra.

— No, Julka, to nie było grzeczne — upomniała ją Diana.

— Przepraszam — zmieszala się Julka.

— Nie szkodzi. Dzieci zawsze mówią prawdę. — Greta smutno się uśmiechnęła.

— Ja już muszę iść. — Dziewczynka chyba zawstydziała się swojego zachowania. — Dziękuję i do widzenia.

Szybko wyszła, ściskając kubek w dłoni.

— Nie wiem, co jej się stało — westchnęła Diana. — Zawsze jest grzeczna i miła.

— Wyrwało się dziecku, nie ma co mieć pretensji. To raczej jej matka powinna się wstydzić, bo przecież mała jej słowa powtarza. — Wanda zawsze potrafiła dobrze ująć sedno problemu.

— Rzeczywiście, ma pani rację. Zresztą ta dziewczynka to wnuczka poprzedniego właściciela domu. Przychodzi tu, bo tęskni za dziadkiem. — Lisowska w skrócie przedstawiła historię Julki. — A matka chyba była z ojcem pokłócona, bo nie pozwalała jej się z dziadkiem widywać, a teraz nawet tu do mnie przychodzić. I dziecko się smuci.

— Jak można własnemu dziecku taką krzywdę robić — oburzyła się Wanda. — Matka powinna chcieć szczęścia dla swojej córki, prawda?!

Dianę zdziwiła tak emocjonalna reakcja zawsze zdystansowanej kobiety.

— Różnie w życiu bywa. — Greta wciąż patrzyła na drzwi, za którymi znikła Julka. — Czasami między matką a dzieckiem coś się popsuje, czasami matka popełni błąd, którego cofnąć się nie da. A czasem może zwyczajnie na matkę się nie nadaje. Dlatego lepiej nie oceniać, gdy się wszystkiego nie wie. Bo zawsze to trudne, gdy się matka z dzieckiem nie dogaduje, i to zawsze boli. — Wstała i sięgnęła po swoją chustę. — Dziękuję za gościnę, na mnie już pora.

Wanda wymieniła z Dianą zdziwione spojrzenia.

— Jutro przyjdę zapytać, co ze Stachem — powiedziała jeszcze Greta. — A to dla pani. — Podała Wandzie płócienny woreczek. — Lebioda. Łyżeczka na kubek. Do widzenia.



Każdy ma swoje chwile słabości i porażki. Najważniejsze to się nie poddawać. Trzeba swoje wypłakać, wyłóścić się, a potem wyciągnąć wnioski. Nabrać sił, zrobić plan i ponownie ruszyć do walki o swoje szczęście. Przekuć niepowodzenia w sukces.

Tak właśnie zrobiła Martyna. I była z siebie dumna. Właśnie skończyła podsumowanie ostatnich spotkań i mogła powiedzieć z satysfakcją, że odniosła zwycięstwo — co też oznajmiła Tobiaszowi, gdy tylko przekroczył próg salonu.

— Jakieś nowe czy rozmawiamy o którymś z dotychczasowych? — zażartował swoim zwyczajem.

— Naprawdę trudno z tobą wytrzymać! — Martyna zrobiła obrażoną minę. — Ja tu czekam, przygotowuję się, przyjmuję odpowiednią pozę, a ty nawet nie potrafisz odpowiednio zażartować.

Mężczyzna przyjrzał się uważniej. Rzeczywiście, przygotowała się. Wyglądała jak w swoich telewizyjnych programach. Założyła garsonkę w kolorze ciemnej fuksji z krótką spódniczką. Na nogach miała czarne szpilki na niebotycznie wysokich obcasach, a pozycji, w której siedziała, mogłaby jej pozazdrościć nawet Elżbieta Jaworowicz.

Musi chodzić o coś ważnego — pomyślał.

— Zabiłaś Kownackiego? — zaryzykował drugi strzał.

Parsknęła śmiechem.

— Teraz przesadziłeś w drugą stronę. Ale w pewnym bardzo symbolicznym sensie masz rację. Chociaż to nadal nie to, czego oczekiwałam.

— No to jak ja powinienem zareagować, żebyś była zadowolona?

Usiadł na kanapie i sięgnął po miseczkę z orzeszkami.

— Powinieneś powiedzieć: „Wow! Ale super! Cieszę się i gratuluję!”.

Tobiasz pogryzł orzeszka i otarł usta.

— Wow! Ale super! Cieszę się i gratuluję! — powtórzył jednym tchem.

— Aktorem to ty nie mógłbyś być — oceniła surowo. — Jednak dziś jestem w dobrym nastroju i nie będę cię dręczyć. Znaj moją łaskę! — Uniosła dłoń w królewskim geście.

— Ty za to doskonale odnalazłabyś się na scenie — odparł. — Czy ten komplement jest wystarczający i zdradzisz mi powód swojej radości?

— Przecież po to się przygotowałam — fuknęła. — Zdradzę z dumą i satysfakcją, a potem, uprzedzam z góry, oczekuję fanfar i wyrazów zachwytu.

— Zapamiętałem.

— Mój drogi, mogę dziś z całą odpowiedzialnością poinformować cię, że mam reklamodawców dla programów na kolejny rok. Wszyscy, z którymi się spotkałam, przystali z ochotą na współpracę i tak jak przewidywałam, ze złości na Kownackiego nie żalowali kasy. W związku z tym nie dość, że pokryjemy koszty, to jeszcze całkiem dobrze będziemy zarabiać. I co ty na to? — Spojrzała triumfalnie na Tobiasza.

Mężczyzna wstał i skłonił głowę.

— Szacunek — powiedział poważnie. — Naprawdę jesteś niesamowita.

— Wiem — roześmiała się dziennikarka.

— Fanfar nie będzie, bo pora późna, ale możemy poświętować, jedząc tort.

— Skąd masz tort? — Martyna rozplotła nogi i zsunęła szpilki. — Coś podejrzewałeś? Jak to możliwe?

Tobiasz wyszedł, a po chwili wrócił i podstawił kobiecie pod nos deskę z pizzą.

— Tort wytrawny o smaku frutti di mare — zaprezentował.

— Niedługo na widok tego placka będę z krzykiem wybiegać z pokoju.

— Pokręciła głową zrezygnowana. — Ratuje cię tylko to, że miałeś dobrą chęć i że są tu krewetki.

— I że jesteś w dobrym humorze — dodał ze śmiechem.

— Niech będzie. Chociaż nigdy nie sądziłam, że swój wielki sukces będę świętowała pizzą.

— Życie jest nieprzewidywalne i to właśnie w nim jest piękne — odparł filozoficznie Tobiasz. — Zresztą jestem pewien, że to nie ostatnie twoje zwycięstwo, więc jeśli następnym razem uprzedzisz, to zamówię trzypiętrowy tort śmietanowo-wiśniowy. Z koroną na najwyższej warstwie.

— Trzymam cię za słowo!

Wzięli po kawałku pizzy i stuknęli się nimi jak kieliszkami.

— Wiesz, tak sobie myślę — zaczęła z uśmiechem Martyna — że tak naprawdę nieważne, czym świętujesz. Najważniejsze jest, z kim to robisz.



Każda godzina czwartkowego dnia ciągnęła się, jakby trwała co najmniej dwa razy dłużej niż zazwyczaj.

Diana dziękowała losowi, że dziś prowadzi warsztaty, miała nadzieję, że dzięki temu czas minie szybciej. Niestety, chociaż usilnie starała się skupić na pracy, to i tak w każdej wolnej chwili zastanawiała się, czy już coś wiadomo.

— Zabieg rozpisany jest na jedenastą — poinformowała wczoraj Wanda.
— Ale trzeba mieć świadomość, że może być opóźnienie. Pan Stach jest czwarty, a nie wiadomo, czy poprzednie operacje się nie przedłużą.

— A jak długo trwa taki zabieg? — zapytała Greta, która stała się codziennym gościem we Wrzosowej Polanie.

— To też trudno dokładnie przewidzieć. Pamiętajcie, że najpierw będzie znieczulenie, a potem jeszcze spędzi jakiś czas na sali pooperacyjnej. Dopiero wtedy wróci do swojego łóżka, a lekarz będzie mógł powiedzieć coś wiążącego.

Wiedziały więc, że muszą uzbroić się w cierpliwość.

Gdy tylko grupa uczniów wyszła za bramę, Diana natychmiast przybiegła do domu. Greta siedziała już przy stole i piła jakiś napar, którego woń roznosiła się po kuchni.

— Przyniosła pani jakieś zioła? — domyśliła się Lisowska.

— Tym razem to moja robota. — Wanda zalała wrzątkiem zawartość drugiego kubka i postawiła go przed Dianą. — Melisa na uspokojenie —

wyjaśniła. — Co prawda, nie zbierałam osobiście, lecz kupiłam w aptece, ale wiedziałam, że przydadzą się wam dzisiaj.

— Doceniam — rzuciła Greta znad kubka.

Diana cieszyła się z tej nici porozumienia, która nawiązała się między lekarką a zielarką. Tak różne, o zupełnie innym z pozoru podejściu do świata, a jednak coś je połączyło. Co prawda, żadna nie okazywała tego zbyt otwarcie i na pierwszy rzut oka można było uznać, że zachowują wobec siebie uprzejmy dystans, ale Lisowska dostrzegała ledwie widoczne uśmiechy, znaczące spojrzenia czy błyski wdzięczności w oczach. Te dwie rozumiały się w jakiś szczególny sposób, który nie wymagał wielkich słów i ostentacyjnych gestów.

We trzy popijały napar i rozmawiały o błahych sprawach. Wreszcie dźwięk telefonu oznajmił, że oczekiwana wiadomość nadejdzie. Lekarka odebrała.

— Wanda Kowal, słucham. — Przez dłuższą chwilę w skupieniu wsłuchiwała się w głos lekarza. Kiwała głową i co jakiś czas rzucała krótko: — Tak, rozumiem.

Wreszcie rozmowa dobiegła końca i Greta z Dianą wbiły w Wandę wyczekujące spojrzenia.

— Zabieg przebiegł bez komplikacji, pacjent jest w dobrej formie i podobno nawet zjadł zostawiony przez kolegów z sali obiad — oznajmiła z uśmiechem.

Diana zapiszczała z radości i objęła siedzącą obok niej zielarkę. Greta zachowała pozorny spokój, ale młoda kobieta czuła, że zielarka drży.

— No, moje panie, teraz jeszcze rekonwalescencja. — W głosie Wandy także słychać było radość. — Ale o to już jestem spokojna.

Posiedziały razem jeszcze chwilę, żeby uspokoić emocje i podzielić się radością, a potem Greta znikła w wieczornych ciemnościach.

— Myśli pani, że pan Stach wróci do pełnej sprawności? — zapytała Diana po wyjściu zielarki.

— Pytasz, bo boisz się, że coś ukrywam?

— Może nie chce pani martwić Grety...

— Nigdy bym jej nie oszukiwała ani nie ukrywała przed nią niczego. Ta kobieta zasługuje na prawdę i szczerłość — odparła poważnie lekarka. — A co do sprawności, to pan Stach ma już swoje lata. W takim wieku wszystkiego przewidzieć się nie da. Ale na pewno będzie chodził, i to bez bólu. Będzie samodzielny, a to było dla niego najważniejsze.

— Dziękuję, że się pani nim tak zaopiekowała. — Lisowska z wdzięcznością spojrzała na Wandę. — Gdyby nie pani... Nikt inny nie namówiłby go na leczenie, tego jestem pewna. Zachodzę w głowę, co mu pani powiedziała.

— Nic nadzwyczajnego. — Wanda wzruszyła ramionami. — Poprosiłam, żeby nie był egoistą i nie myślał tylko o sobie. Żeby zwrócił uwagę na tych, którzy starają się mu pomóc, którzy martwią się o niego. Na ich uczucia.

Niezła strategia — pomyślała Diana z uznaniem.

— Teraz, skoro pan Stach jest już po zabiegu, pewnie będzie pani chciała wracać do domu, prawda? — zadała pytanie, które od dłuższego czasu chodziło jej po głowie.

— A co? Masz mnie już dosyć?

— Skąd! — zaprotestowała. — Przecież pani wie, że nie. Ale nie musi się już pani nim opiekować, na pewno doglądaniem pana Stacha zajmie się teraz Greta.

— Nie wiem, czy ja się niejasno wyraziłam, czy ty mnie nie zrozumiałaś. — Wanda odłożyła ściereczkę do naczyń i podeszła do Lisowskiej. — Przyjechałam tu się zaopiekować nie panem Stachem. — Pochyliła się nad Dianą i pogładziła ją po głowie. — Przyjechałam zaopiekować się tobą, dzielna dziewczyno. O ile, oczywiście, mi pozwolisz.

Młoda kobieta podniosła wzrok na starszą.

— Trudno mi w to uwierzyć — wyszeptała ze wzruszeniem.

— A jednak.

— Ale przecież pani powinna odpocząć, zająć się sobą. Niedawno zmarła pani matka, wiem przecież, że przez wiele lat zajmowała się nią pani. Na pewno jest pani smutno i... — Pociągnęła nosem.

— Owszem, jest mi smutno, ale nie z tego powodu, o którym myślisz — wyjaśniła spokojnie Wanda. — Kiedyś ci o tym opowiem, ale na razie na to za wcześnie. Może przyjmijmy, że tak się przyzwyczaiłam do tej opieki, że trudno mi nagle przestać. Potrzebuję okresu przejściowego. Dlatego chciałabym zająć się tobą. Wystarczy ci takie wyjaśnienie?

Diana pokiwała głową.

— Jak ja się pani za to wszystko odwdzięczę?

— Wystarczy, że dostrzegasz to, co robię. Że chwalisz moje jedzenie, że zauważasz wypolerowane relingi. Nie masz nawet pojęcia, jak to dużo.

— Ale mnie nie obchodzą relingi czy obiad. — Diana wyjęła chusteczkę i wytarła nos. — Najważniejsze, że pani jest. I wierzę, że pani będzie, że mnie nie zostawi samej — rozplakała się na dobre.

— Nie zostawię, nie bój się.

Nie tylko ty rozpaczliwie potrzebujesz bliskości — dodała w myślach.



Greta usiadła na stołeczku blisko kaflowej kuchni. Poczwała miłe ciepło bijące od nagrzanego pieca.

Jak niewiele potrzeba, żeby człowiek poczuł się szczęśliwy — pomyślała. — Żadne bogactwa, konta w banku nie zastąpią poczucia, że jest się bezpiecznym i że bliskim osobom nie dzieje się krzywda. A do tego odrobina ciepła...

Ostatnie dni wiele ją kosztowały. Niełatwo było zmierzyć się ze słabością Stacha, dokonywać wyborów pomiędzy jego wolą a chęcią pomocy. Obawiała się, że może uznać ją za zdrajczynię, a ona sama też czuła jakby postępowała wbrew zasadom, które głosiła.

Na szczęście wszystko ułożyło się dobrze — westchnęła z ulgą. — Widać tak było pisane.

Popijała napar, który najbardziej lubiła — mieszankę ziół dających wytchnienie i spokój. Rzadko jej używała, ale uznała, że dziś jej potrzebuje. Musiała się wyciszyć, wrócić do równowagi i nabrać sił, które będą jej potrzebne, gdy Stach wróci do domu.

Odwykła od kontaktów z ludźmi, dlatego codzienne wizyty we Wrzosowej Polanie też nie były łatwe. Bała się, że już nie umie rozmawiać, że nie potrafi tak po prostu być z innymi.

Stach to co innego — myślała. — Z nim nie trzeba nawet rozmawiać. Niczego nie oczekuje, nie wymaga, nie komentuje i nie ocenia. Niewielu jest takich na świecie.

A jednak trafiła na podobną osobę.

Cieszyła się, że Wanda zamieszkała z Dianą. Czuła, że te dwie samotne dusze są sobie potrzebne, że w bliskości odnajdą ukojenie i zaleczą stare rany. Ona nadal wolała trzymać się z daleka, bo to, co ją bolało, nigdy się nie zasklepi. Wiedziała o tym i przyjmowała to z pokorą.

Kolejna jesień się kończy i zabiera ze sobą część życia: kwiaty, rośliny, nawet drzewa — pomyślała. — Ale przyjdzie wiosna i przyroda się odrodzi. Trzeba mieć nadzieję, że uda się ją zobaczyć.

Wyciągnęła dłonie w stronę pieca i przypomniała sobie dziewczynkę, którą spotkała u Diany. I to, co mówiła młoda kobieta o tęsknocie małej za dziadkiem.

Dopóki ktoś o tobie pamięta, nie odchodzisz tak naprawdę — westchnęła. — Jedno, czego mogę żałować, to tego, że za mną nikt tak nie zatęskni.

Pogrążyła się w rozmyślaniach, a za oknem listopadowy wiatr szarpał gałęziami jodeł.



Diana wyszła z domu, żeby otworzyć okiennice. W nocy był przymrozek, spadło odrobinę śniegu i podwórze wyglądało jak posypane mąką.

Byłoby całkiem przyjemnie, gdyby nie ten wiatr — stwierdziła, zasuważąc kurtkę pod szyję.

Stała pod daszkiem przed drzwiami i popatrzyła na szczyt Łysicy, powoli wynurzający się z nocnego mroku.

Jesień się kończy — zadumała się. — Moja pierwsza jesień we Wrzosowej Polanie. I trzeba przyznać, że ten czas był dokładnie taki jak ten dom. Bywały przymrozki, wiatry i nie raz chłód przenikał mnie do szpiku kości, ale nie brakowało też słonecznych chwil, ciepła i kolorów. A jaka będzie zima? — zastanawiała się. — Na pewno pracy czeka mnie mniej, ale za to nie jestem już sama. Pojawiła się pani Wanda i niczym jesienna mgła sprawiła, że poczułam się bezpieczna.

Jakby przywołana myślami, w drzwiach pojawiła się lekarka.

— Śniadanie gotowe — zakomunikowała i zmierzyła młodą kobietę pełnym dezaprobaty spojrzeniem. — Czapkę załóż, bo zatoki przeziębisz.

— Dobrze, już zakładam. — Diana się uśmiechnęła. — I zaraz przyjdę.

Po raz pierwszy usłyszała to, co większość dzieci słyszy każdego chłodnego dnia. Nie rozumiała, dlaczego tak je to denerwuje, bo ona marzyła, żeby ktoś tak do niej powiedział. Ten nakaz zakładania czapki był dla Diany symbolem troski i opieki.

Chociaż dzisiaj mam poczucie, że nie potrzebuję czapki — pomyślała i poczuła ciepło w sercu. — Nie mogę zmarznąć, bo jestem otulona spokojem.

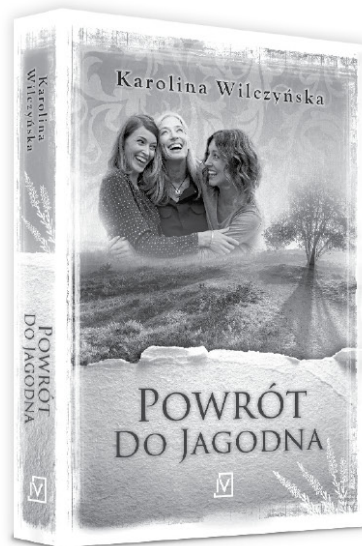


**że spodobała Ci
się ta KSIĄŻKA**

po więcej zajrzyj do księgarni

www.wydajenamsie.pl

Sprawdź, co słyhać u bohaterów bestsellerowej serii
Karoliny Wilczyńskiej



„Stacja Jagodno” jest jak rodzinny album ze zdjęciami. Otwierasz go i ze wzruszeniem przeglądasz kolejne kadry, które skrywają wyjątkowe wspomnienia... Cudownie było tutaj wrócić!

Joanna Wolf, Nienaczytana

Diana jest specjalistką od projektowania ekologicznych ogrodów, a jej hobby to garncarstwo. Ale czy można aranżować otoczenie dla innych, jeśli własne życie właśnie pękło i bardziej przypomina stos glinianych skorup? Kobieta szuka schronienia w Stacji Jagodno. Czy uzyska wsparcie od miejscowych kobiet?

Powrót do Jagodna to nie tylko spotkanie ze znanymi i lubianymi bohaterami, ale także początek całkiem nowej historii. Bo przecież życie można lepić w różnych miejscach, a najpiękniejsze ogrody najpierw kiełkują w sercu.

SPIS TREŚCI

[Strona przedtytułowa](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[* * *](#)

[Polecamy również](#)